

RODZINNE TRAUMY I ZBRODNIĘ SPRZED LAT
NIE DADZĄ O SOBIE ZAPOMNIEĆ

BEZWŁADNOŚĆ

JACEK

ŁUKAWSKI

BEZWŁADNOŚĆ



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

BEZWŁADNOŚĆ

**JACEK
ŁUKAWSKI**

KRAKÓW 2023

Spis treści

Strony tytułowe

Dedykacja

Rozdział 1. Kwiecień 2020. Marcin

Rozdział 2. Kwiecień 2020. Marcin

Rozdział 3. Kwiecień 2020. Marcin

Rozdział 4. Kwiecień 2020. Renata

Rozdział 5. Kwiecień 2020. Renata

Rozdział 6. Czerwiec 2020. Marcin

Rozdział 7. Czerwiec 2020. Marcin

Rozdział 8. Czerwiec 2020. Renata

Rozdział 9. Czerwiec 2020. Marcin

Rozdział 10. Czerwiec 2020. Renata

Rozdział 11. Czerwiec 2020. Renata

Rozdział 12. Sierpień 2020. Marcin

Rozdział 13. Sierpień 2020. Partyzant

Rozdział 14. Sierpień 2020. Marcin

Rozdział 15. Sierpień 2020. Renata

Rozdział 16. Sierpień 2020. Marcin

Rozdział 17. Sierpień 2020. Renata

Rozdział 18. Sierpień 2020. Policja

Rozdział 19. Czerwiec 2021. Renata

Posłowie

Strona redakcyjna

Reklamy

W każdej opowieści odbija się echo prawdy.
Nawet jeśli tego nie chcemy.

ROZDZIAŁ 1

KWIECIEŃ 2020
MARCIN

Najpierw był huk. Na moment wypełnił wilgotne powietrze nocy, wcisnął się głuchym echem między smukłe pnie buków i jodeł, a potem umilkł.

Następny wypełził strach. Na polanę, między pozostałe po wycince kikuty drzew, nurzające się w oparach lepkiej mgły, niskie i nieruchome jak odrąbane trupom stopy.

Kobieta potykała się o korzenie i muldy zrytej ziemi. Każdy kolejny jej krok był trudniejszy, coraz mniej pewny. Nie zauważyła, kiedy zgubiła but. Biały, na koturnie, zupełnie niepasujący do tego miejsca. Podobnie jak jej krótka sukienka i rozmazany makijaż. Szare plamy ledwie majaczące w mroku.

Potknęła się i upadła, przyciskając dłonie do piersi. Bezskutecznie próbowała zatrzymać przesiąkającą przez materiał krew. Ciepłą i lepłą.

– Mamo, mamusiu... – wyszeptała. – Pomóż mi, mamusiu... Błagam...

Gdy kilka godzin później szarzał świt, ona wciąż tam była. Drżąc z zimna, poruszała bezgłośnie ustami, kurczowo trzymała się gasnącego życia.

Bliżej południa zaczął siąpić deszcz. Blade słońce tylko na chwilę precisnęło się przez knebel chmur, oświetliło mokry zgubiony but i upuszczoną dalej niedużą torebkę, w której głucho wibrował telefon. Ciało kobiety leżało nieruchomo. Przemoczone, samotne i martwe. Porzucone na pastwę leśnych zwierząt, które zdążą się do niego dobrać, zanim zostanie odnalezione.

Zostawiając za sobą wszystko i podążając za głosem serca, Marcin Bieńczuk spodziewał się, że to będzie przełomowy moment, który wyryje się trwale w jego pamięci. Tym bardziej że opuszczając Śląsk, nie tylko przekreślił budowaną z poświęceniem karierę, ale przede wszystkim odciął nić łączącą go z planami na przyszłość. Skryształizowanymi i realnymi planami, które układały się w takie słowa jak awans, sukces i satysfakcja. Oczywiście uwzględniały również odniesienia do statusu majątkowego, ale o tym Marcin wspominał rzadko, uznając, że nie wypada rozmawiać o pieniądzach.

Czuł, że to dla niego ważna, o ile nie najważniejsza życiowa decyzja. Jedna z tych, o których opowiadają trenerzy personalni i o których czyta się ze szczegółami w biografjach ludzi sukcesu. Punkt zwrotny, reset, na który trudno się zdobyć, ale może się on stać rozbiegiem w wyścigu ku świetlanej przyszłości. Marcin Bieńczuk miał nadzieję, że za kilka lub kilkanaście lat sam będzie mógł opowiadać o chwili, która pozwoliła mu zmienić życie. Że będzie mógł ją celebrować.

Dwa miesiące później jego wspomnienia ograniczały się jednak do rozmazanych krajobrazów przesuwających się za oknem auta i niepokoju o to, co przyniesie przyszłość. Niepokoju, który nie tylko nie mijał wraz z upływającymi dniami, ale jątrzył się, dewaluując poczucie własnej wartości. Marcinowi wydawało się, że zawisł w jakiejś bańce, mrocznej dziurze zanurzonej w chaosie ambicji, zasad i przekonań, które jeszcze do niedawna pozwalały mu sprawnie funkcjonować, a teraz straciły znaczenie, nie przystając zupełnie do nowej rzeczywistości.

Przerażała go świadomość, że ambicje ostatecznie okazały się o wiele ważniejsze, niż mógł przypuszczać, a przy tym już nieodwracalnie zaprzepaszczone, bo na własne życzenie zamienił kierowniczą posadę w dużym mieście na margines bezrobocia. Jego własna decyzja i wszystkie konsekwencje, jakich nie wziął pod uwagę w chwili, gdy ją podejmował, teraz wpychały go w odrętwienie i bierność.

Marcin jednak nie przyznawał się do tego przed żoną, pozwalając, by w uczucie, które z trudem odbudowali, znów wcisnął się chłód. Wolał to niż okazanie słabości. Słabości, na którą nie mogło być miejsca. Nie tu i nie w tych warunkach.

Myślał o tym, wpatrując się w sufit sypialni, który oglądał każdego dnia po przebudzeniu. Ten widok w jakiś sposób działał na niego kojąco. Jak biała kartka, nadal czekająca, by dowolnie ją zapisać.

Dawniej zaczynał dzień od patrzenia na żonę, od porannych żartów lub czułości, od tego, co zawsze sprawiało im radość. Jednak od tygodnia, może dwóch, gdy Renata wstawała i szykowała się do pracy, wolał udawać, że śpi.

Otwierał oczy dopiero, słysząc uruchamiany pod oknem silnik samochodu. Wstawał, gdy dźwięk cichł w dali, gdy było już pewne, że na kilka godzin zostawiła go w dużym domu wypełnionym zapachem przeszłości i świadomością, że wraz z przyjazdem do tego miejsca ich role się odwróciły.

Odwróciło się wszystko.

*

Dzwonek był starego typu. Zamiast przyjemnej dla ucha melodii wydawał z siebie głośny i irytujący dźwięk, kojarzący się ze zwarciem instalacji lub udarem w wiertarce.

– Kurwa! – Kubek rozbił się o kuchenne płytki, ochlapując stopy Marcina kawą. – Kurwa mać! – powtórzył, sięgając po rolkę papierowych ręczników. Całe szczęście, że kawa nie była już gorąca, a wyprasowane w kant spodnie wisały bezpiecznie na wieszaku razem z marynarką.

Upewnił się, że nie zachlapał białej koszuli ani krawata, i wytarł nogi. Mokra skarpetki nie były problemem, mógł je zmienić. Spojrzał na zegarek – miał jeszcze czas.

Dzwonek odezwał się ponownie.

Marcin podszedł do okna. Widok zasłaniała gruba firanka i rozrośnięty żywotnik, którego zapomniał przyciąć. Mimo to dostrzegł, że przed furtką stoi bus.

Załóżył spodnie i wyszedł na ganek.

– Bieńczuk to tu?! – krzyknął na jego widok przysadzisty facet w znoszonym roboczym kombinezonie.

Stojący za nim samochód był żółty, z reklamą zajmującą niemal całą burtę. Uśmiechała się z niej skąpo odziana brunetka z kiepsko wkomponowanym w dłoń młotkiem i drabiną za plecami. Jej obnażony biust przysłonięty był nazwą firmy, składającą się z nazwiska właściciela i dopisku „bud”. Najwyraźniej na nic więcej nie starczyło inwencji ani rozsądku.

– Słucham? – Nie dosłyszał.

– Bieńczuk?

– Tak. – Zszedł po schodach i zbliżył się do furtki. – O co chodzi?

– Będziemy dach robić. – Mężczyzna skinął na swojego pomocnika, gestem nakazując mu wyładować sprzęt. – Cieknie, nie?

– Owszem cieknie, ale panowie... – Marcin spojrział na zegarek. Dopiero teraz skojarzył nazwę firmy. – Przez telefon umawialiśmy się na piątek, a dziś jest wtorek. Dziś nie mogę...

– A my nie możemy w piątek. Tak wyszło... – Mężczyzna rozłożył ręce w przeproszającym geście. – Dziś nam wypadła jedna robota, więc przyjechaliśmy.

– A w przyszłym tygodniu?

– Następny i kolejny zabite, dalej trudno powiedzieć... Chyba że znów coś wypadnie jak dziś, to wtedy byśmy podjechali... Ale to nie wiadomo. Jesteśmy teraz i możemy naprawić. W piątek na pewno nie zrobimy. Pana decyzja, kierownika.

Marcin Bieńczuk stłumił przekleństwo, które cisnęło mu się na usta. Przez chwilę analizował sytuację, aż w końcu skinął głową i otworzył furtkę.

– W porządku – mruknął. – Wchodźcie, pokażę wam gdzie...

Gdzie jest robota, to właśnie powinien dodać, ale nie dodał. Robota była wszędzie. Cały dom był do roboty.

Dom zupełnie inny od tego, o jakim Marcin marzył od dawna, którego projekt kupił prawie dwa lata wcześniej, w tajemnicy przed Renatą. Tamten z projektu był niski, parterowy, z dużym salonem, przejściową kuchnią i kilkoma pokojami. Z garażem wkomponowanym w bryłę i dwoma tarasami. Miał być pasywny, wyposażony w wydajną pompę ciepła, dachówki fotowoltaiczne, rekuperatory, centralny odkurzacz i zaawansowaną instalację smart home. Miał być czysty i nowoczesny. Adekwatny do ich potrzeb.

O tym projekcie i planach poważnej inwestycji, na której początek Marcin miał odłożone kilkadziesiąt tysięcy, a resztę mógł finansować kredytem lub rozłożyć w czasie, chciał powiedzieć żonie podczas urlopu w Toskanii. Liczył na to, że Renata będzie szczęśliwa i że w końcu przestanie się wszystkim dołować. Wierzył, że własny dom za miastem okaże się tym, czego oboje potrzebują, i że może dzięki niemu żona nie tylko odżyje, ale też za jakiś czas będą mogli wrócić do tematu, o którym od dawna nie chciała słyszeć. Do tematu dzieci.

Tak naprawdę właśnie Toskania miała być przełomem, punktem zwrotnym, który pozwoli wszystko poukładać. Miała być, ale nie była.

To się stało w sierpniu dwa tysiące osiemnastego. Miesiąc przed wyjazdem teść spadł z drabiny i poważnie się połamał. Teściowa miała już od dłuższego czasu problemy ze zdrowiem, więc trzeba się było nimi zająć.

Za pierwszym razem przyjechali oboje, gdy teść był jeszcze w szpitalu. Marcinowi było na rękę, że nie musi go widywać, bo od początku tlił się między nim a ojcem Renaty jakiś bliżej nieokreślony konflikt, którego nie złagodził ani ślub, ani mijający czas. Zupełnie jakby zbyt odmienne charaktery i spojrzenia na rzeczywistość nie potrafiły ze sobą pokojowo koegzystować choćby przez chwilę, jak gdyby zawsze musiały się trzeć. Dlatego Marcin tylko podrzucił żonę i czekał w samochodzie przed szpitalem. Wtedy wydawało mu się to właściwe.

Przywiózł ją jeszcze raz czy dwa, a potem Renata jeździła już sama. Na początku na krótko, potem, gdy matka słabła, zostawała coraz dłużej. Marcin nie przyjeżdżał w ogóle, zasłaniając się pracą i awansem, do którego był pierwszy na liście, choć oboje wiedzieli, że to tylko wymówka.

Gdy na początku dwa tysiące dziewiętnastego teść umarł w wyniku komplikacji pooperacyjnych, Renata zaczęła spędzać z matką prawie cały czas. Wracła do Marcina, na Śląsk, na kilka dni w miesiącu. Dni, kiedy nie mogli się nawzajem znieść.

Wiedział, że ona ma do niego żal o to, że zostawił ją z tym samą i że przez tyle miesięcy nie znalazł czasu, aby zobaczyć jej ojca, żeby się z nim pogodzić. Wiedział, ale nie potrafił zebrać się na odwagę, aby z nią porozmawiać i przeprosić.

Dla obojga to był koszmar. Prosta droga do całkowitego rozkładu uczucia, które ich łączyło i któremu poświęcili tak wiele. Szczególnie Renata.

*

Żona patrzyła na niego ze zdjęcia na telefonie. Tego samego, które zrobili podczas jednego z zagranicznych wojaży i na którym się wygłupiała. Przypisał jej wtedy do jej numeru, kłamiąc, że to tylko na chwilę i później je skasuje. Nie skasował, nawet gdy zrobiła mu o to awanturę. Może już wtedy przeczuwał, że jakiś czas później zdjęcie stanie się dla niego ważne. Wyszła na nim idiotycznie, ale w jakiś niezrozumiały dla Marcina sposób utrwaliło nie tylko jej wygłupy, ale też to, co do niej wtedy czuł. A teraz mu o tym przypominało.

– Gdzie można podłączyć przedłużacz, kierowniku?

– Słucham? – Marcin zatrzymał palec tuż nad ekranem telefonu i spojrzał na robotnika stojącego w drzwiach kuchni. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien zwrócić mu uwagi na wprowadzony kilka dni wcześniej nakaz zasłaniania twarzy, ale ostatecznie uznał, że to nie ma sensu. Sam zresztą nawet nie wyjął z opakowania maseczki, którą zostawiła mu Renata, bo nie bardzo wierzył w tę całą histerię związaną z covidem.

– Chodzi o gniazdko, żeby pociągnąć przedłużacz na dach – doprecyzował mężczyzna.

– Chyba jest kontakt na strychu? – Marcin nie był pewien.

– Jest, ale nie działa.

– Więc proszę spróbować w korytarzu pod schodami.

– Dobra, a gdzie jest tablica rozdzielcza?

– Jaka?

– Chodzi o bezpieczniki, korki... Jakby wywaliło, to żebym wiedział, gdzie włączyć.

– Tu, na parterze, przy schodach, taka biała maskownica. – Ruchem głowy wskazał kierunek.

– Aha, w porządku... – Mężczyzna cofnął się, ale nie odszedł.

– Coś jeszcze? – spytał Marcin, zirytowany, że facet przeszkadza mu w wykonaniu telefonu, w rozpoczęciu rozmowy, na którą nie miał ochoty.

– Wie pan, kierownika, ten dach... Cały by się przydało...

– Będziemy wymieniać – uciął. – Cały, ale jeszcze nie teraz. Teraz proszę załatać.

Odczekał, aż mężczyzna odejdzie, aż dźwięk jego kroków ucichnie na piętrze, i odblokował ekran telefonu. Jeszcze przez chwilę patrzył na zdjęcie Renaty, a potem wycofał się do listy kontaktów. Uznał, że ściąganie jej tu nie ma sensu, że jest już za późno.

Dlatego zamiast do żony zadzwonił do firmy, z której prezesem miał się spotkać. Połączono go z jego asystentką. Zapewne młodą i energiczną, co ocenił po głosie i sposobie formułowania zdań. Poprosił, aby wykreśliła go z dzisiejszego terminarza, a gdy potwierdziła, podziękował i się rozłączył.

Był pewny, że więcej jej nie usłyszy, że kobieta skreśli nie tylko jego nazwisko, ale też jego samego. Nie miał jej tego za złe. Nikomu niczego nie miał za złe. Nikomu prócz teściowej.

*

Teściowa nie była taka jak teść. Jej niechęć przejawiała się biernie. Nie próbowała na każdym kroku przypominać Marciniowi, że nie jest tym, kogo widzieliby u boku córki, ale za każdym razem traktowała go z pozbawioną emocji neutralnością. Zupełnie jakby byli obcymi ludźmi, którzy przypadkowo spotkali się na przystanku i zabijają czas niezobowiązującą rozmową. Jak gdyby mimo upływu lat nie łączyło ich nic poza miejscem, w którym akurat oboje przebywali.

Teściowa była niską, nieco przysadzistą kobietą, której nalana twarz tak bardzo kontrastowała z delikatnością rysów Renaty, że Marcin zastanawiał się, jak to możliwe, że jest jej matką. Niekształtne ciało wspierane na opuchniętych, żyłastych nogach, powykrzywiane, spracowane palce i trwale zaczerwienione policzki, zachrypnięty głos, a nawet to, jak się poruszała, wydawało mu się antytezą kobiecego wdzięku i subtelności, tak bardzo pociągających w Renacie.

Pamiętał, jak mocno uderzył go ten kontrast, gdy po raz pierwszy tu przyjechał. Wtedy Renata była po prostu jego dziewczyną, od miesiąca, może

dwóch, i jeszcze nie myślał o niej na poważnie. Zaprosiła go pod jakimś pretekstem, nie pamiętał już jakim, ale wiedział, że tak naprawdę chciała, żeby się bliżej poznali. Nie wyszło to najlepiej.

Gdy zobaczył je obie razem, matkę i córkę, stojące na schodach, nie potrafił ukryć odrazy. „Czym ty jesteś, ja byłem, czym ja jestem, ty będziesz” – to cmentarne epitafium wdarło się wtedy w jego myśli, zalało je odrażającymi wizjami wiotkiego ciała Renaty, które nagle pęcznieje, rozlewa się i brzydko starzeje. W kilka chwil zmienia się ze ślicznej dziewczyny w tęgą, przykurczoną przekupę. Nigdy wcześniej i nigdy później nic takiego mu się nie przydarzyło, ale wtedy naprawdę się przestraszył i nie potrafił myśleć o niczym innym. Nie potrafił zachowywać się swobodnie ani przełamać dystansu.

Z biegiem czasu coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że właśnie tamten dzień, to pierwsze spotkanie na stałe ukierunkowało jego relacje z przyszłymi teściami. Jego niechęć odczytali jako pogardę, której nigdy nie zapomnieli i którą karmili niedopowiedzeniami. Może gdyby zareagował od razu albo chociaż w pierwszych miesiącach znajomości, gdy coraz wyraźniej zaczął dostrzegać bijący od nich chłód, udałoby się to wszystko jakoś wyprostować. Marcin jednak zrobił to, co było najłatwiejsze – zignorował sytuację.

Dlatego gdy zaręczył się z Renatą, było już za późno, aby cokolwiek naprawiać. Niby jeszcze planował, że usiądzie z jej rodzicami w przesiąkniętej zapachem gotowanych ziemniaków kuchni i wyjaśni sobie te kwestie, wyprostują animozje. Planował, ale nigdy nie zebrał się na odwagę. Pozwolił, by ich relacje gniły dalej, by definitywnie stali się odległymi planetami, dwoma obcymi światami orbitującymi wkoło jednej gwiazdy, córki i przyszłej żony. Choć w tym wypadku Marcin wolał myśleć, że to nie była kwestia braku odwagi, a raczej świadomość, że nigdy nie dadzą rady się porozumieć i że nawet gdyby się bardzo starał, prędzej czy później ich relacje i tak obrałyby kurs kolizyjny.

Marcin Bieńczuk nie miał bowiem żadnego pojęcia o życiu na wsi, ani dawnej, ani współczesnej. Nie potrafił więc znaleźć wspólnego języka z ludźmi, którzy całe życie spędzili na gospodarce, ciągnęli ją, dopóki było to jeszcze opłacalne, i nie umieli się pogodzić z tym, że przestało. Z ludźmi, których tradycje i resentymy zawieszono gdzieś pomiędzy pańszczyźnianą bogobojną harówką a cwaniactwem z przaśnego PRL-u. Którzy z własnej woli zamykali się w mentalnym skansenie nieistotnych wartości i z tej perspektywy próbowali oceniać współczesny świat, ograniczeni ekranem przestarzałego telewizora.

Nie podsłuchiwał, ale mimowolnie słyszał tamtą rozmowę. Renata próbowała wytłumaczyć rodzicom, że zarządzanie i konsulting hotelowy, w których się specjalizował, to zajęcie o wiele lepsze niż magazynier czy pracownik budowlany. Że mają przyszłość. Co gorsza, czuł, że wcale nie chodziło o niego,

o to, czy będzie im razem dobrze, a raczej o nią. O córkę, której trzeba przypomnieć, że bez względu na to, co zrobi i osiągnie, w tym domu nigdy nie będzie mieć prawa do własnych decyzji i opinii.

Przypomnienie było skuteczne, bo choć Renata przez cały dzień udawała, że nic się nie stało, to w nocy, gdy myślała, że Marcin śpi, płakała. Zwinięta w kłębek jak mała, wystraszona dziewczynka, której nikt nigdy nie powiedział, że ma wartość. Leżał obok, udając, że śpi, i myśląc o tym, ile ją kosztowało to, by wyrwać się z tej mentalnej patologii, skończyć studia i wszystko inaczej poukładać sobie w głowie. Z jednej strony ją podziwiał, z drugiej nie rozumiał, dlaczego nie odcięła się na dobre, dlaczego uczucia łączące ją z rodzicami były tak silne. Nie rozumiał i nie mógł zrozumieć, bo sam nigdy ich nie doświadczył.

Dla Marcina Bieńczuka „ojciec i matka” to puste emocjonalnie słowa, których nie mogły wypełnić ani encyklopedyczne definicje, ani imaginacje dziecka dorastającego w sierocińcu, gdzie uczucia zastępowano sztywnymi zasadami. W fabryce ludzi nieprzystosowanych i niepotrzebnych.

Nie rozumiał uczuć łączących Renatę z rodzicami, ale rozumiał te, które budowali we dwoje między sobą. Rozumiał i cenił wyżej niż cokolwiek innego. To dlatego zamiast w pięknym, nowoczesnym domu wylądowali w ruderze z lat siedemdziesiątych, której projektant nie znał takich słów jak komfort i ergonomia, za to dobrze wiedział, co to pustak i eternit.

*

Na dachu robotnicy przestali wiercić, a zaczęli coś przybijać, bo stłumione echo uderzeń niosło się po domu, wibrowało w ścianach i podłodze. Marcin Bieńczuk zasunął pokrowiec i odwiesił garnitur do dębowej szafy, której drzwi zaskrzypiały, gdy je zamykał. Szafa była stara, toporna i wysłużona. Może wykonano ją w latach sześćdziesiątych, a może wcześniej, jeszcze przed wojną. Marcin nie miał pojęcia o takich rzeczach. Wiedział jednak, że stary mebel zakończy swój żywot, gdy tylko wejdą z remontem na piętro. Na razie robili parter. Ten dom teściowa przekazała Renacie jako darowiznę i choć nie umieściła w dokumentach takiego zapisu, to wymusiła na łożu śmierci obietnicę, że go nie sprzedadzą.

Pamiętał to jak dziś.

– Naprawdę obiecałaś jej, że nie sprzedasz tej rudery? – zapytał, siłąc się na spokój, gdy rozmawiali przez telefon w dniu, kiedy lekarz stwierdził zgon. Oddzieleni od siebie setką kilometrów i ostrymi krawędziami słów, w jakich tonęli od miesięcy. Słów i emocji, które zmieniły łączące ich uczucie w śmietnik wzajemnych oskarżeń, niedopowiedzeń i zawiedzionych oczekiwań. Śmietnik

mieszczący się na jednej kartce formatu A4. Nagłówek tamtego tekstu wwiercał się w czaszkę Marcina, wywoływał mdłości.

Przerwał pisanie w połowie zdania i odłożył długopis.

– Naprawdę? – powtórzył.

– To mój dom... – wyszeptała po drugiej stronie słuchawki. – Ja... Nie mogłam jej odmówić. Przepraszam...

Usłyszał to drzenie w jej głosie. To, które pojawiała się zawsze, gdy próbowała powstrzymać łzy.

– Przepraszam, Marcin... – Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz mówiła do niego w ten sposób, bez pretensji o byle co i bez wrzasków. Bez tego cholernego piekła, które sami sobie stworzyli. Nie pamiętał już, kiedy sprawiała wrażenie tak bezbronnej.

Wtedy coś ścisnęło go w gardle. Po raz pierwszy od dawna zapragnął być przy niej, przytulić i sprawić, by poczuła się bezpieczna. Pragnął jej bliskości i był pewien, że ona pragnie tego samego.

– Posłuchaj, Renata... – Odetchnął głęboko. – Nie przepraszaj... Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. – Nie wiedział, czy więcej w tych słowach było rezygnacji, czy smutku. – Bo ja... ja tego domu...

– Rozumiem! – zapewnił szybko, jak gdyby wierzył, że tylko wypowiedziane słowa stają się faktem, a powstrzymując je, można przesunąć w czasie nieuniknione.

To dziwne, bo jeszcze chwilę wcześniej to wszystko wydawało mu się bez znaczenia, a wręcz cieszył się na myśl o tym, że Renata podejmie taką decyzję, że da mu dodatkowy pretekst, by mógł zrobić to, co uznał za niezbędne i co starał się właśnie przelać na papier.

Jednak jej głos, odarty z agresji, wyrzutów i pretensji, przepelniony prawdziwym, szczerym smutkiem, którego nie zamierzała na nim odreagować, sprawił, że to wszystko odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni, straciło sens.

Jej głos brzmiał jak wtedy, gdy dopiero się zaręczyli, a ona wyjechała na dwa tygodnie i mieli tylko telefon. Pamiętał, że coś się wtedy wydarzyło, że pokłóciła się z matką albo z ojcem, że to ją rozbiło. Zadzwoiła do niego wieczorem i opowiadała o tym, tłumiąc łzy, potrzebowała, by ją pocieszył. A on był tam dla niej, po drugiej stronie słuchawki. Był i starał się, by czuła, jak bardzo ją kocha.

To wspomnienie uderzyło go i przygniotło z irracjonalną siłą. Przez chwilę bał się, że nie zdoła wciągnąć powietrza do płuc. Ledwo rozumiał słowa, które wypowiadała gdzieś daleko.

– Ja go nie sprzedam, Marcin! – Rozpląkała się. – To mój dom!

– Dobrze, rozumiem. – Zacisnęła powieki. – Tam się urodziłaś i wychowałaś, to twój rodzinny dom, więc to naturalne, że jest dla ciebie ważny... Właściwie to

mam propozycję... – To był impuls, irracjonalna myśl, która pojawiła się nagle. – Wiesz co, Renata? Może powinniśmy go wyremontować i w nim zamieszkać. Co ty na to?

Zapadła cisza, jak gdyby połączenie zostało nagle przerwane, jakby umarło. Czekał, czując, jak serce wali mu w piersi.

– Jezu, Marcin, a twoja... – zaczęła, gdy dotarł do niej sens jego słów.

– Mam odłożone trochę pieniędzy, powinno wystarczyć. – Sam nie wierzył, że to mówi. – Wiem, że ostatnio nam się nie układało, ale chciałbym to naprawić... Może to będzie dobry sposób? Oczywiście jeśli chcesz – dodał.

– Chcę – powiedziała tak cicho, że ledwie usłyszał.

– W takim razie przyjadę dzisiaj do ciebie... Pomogę ci zorganizować pogrzeb...

– Nie. To ja przyjadę do ciebie. – Zaskoczyła go. – Muszę znaleźć dokumenty. Potem... wrócimy tu razem.

Gdy się rozłączyli, Marcin odłożył telefon, ale nie opuścił wzroku. Siedział, wpatrując się w wiszący na przeciwległej ścianie duży, przytłaczający wnętrze obraz. Beładne mazaje, jakie mógłby stworzyć pierwszy lepszy szympan, gdyby tylko dać mu kilka tubek farby w różnych kolorach. Typowe nowoczesne gówno dla nuworowsy z kijem w dupie.

Obraz nie podobał się ani Renacie, ani jemu, ale był nagrodą w jednej z firmowych licytacji charytatywnych i trzeba było coś z nim zrobić. Dlatego zawisał w gościnnym, gdzie czasami przyjmowali te osoby, które mogły pomóc w awansie, aby przypominał, jak wartościowym człowiekiem jest gospodarz.

Marcin wpatrywał się w ten obraz, myśląc o zakończonej przed chwilą rozmowie i o tym, jak by się potoczyła, gdyby nie nagły impuls, który kazał mu powiedzieć coś zupełnie innego, niż chciał. Od dawna czuł, że przez Renatę jego życie stało się takimi cholernymi mazajami rozrzuconymi po płótnie bez ładu i składu, które wywoływały wymioty, ilekroć starał się skupić na nich uwagę. Bezsensowną i niepotrzebną gmatwaniną emocjonalnych huśtawek i konfliktów, których nie mógł już dłużej znieść, które musiał zakończyć, aby wreszcie odetchnąć, aby odzyskać równowagę.

Kto wie, może gdyby w odpowiednim momencie znalazł sobie kochankę, byłoby mu łatwiej? Zamiast kisić się w fochach Renaty, pieprzyłby sobie jakąś laskę na boku, bez zobowiązań i marudzenia... Ot tak, żeby się odstresować i spuścić ciśnienie. Może wtedy łatwiej by mu było olewać problemy, zamiast się nimi przejmować. Przejmowanie się nic dobrego nie przyniosło, a tak, kto wie, może z czasem wszystko samo by się jakoś ułożyło... Ale Marcin nie znalazł sobie nikogo na boku. Nie dlatego, że nie miał okazji, ale dlatego, że w głębi serca nie akceptował zdrady, uważając ją za przejaw słabości charakteru.

Nie, zdrada nie wchodziła w grę i Marcin Bieńczuk w pewnym momencie wierzył, że zostało mu tylko jedno wyjście. Długo o nim myślał i był przekonany, że tak będzie najlepiej dla nich obojga, że dzięki temu przestaną cierpieć. Był przekonany aż do tamtej rozmowy, do kilkuminutowego połączenia, które było niczym wobec tych wszystkich tygodni mordowania łączącego ich uczucia, ale mogło być wszystkim wobec tego, co ich czekało, co mogło czekać. Po tamtej właśnie rozmowie opuścił wzrok na blat stołu, na długopis i leżącą pod nim kartkę, której nagłówek układał się w przejmujące chłodem słowa: „Pozew rozwodowy”. Po chwili wahania podniósł dokument i podarł go na kilka kawałków, które wyrzucił do kosza w kuchni. Potem nalał sobie koniaku, aby uspokoić rozedrganie wypełniające jego myśli.

Wtedy wydawało mu się, że chyba oszalał, że sam nie wie, co robi, ale gdy kilka godzin później Renata stanęła w drzwiach, gdy wziął ją w ramiona i gdy kochali się długo i namiętnie, uwierzył, że wszystko da się jeszcze naprawić, że bardzo tego chce.

To wspomnienie utkwilo w jego pamięci jak kotwica w dnie. Jej zapach i dotyk, dłonie zaciśnięte kurczowo na jego ramionach, przyspieszony oddech i ciche jęki. Napięte mięśnie i pot spływający z czoła, oblepiający plecy i pośladki, rytmiczne ruchy i ten cholerny obraz, kolorowe mazaje podskakujące hipnotycznie przed oczami, wdzierające się przez źrenice do jego czaszki i bełtające szyderczo w mózgu, jak gdyby chciały zmusić go, by w tej wyjątkowej chwili, w tym spełnieniu nieświadomych, niedopuszczanych do siebie pragnień zniszczył je nagłą eksplozją treści żołądkowej lub by chociaż zakręciło mu się w głowie, by stracił równowagę i zsunął się z kanapy, przerywając chwile uniesienia, studząc rozpalony na nowo żar. Ale Marcin Bieńczuk nie zamierzał na to pozwolić, nie zamierzał się poddawać. Zacisnął zęby i przyspieszył, uderzał coraz mocniej i mocniej, aż Renata zaczęła jęczeć tak głośno, jak nigdy wcześniej, aż jej paznokcie wbiły się w jego skórę do krwi. Obraz przestał mieć znaczenie, przestało mieć je wszystko. Wszystko prócz Renaty.

Tak, w tamtym momencie, na kanapie w ich śląskim mieszkaniu, Marcin Bieńczuk zrozumiał, że tylko ona się dla niego liczy. Zrozumiał, że może poświęcić wiele, być może nawet wszystko, że dla niej warto to zrobić.

To dlatego kilka tygodni później wylądowali oboje w starym, brzydkim domu. Kilka kilometrów od niewielkiego miasteczka Sennowo. W lesie, gdzieś między Bożą Wolą a Sumiennem. Pomiędzy przekrzywionymi, ledwo czytelnymi tablicami z nazwą miejscowości zbyt małej, by ktokolwiek chciał ją zapamiętać. Wąska asfaltowa droga, trzy zamieszkałe domy i resztki dwóch sadyb łąpczywie

zagarnianych przez naturę, przez otaczający je z każdej strony las. To było wszystko.

*

Robotnicy skończyli pracę po kilku godzinach i zawołali Marcina, aby upewnić się, że dach załatany jest solidnie. Powinien wiedzieć, za co płaci. Gdy wyszli, wrócił na strych sprawdzić, czy niczego nie ruszali. Mógł zrobić to od razu, ale nie pomyślał, skupiony na wątpliwej przyjemności włożenia na starą drabinę i wyglądania przez wyłaz. Lęk wysokości, jaki towarzyszył mu od dziecka, sprawiał, że nie czuł się komfortowo.

Strych był duszny i śmierdział kurzem, który grubą warstwą pokrywał upychane tu przez lata szpargały. Resztki starych mebli, jakieś wypaczone deski, przewróconą dawno stertę bezużytecznych podręczników i związane sznurkiem gazety. Marcin przetarł dłonią jedną z nich i spojrzał na odległy rok wydania. Uznał, że będą je musieli wszystkie przejrzeć przed wyrzuceniem, sprawdzić w sieci, czy nie mają jakiejś wartości. Ostatnio coraz modniejsze stawało się kolekcjonowanie pamiątek z Peerelu, więc kto wie.

Rozejrzył się, ale nie zauważył, by cokolwiek było ruszane. Nic poza wiklinowym koszem i resztkami wysokiej lampy ze zszarzałym koronkowym abażurem, które trzeba było przestawić, aby dostać się do włazu. W sumie niepotrzebnie zaprzętał sobie tym głowę, bo chyba nikt by nie uwierzył, że ta graciarnia mogła skrywać cokolwiek wartościowego.

Ciche stuknięcie odciągnęło jego uwagę. Dobiegło z za komina, z miejsca, w którym stały jakieś pudła i skrzynie po owocach, niechlujnie przykryte podartym płótnem. Na szczycie tej sterty leżała sztuczna choinka owinięta kawałkiem pożółkłej, dziurawej folii. Marcin wzdrygnął się mimowolnie. Po zamknięciu klapy jedynym źródłem światła była zwisająca z krokwi stara czterdziestowatowa żarówka i dwa okienka umieszczone po przeciwległych stronach strychu. Nieduże i niemyte od lat. Za kominem powinna świecić jeszcze jedna żarówka, ale musiała się spalić albo stare kable gdzieś nie łączyły. To też trzeba będzie naprawić.

Kolejne stuknięcie było cichsze, ale i tak serce zabiło mu mocniej. Sięgnął po telefon i uruchomił latarkę. Blade światło diody prześlizgnęło się po rupieciach, nie odnajdując źródła dźwięków.

Zbliżył się, zastanawiając, czy to mysz, czy szczur. Wolał pierwszą opcję, bo długie szczurze ogony źle mu się kojarzyły, od kiedy spędził noc w ciemnej piwnicy bidula. Zamknęło go tam dwóch starszych wychowanków, uważając to za zabawne. Marcin się nie śmiał.

Zatrzymał się dwa kroki od miejsca, gdzie rozdarcie płachty odsłaniało drewniane skrzynki. Jedna z nich była uszkodzona. Między wyłamanymi deskami ziała czarna przestrzeń, w głąb której nie sięgał ledowy blask. Gdy próbował poświecić pod innym kątem, coś poruszyło się wewnątrz. Zamarł. Poruszyło się albo tylko mu się wydawało.

– Pieprzyć to – mruknął. Mysz czy szczur, to w końcu wszystko jedno. Trutka działa na wszystkie.

Musiał tylko przynieść ją z kuchni, z szafki pod zlewem. Pomyślał jeszcze, że może to też być łasica albo kuna i że pewnie to ona przegryzła kabel od drugiej żarówki, gdy nagle coś wystrzeliło spod płótna i z furkotem walnęło go w pierś.

Potknął się i wywrócił, uderzając boleśnie o stare dechy. Telefon wyślizgnął mu się z ręki. Snop światła rozpalił tańczące w powietrzu drobiny kurzu, prześlizgnął się po krokwiach, wyostrzając ich kształty.

– Kurwa... – wymamrotał Marcin, próbując wypluć pył, który wypełnił jego usta gorzkim smakiem starości.

Przewrócił się na bok i spojrzał na wróbla tłukącego się histerycznie o szybę. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe.

– O mało się przez ciebie nie posrałem, słyszysz, ty latająca myszo? – Odkaszlnął i dźwignął się na nogi. Podniósł telefon i upewnił się, czy jest cały. – Ja pierdołę... Poczekaj... – sapnął do spanikowanego ptaka.

Gdy się zbliżył, wróbel uciekł w mrok. Słysząc było, jak jego nieduże skrzydła biją powietrze, jak przelatuje z miejsca na miejsce, jak zahacza o przeszkody.

Marcin chwilę siłował się z ryglem, krusząc pokrywające go spękane warstwy farby. Nieużywane od lat zawiasy zazgrzytały, poddając się z trudem. Otworzył na oścież okno tkwiące w wypaczonej framudze i wyjrzał na zewnątrz. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem, uspokoić się, ale zamiast tego znów poczuł się nieswojo, gdy zapadnięta, pomarszczona twarz zwróciła się w jego stronę.

*

Wtedy po raz pierwszy Marcin Bieńczuk zobaczył tego człowieka. Człowieka, który mieszkał tuż za płotem, wysokim i betonowym. Renata mówiła o nim niechętnie, tyle tylko, że ma coś z głową. Stary wariat, który przez lata uprzykrzał życie wszystkim wkoło, aż w końcu ktoś nie wytrzymał i pobił go prawie na śmierć.

Pobił albo potrafił samochodem, Renata już nie pamiętała dokładnie. To było dawno, gdy jeszcze była dzieckiem, wtedy takie sprawy jej nie interesowały. Po tym wydarzeniu sąsiad się uspokoił, ręka źle się zrosła i od tamtej pory nosił ją podgiętą do piersi, rzadziej wychodził z domu. Parę lat później pochował

najpierw jedyną córkę, która zginęła w wypadku kilka kilometrów dalej, potem żonę. Został całkiem sam i do reszty zdziwaczał.

Ile mógł mieć lat? Renata nie była pewna. Raz mówiła, że dziewięćdziesiąt, innym razem, że więcej. Za każdym razem powtarzała, że o kilkadziesiąt za dużo. Powtarzała bez przekonania, z przyzwyczajenia, po rodzicach. Tak samo jak przezwisko „Partyzant”, używane zamiennie z „wariatem”. Gdy Marcin pytał o tego „Partyzanta”, tylko wzruszała ramionami. Może rzeczywiście był podczas wojny w partyzantce, może nie. Nie wiedziała. W okolicy osób w podobnym wieku było już niewiele. Z każdym rokiem mniej. Mało kto mógł to pamiętać.

Partyzanta nie widzieli ani razu, odkąd się sprowadzili. Przez te kilka miesięcy Marcin niemal o nim zapomniał, uznając, że Renata sobie z niego zażartowała i że facet już dawno nie żyje, bo zarośnięta posesja i ledwo widoczny, rozpadający się drewniany dom wydawały się puste i martwe. Aż do teraz...

Mężczyzna był niski i wychudzony, ubrany w jutowy worek przewiązany sznurkiem. Stał wśród wysokich chwastów porastających całą działkę, w niedużym okręgu, który musiał wcześniej wydeptać i do którego prowadziła wąska ścieżka. Wsparty na łopacie krzywo wbitej w ziemię, z trudem utrzymywał pion. Albo był zmęczony, albo pijany, a mimo to od razu zwrócił uwagę na Marcina. Podniósł głowę i wpatrywał się w niego zapadniętymi w głąb czaszki oczami.

– Jezu – mruknął Marcin mimowolnie i cofnął się w głąb strychu.

Przez moment zastanawiał się, czy nie zrobić starcowi zdjęcia i nie wysłać go Renacie, ale uznał, że to by nie było w porządku. Nie chciał zresztą zwracać na siebie uwagi, a tym bardziej wkurzać faceta. Jeszcze tego im było trzeba, żeby jakiś świr zza płotu zaczął uprzykrzać im życie. Marcin zostawił otwarte okno i zszedł na dół.

Zegar zawieszony na ścianie w kuchni wskazywał, że do powrotu Renaty zostały jeszcze dwie godziny. Przebrał się w robocze ciuchy i otworzył drzwi do pokoju po drugiej stronie korytarza. Folia wydeła się i zaszeleściła, gdy ją rozchylił. Zwisła z framugi, tworząc jako taką osłonę przed wydostającym się z pomieszczenia kurzem. Zabezpieczała też parkiet, który był co prawda stary, ale równy, więc nadawał się, aby położyć na nim panele.

Marcin otworzył okno na oścież, założył rękawice i uzbrojony w szpachlę wrócił do przerwanej wczoraj zajęcia. Do zeszkrobывania starej farby.

ROZDZIAŁ 2

KWIECIEŃ 2020
MARCIN

Domy były trzy, postawione po tej samej stronie drogi. Wciskały się w las tuż za tablicą z nazwą miejscowości, którą łatwo było przegapić. Szary kłoc Bieńczuków stał pierwszy, jeśli jechało się od Sennowa przez Bożą Wolę, i ostatni od strony Sumienna. Położony na kwadratowej działce, gdzie znajdowały się też stara stodoła, wiata z rdzewiejącym pod nią bezwartościowym sprzętem i niski budynek. Kiedyś chlew i kurnik, a teraz graciarnia.

Drewniana rudera „Partyzanta” od Bieńczuków oddzielona była betonowym ogrodzeniem ponaddwumetrowej wysokości, a od ulicy starym, zmurszałym płotem, pochłanianym przez dawno zdziczały żywopłot, który tylko przy otwartej i zapadniętej w ziemię furtce rozwidlał się na tyle, że można było się przez niego przecisnąć.

Trzeci dom należał do rodziny Terwiczów. Pomalowany pastelowym różem, całkiem nieźle komponującym się z bielą balustrad i rzeźb eksponowanych na zadbanej działce, wydawał się nieco za duży dla trzyosobowej rodziny, która w nim mieszkała. Terwicze, ojciec i syn, prowadzili warsztat samochodowy w nieodległej Popielówce, osadzie na granicy Sennowa. Matka była na emeryturze, opiekowała się domem. Marcin trochę ich już poznał, najbardziej syna, bo bawili się u Terwicza w sylwestra, na imprezie, na którą zaprosił kilkanaście osób.

Młody Terwicz miał na imię Rafał, był w wieku Renaty, razem chodzili do szkoły. Nie zrobił na Marcinie najlepszego wrażenia, nie z tym całym

zgrywaniem kozaka, waleniem samojebek na insta i przechwalaniem się przy własnej narzeczonej, jakie laski wyrywał jeszcze nie tak dawno. Koleś zachowywał się, jakby wciąż miał szesnaście lat i uważał się za Bóg wie kogo. W istocie był zwykłym dupkiem z syndromem Piotrusia Pana. Mimo to Marcin starał się być dla niego miły. Dla niego i pozostałych, z którymi nie łączyło go nic poza miejscem, w którym się znaleźli. Miejscem i Renatą.

Dopiero na tej sylwestrowej domówce Marcin zrozumiał, że przez ostatnie lata źle oceniał swoją żonę, że to, co brał u niej za jakąś formę fobii społecznej, było w istocie tęsknotą za starymi przyjaciółmi, którzy towarzyszyli jej przez całe dzieciństwo i młodość, a których jej pozbawił, namawiając na to, by zamieszkała z nim na Śląsku. To właśnie tam, w domu Terwiczów, po raz pierwszy od kilku lat znów zobaczył w Renacie tę dziewczynę, w której zakochał się na studiach. Wesołą i pełną energii, naprawdę szczęśliwą.

Gdy razem tańczyli, gdy patrzyła na niego tak jak kiedyś, dawno temu, czuł radość, że znów jest sobą, i żał, że był takim głupkiem, by nie liczyć się z jej potrzebami, by tak długo ich nie dostrzegać.

Dlatego starał się być miły dla koleżanek i kolegów, dawnych przyjaciół Renaty, i udawał, że świetnie się bawi w ich towarzystwie. Mimo że zupełnie nie interesowały go ich głupie gadki ani nie bawiły żarty, nie dał tego po sobie poznać, rozmawiał i śmiał się ze wszystkimi. Był jej to winny.

Niedługo po północy, gdy z głośników poleciały skoczne takty, wywołując orgię laserowych świateł, a podpite towarzystwo próbowało nadażyć za szybkim rytmem, Marcin pod byle pretekstem zostawił Renatę na parkiecie i zaszył się w cieniu pod ścianą, w miejscu, skąd mógł podziwiać, jak daje energetyczny popis tańca. Podziwiał jej zgrabne ciało i seksowne ruchy, napawał się nimi i utrwał w pamięci.

To wspomnienie czasem wracało do niego w snach albo gdy zamknął oczy. Widział ją znowu roztańczoną, bliską i odległą jednocześnie, znajomą i obcą. Poruszała się w zupełnej ciszy, bo zapamiętał wszystko, każdy kolor i ruch, ale żadnego dźwięku. Kolorowy film w głowie z wciśniętym „mute”. Nie wiedział czemu.

*

Otwarte na oścież okiennice sprawiły, że wyraźnie słyszał dobiegające z zewnątrz dźwięki. W świergot pierwiosnków i świstunek wkraść się narastający szum opon na asfalcie. Samochód zwalniał, więc Marcin podszedł do okna. Spodziewał się zobaczyć Renatę parkującą pod bramą, bo chociaż nie miał przy sobie zegarka ani telefonu, wydawało mu się, że to już właściwy czas na jej powrót. Za późno

się zorientował, że samochód zwolnił, ale nie zamierza się zatrzymywać. Zamiast Renaty zobaczył Rafała Terwicza, który pomachał mu przyjaźnie przez otwartą szybę. Marcin odpowiedział podobnym gestem i cofnął się w głąb pomieszczenia, zły, że musiał go oglądać.

Nie lubił Terwicza nie tylko ze względu na jego sposób bycia, ale przede wszystkim dlatego, że to przez niego musiał się teraz męczyć z remontem. Robić coś, czego nie chciał i nie potrafił, a co nagle okazało się podobno wyznacznikiem jego męskości.

– Głupi kutas – mruknął pod nosem i wrócił do przerwanej pracy, która szła jak krew z nosa. To tylko pogłębiało jego frustrację.

Marcin Bieńczuk nigdy nie czuł żadnego pociągu do majsterkowania, niczego nie naprawiał. Odkąd tylko mógł, zepsute rzeczy po prostu wyrzucał i na ich miejsce kupował nowe. W przypadku mieszkań, które zmieniał dotychczas dwa lub trzy razy, nigdy nawet nie przyszło mu do głowy, by cokolwiek zrobić samemu. Za przemalowanie ścian czy zmiany aranżacji płacił odpowiednim ludziom. Było go na to stać, ale to nie pieniądze decydowały o takim podejściu.

W domu dziecka jedna z sióstr zakonnych, która próbowała sprawić, żeby niechciane dzieci zaprosiły do swych serc Jezusa, stale powtarzała im, że znalazły się w tym miejscu, bo nikt ich nie chce i nie potrzebuje. Powtarzała, że jedyne, do czego się nadają, co będą mogły kiedyś robić, to ciężko harować fizycznie. Że tylko w ten sposób zmażą z siebie grzech, którym było ich istnienie. Powtarzała, że to dlatego rodzice się ich wyrzekli, dlatego ich nie chcieli.

– Będziesz robolem, ty też, i ty, i ty... – Pokazywała kolejno palcem. – Będziecie pracować w pocie czoła, żeby Bóg wam przebaczył... Oczywiście o ile wcześniej nie wylądujecie w więzieniu lub nie zaćpacie się w jakiejś bramie. Powiedz... – zwracała się do wystraszonych dziesięcio- czy dwunastolatków – czy chcesz ćpać? Chcesz, żeby pan Jezus widział, jak to robisz?

Gdy w końcu siostrunię odsunięto od pracy z dziećmi, a na jej miejsce przyszła taka, która miała wszystkie klepki tam gdzie trzeba, było już za późno, by naprawić szkody. Trauma wrosła w psychikę Marcina jak grzyb w drewno.

Paradoksalnie to właśnie tej psychopatce Bieńczuk zawdzięczał swój sukces. Przynajmniej w pewnym sensie.

To było niedługo przed jego osiemnastymi urodzinami, w jednej z tych wąskich, śmierdzących uliczek, gdzie właściciele knajp wyrzucają resztki do nigdy nieczyszczonych kontenerów. Marcin wyszedł tam, bo do toalety była kolejka, a on wypił cztery piwa i musiał, ale to naprawdę musiał opróżnić pęcherz.

Gdy rozsunał rozporek i oparł się o ścianę, usłyszał bełkotliwy głos. W innej sytuacji odszedłby stamtąd jak najszybciej, ale wtedy było już za późno. Ciepła struga tryskała z wyczekiwaną ulgą i nie dało się jej zatrzymać. Poza tym głos wymówił jego nazwisko.

Chłopak siedział za kontenerem, na kartonach. W miejscu, gdzie ledwie docierało słabe światło umieszczonej na budynku lampy. Widać było zlepione brudem strąki włosów, rzadki zarost i podwinięty rękaw, odsłaniający rękę pokrytą ospą strupów. Obok leżały reklamówki foliowe, szmaty i strzykawka.

– Miała rację, kurwa, co nie, Bieńczuk? – powtórzył. – Pieprzona pingwinica miała rację. Gównno z nas będzie...

Marcin się wzdrygnął. Jego otumaniony alkoholem mózg potrzebował chwili, by w tym zapuszczonym menelu rozpoznać Kamila, jedyne dziecko, z którym kiedykolwiek się zaprzyjaźnił. Z którym znosił upokorzenia, cierpiał, ale też śmiał się i marzył o lepszym życiu niż to w bidulu, dziecka, z którym próbował z niego uciec.

Nic z tego nie wyszło, bo nie mogło. Byli za mali, by racjonalnie planować taki krok, by go zrealizować. Sprawa szybko się wydała i ich rozdzielono. Marcin został, a jego przyjaciela przeniesiono do innego ośrodka. Nigdy więcej się nie zobaczyli – aż do tej chwili w ciemnym zaułku.

Podkrążone, upiornie ruchliwe oczy wpatrywały się w Marcina, wwiercały w jego czaszkę, rozpałały ją mieszaniną sentymentów i obrzydzenia.

– Miała rację – wybełkotał chłopak. – Gównno z nas będzie...

– Może z ciebie! – warknął wtedy Marcin, zasuważąc rozporek. Odwrócił się, minął drzwi knajpy przywołujące go stłumionym gwarem zabawy i ruszył chwiejnym krokiem w stronę wylotu z zaułka. Odległego prostokąta rozświetlonego blaskiem latarni. Udawał, że nie słyszy za plecami niewyraźnych nawoływań dawnego przyjaciela. Kiedyś pełnego marzeń dziecka, a teraz śmiecia, w którego oczach przejrzał się jak w zwierciadle.

Marcin brał wtedy udział w pilotażowym programie usamodzielniania, który zapewnił mu małe mieszkanie i skromne fundusze. Objęto nim ledwie piątkę dzieci kwalifikowanych ze względu na wyniki w nauce. Marcin ciężko na to pracował, więc gdy się udało, miał wrażenie, że złapał Pana Boga za nogi, że może świętować. Tyle że świętowanie się przedłużyło. Tydzień, miesiąc, pół roku...

Jak spuszczonego z łańcucha pies, który po raz pierwszy zaznał wolności i może robić to, co chce, Marcin szlajał się od knajpy do knajpy, z imprezy na imprezę. Nowi znajomi, nowe miejsca, brak czasu na szkołę. Naukę zaniedbał, średnia spadła, na pierwszą rozmowę z psychologiem spóźnił się pół godziny. Na kolejną nie poszedł. Szkoda mu było czasu...

Dopiero w tamtym mrocznym, śmierdzącym uryną i odpadkami zaułku dotarło do niego, że był idiotą, że własnymi rękami starał się zniszczyć wszystko, na co ciężko pracował, że znajdował się na granicy upadku...

– Wszystko, co bezwartościowe, nawet jeśli podrzucone w górę, musi spaść – mówiła zakonnica, biorąc do ręki kamień. – To jesteście wy... – Podrzuciła go i pozwalała, by z głuchym trzaskiem spadł na bruk. – Nawet jeśli kiedyś coś osiągniecie, to nie będzie miało żadnego znaczenia, bo prędzej czy później znów wrócicie tam, gdzie wasze miejsce. Na sam dół...

Marcin potknął się o coś, uderzył biodrem o kontener na śmieci, upadł w śmierdzącą kałużę. Niemal na granicy wyznaczonej przez blask ulicznych latarni i warkot przejeżdżających samochodów.

– Nie! – stęknął, podnosząc się niezdarnie. – Nie ja... – Wyprostował się i odwrócił w głąb zaułka, gdzie paliła się samotna lampa. Z tej odległości nie mógł dostrzec siedzącej postaci, ale wiedział, że tam jest.

– Ze mnie nie będzie gówna! – krzyknął w tamtą stronę. – Ja nie upadnę!

Otrzeptał pobrudzone dłonie i wyszedł w blask.

Maszerując wtedy w stronę domu, nie zwracał uwagi na cudze spojrzenia, choć dobrze wiedział, co ludzie mogą sobie o nim myśleć. O brudnym, zataczającym się i mamroczącym do siebie chłopaku. W innej sytuacji byłoby mu wstyd, ale nie wtedy. Wtedy nie miało to znaczenia, bo Marcin już nie był tym człowiekiem, od którego odwracali wzrok. Był tym, który ma przyszłość.

*

– Cześć, Bišku! – Wesoły głos Renaty oderwał go od skrobania. Stała w drzwiach, odchylając folię i wodząc wzrokiem po pomieszczeniu.

– Oceniasz postępy? – zapytał. Pył zachrząścił mu w zębach.

– Kawał świetnej roboty! – pochwaliła. – Zrobić ci coś do picia?

Gówno prawda! – pomyślał, ale nie powiedział na głos. Oboje wiedzieli, że wszystko wlecze się niemiłosiernie, że już dawno powinien kończyć malowanie tego pokoju, a nie pieprzyć się ciągle ze zdrapywaniem starej farby. Ale najwyraźniej Renata wołała udawać, że jest inaczej. Może nie chciała sprawiać mu przykrości, a może uważała, że na więcej go nie stać.

– Herbatę – poprosił. – Jak było w pracy?

– Rozpisałam swój pierwszy przetarg, na fotopułapki dla nadleśnictwa. Będą finansowane ze środków gminy. Czyli papierologia i nudy. – Roześmiała się. – A tobie jak poszło...? Zresztą, opowiesz mi przy stole! – dodała, nim zdążył się odezwać, i zniknęła w korytarzu.

– Przywiozłam pizzę z tej pizzerii, o której ci mówiłam! – krzyknęła z kuchni. Jej głos brzmiał trochę piskliwie, jak zawsze, gdy go podnosiła.

Mruknął pod nosem coś, czego nie mogła usłyszeć, i poszedł się umyć. I przebrać, bo robocze ciuchy nie pasowały do jej eleganckiej garsonki.

– Jak ci poszło, Biśku? – powtórzyła, gdy już jedli.

Wiedział, o co pyta, ale nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Popęnił błąd, opowiadając jej o tej firmie, do której aplikował, o tym, że szukają kogoś z jego doświadczeniem i kompetencjami na stanowisko koordynatora i że ma duże szanse.

Popęnił błąd, bo za bardzo podekscytował się wizją, że po kilku miesiącach znów wskoczy w zawodowe tryby, że znów poczuje się kimś. Przez to jego ekscytacja udzieliła się i jej, chociaż nie powinna, bo wszystko było tylko prawdopodobne, ale nie pewne.

Marcin był realistą i zdawał sobie sprawę, że nie zawsze to kompetencje są decydującym kryterium, że na decyzję może wpłynąć wiele czynników, również zupełnie nieobiektywnych. Nigdy jednak nie przypuszczał, że będzie to ich cholerny dach.

– Poszło dobrze, ale muszę to jeszcze przemyśleć, warunki nie są do końca takie, jakich oczekiwałem – skłamał.

– Na pewno pójdą ci na rękę. – Uśmiechnęła się. – Już się powinni zorientować, że nikogo lepszego od ciebie nie znajdą.

– Możliwe. – Wepchnął kawałek pizzy do ust.

– W Kielcach były duże korki? – zainteresowała się.

Spojrzał na nią z irytacją. Nie mógł cofnąć tego, co powiedział przed chwilą, ale nie chciał też brnąć w kłamstwo. Żuł powoli, mając nadzieję, że Renata zmieni temat, ale najwyraźniej nie zamierzała tego zrobić. Jadła, czekając, jakby ją to naprawdę obchodziło. Poczul napływającą falę gniewu.

– O co ci chodzi? – zapytał z pełnymi ustami.

Zdziwiła się i zamierzała zareagować, ale wtedy zadzwonił dzwonek, przeszywając ich oboje metalicznym dreszczem.

Marcin odłożył niedojedzony brzeg ciasta i nie patrząc na Renatę, ruszył do drzwi, gdzie na ścianie wisiał stary, kanciasty domofon. Nacisnął przycisk i burknął do głośnika:

– Kto tam?

Przyszło mu na myśl, że może listonosz wrzucił coś do skrzynki i zdecydował się powiadomić ich o tym fakcie, albo jakiś przyjezdny chciał spytać o drogę. W najgorszym wypadku to ktoś od Terwiczów. Zupełnie nie spodziewał się, że usłyszy szorstki głos:

– Dzień dobry, komisarz Wargalski, policja, proszę otworzyć.

ROZDZIAŁ 3

KWIECIEŃ 2020
MARCIN

Była ich dwójka. Komisarz, krępy szatyn, którego komiksowe imię Gwidon kontrastowało z poważnym, trochę gburowatym wyrazem twarzy, i aspirantka. Dziewczyna była dużo młodsza, przedstawiła się jako Kamila. Marcin nie zapamiętał nazwiska, ale mimowolnie poczuł do niej sympatię. Może z powodu tych dołeczków w policzkach i wesołych oczu, a może dlatego, że przyglądała mu się przy powitaniu chwilę dłużej, niż było to konieczne. Miała miły głos, w przeciwieństwie do Wargalskiego. Przez chwilę Marcin zastanawiał się, czy powinni założyć maseczki i łypać na siebie sponad nich, jak w jakiejś kiczowatej komedii, ale nikt o tym nie wspomniał, mimo że wystawały z kieszeni mundurów.

– Proszę o jakieś dokumenty tożsamości. Może być prawo jazdy. – W ustach komisarza nie była to prośba, a polecenie. – Możemy gdzieś usiąść? – zapytał, rozglądając się ostentacyjnie.

– Może tu... – Marcin odsunął szeleszczącą folię. Gestem zaprosił ich do pokoju, w którym czas zatrzymał się w latach osiemdziesiątych. – Mamy remont, więc...

– Widzę.

Usiedli przy dużym stole, na którym wciąż leżał obrus uprasowany przez świętej pamięci teściową. Przy fotelu stały jej wytarte klapki, a na taborecie pozostała niedoczytana gazeta i okulary, których nie zdążyła włożyć do etui.

Marcin dopiero wtedy uświadomił sobie, że popełnił błąd. Zaskoczony wizytą policji przestał myśleć racjonalnie i dlatego zaproponował ten pokój. Jedyne na parterze, którego jeszcze nie ruszali i który miał wszystkie meble. Chciał dobrze, ale przez te nerwy i zaskoczenie nie pomyślał, że dla Renaty będzie to bolesne, że będzie musiała tu wejść po raz pierwszy, odkąd się wprowadzili. Spojrzał na nią przeprasząc, ale wzrok miała spuszczone. Drżała.

– Dziękuję. – Policjantka skończyła spisywać ich dane i oddała dokumenty.

– Dowiemy się w końcu, o co chodzi? – spytał Marcin.

W pierwszym odruchu chciał zaproponować, żeby jednak przeszli do kuchni, chciał wszystko naprawić. Tyle że to by już niczego nie zmieniło, nie cofnęło czasu. Poczucie winy zapiekło go od środka.

– Chcemy rozpytać państwa na... – zaczęła Kamila, ale Wargalski wszedł jej w słowo.

– Julia Makowska – powiedział, patrząc Bieńczukowi prosto w oczy. – Co pan o niej powie?

– Nic. – Marcin cofnął się odruchowo. – Nie wiem, kto to jest.

– Jest pan pewien?

Było coś w głosie i spojrzeniu komisarza, co sugerowało, że uważa inaczej. Zupełnie jak gdyby zadawał pytanie tylko dla zasady, dobrze znając odpowiedź i wiedząc, że jest twierdząca. Jak gdyby czekał na to, by Marcin skłamał, bo przecież oni zawsze kłamią, prawda? Zawsze mówią, że nic nie wiedzą, nie znają, nie widzieli ani nie zrobili. Odruchowo, bez zastanowienia, prosto w oczy.

To było coś, czego szybko uczy się każdy policjant. Niezależnie od tego, czy ludzie robią to ze strachu czy wyrachowania, nie można im ufać, nie można wierzyć w każde słowo, ale trzeba słuchać i zadawać pytania w taki sposób, aby odkryć fałsz, by sami się zdradzili. Każdy policjant musi brać to pod uwagę. Mało który to lubi, ale Wargalski najwyraźniej zaliczał się do wąskiej grupy cynicznych i wrednych skurwysynów, którzy czerpali radość z takich sytuacji i podniecali się na myśl, że będą mogli tak przycisnąć człowieka, by się zaplątał we własnych słowach i sam się zdradził. To było widać w jego oczach.

Marcin poczuł żar wypełzający spod koszuli i rozpalający szyję, wspinający się na policzki poczuciem winy, której nie było.

– Tak, jestem pewien, do cholery! – Niepotrzebnie podniósł głos, co wyraźnie ucieszyło komisarza.

– Majula – powiedziała cicho Renata. – Majula ma na imię Julia...

– No więc? – Wargalski nie spuszczał wzroku z Marcina.

Wspomnienia uderzyły go chłodem wciskającym się pod ubranie, przyniosły echo odległych, spóźnionych fajerwerków, błyszczących oczu wpatrujących się w niego tajemniczo i niezręcznie wypełniającej tamtą noc.

– Majula... – powtórzył Marcin. – Teraz już wiem, o kogo chodzi. Zapomniałem, jak się nazywa, przepraszam.

– Więc? – Wargalski ostentacyjnie pstryknął długopisem i zapisał coś w notatniku.

– Tak, Majule... Julię poznałem w sylwestra, w domu Rafała Terwicza, to nasz sąsiad. Nie wiem... Może ktoś mi ją przedstawił, ale nie mam pamięci do nazwisk, a wszyscy wołali ją Majula i tak zapamiętałem. To narzeczona Rafała Terwicza... Była narzeczona – poprawił się. – Bo w połowie stycznia się chyba rozstali... – Spojrzał na Renatę, a ta skinęła głową. – Wiem, że pracowała w aptece w Sennowie i że jakiś czas po rozstaniu z Terwiczem wyjechała gdzieś do rodziny. Więcej może państwu powiedzieć moja żona, bo znały się od dziecka. Ja tu przyjechałem niedawno i nie...

– Na razie interesuje mnie to, co pan ma do powiedzenia. – Wargalski wszedł mu w zdanie. – Pamięta pan, co robił pierwszego stycznia około drugiej nad ranem?

– Byłem u Terwicza w domu, tak jak już mówiłem... – Marcin się zawahał. – Czemu pan mnie przesłuchuje?

– Nie przesłuchuję, tylko rozmawiam. Jak będę chciał pana przesłuchać, to spotkamy się na komisariacie w Kielcach, pod które podlega wasze Sennowo. To taka zasadnicza różnica. – Spojrzał na Marcina spode łba. – Chyba że pan woli?

– Nie.

– Więc proszę opowiedzieć o tym, co pan robił w nocy pierwszego stycznia z Julią Makowską.

– Nic nie robiłem! – Zbyt późno uświadomił sobie, że znów podniósł głos, że Renata patrzy na niego zdezorientowana. Że wszystko jest nie tak. – Cholera, przepraszam, ale miałem dziś bardzo ciężki dzień... Denerwuję się, bo ta sytuacja mnie zaskoczyła, państwo mnie zaskoczyliście... – wymamrotał i odwrócił wzrok.

Właśnie wtedy tak naprawdę dotarło do niego, jak bardzo zmienił się przez ostatnie miesiące. Jak z pewnego siebie faceta stawał się powoli wycofanym neurotykiem, który nie potrafi zapanować nad emocjami ani trzeźwo patrzeć na rzeczywistość. Lata pracy nad sobą, nad charakterem, ograniczeniami i słabościami przestawały mieć znaczenie. Tracił opanowanie.

Kolejny raz w swoim życiu leciał głową w dół i kolejny raz robił to na własne życzenie, bo owszem, mógł się usprawiedliwiać, że to вина tego gównianego domu i gnijących wspomnień, które wyzierały z każdego kąta i mebla, a nawet nie były jego wspomnieniami. Że to przez ten cholerny, otaczający ich las, napierający z każdej strony, przyduszający i zwisający nad drogą upiorną groźbą, że któregoś dnia zarośnie ją szczelnie, uniemożliwiając ucieczkę z miejsca, gdzie

więcej już było przeszłości niż nadziei na przyszłość. Gdzie najsolidniejsze fundamenty prędzej czy później ustępowały niszczycielskiej sile korzeni, które je kruszyły, ryły pod ziemią. Niewidoczne i nieustępliwe, jak gdyby jedynym sensem ich istnienia była mozolna destrukcja wszystkiego, co było inne, co nie należało do lasu.

Marcin mógł się tym usprawiedliwiać, ale w głębi serca wiedział, że to tylko skutki, a nie przyczyny. Naiwna wiara, nazywana przez niektórych miłością, której zdecydował się poświęcić, teraz wystawiała mu wysoki rachunek, a on nie był pewny, czy zdoła go zapłacić. Ani nawet czy chce to zrobić.

Poczuł nagły ucisk w głowie. Zamrugał zdziwiony, że wszystko wokół się rozmazuje i zaczyna wirować.

– Marcin!

Krzyk Renaty dobiegł gdzieś z oddali, skutecznie wyrywając go z dziwnego odrętwienia. Dopiero widząc pochylone nad sobą twarze, zrozumiał, że odpłynął i zsunął się z krzesła.

– Coś panu dolega? – Policjantka przyglądała mu się czujnie.

– Tylko zakręciło mi się w głowie... – Dźwignął się z ziemi. Renata pomogła mu wstać. – Już w porządku, naprawdę! – uspokoił ją, choć wcale nie był tego pewny. Nie rozumiał, co się stało.

– Powinien się pan zbadać.

– Tak, na pewno to zrobię. – Podniósł przewrócone krzesło, zmuszając zdrtwiałe członki, by robiły to, czego od nich oczekuje i nie zdradziły strachu i dezorientacji, jakie wypełniały każdą komórkę jego ciała. – Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło, może to z przepracowania albo jakiś brak witamin... Już jest dobrze.

– W takim razie proszę opowiedzieć o sylwestrowej nocy – poprosił Wargalski, który nie ruszył się z miejsca.

Marcin usiadł i odetchnął głęboko. Był jeszcze lekko oszołomiony, zupełnie jakby wyrwano go ze snu, ale nie chciał tego okazywać. Tak samo jak nie chciał, by ktokolwiek zobaczył, jak bardzo ta sytuacja go przestraszyła.

Nigdy nie miał problemów ze zdrowiem, a już na pewno nie bolała go głowa ani nie wariował błędnie. Nigdy mu się nic takiego nie zdarzyło, tyle że wcześniej... To ten pieprzony wróbel – pomyślał. Przewrócił się, ratując go, i musiał uderzyć się w głowę. Może o deski, może o jakieś stojące tam cholerstwo. Nie czuł tego ani nie pamiętał, ale wydawało się logiczne. Kiedyś oglądał program na temat urazów mózgu i wiedział, że nawet drobne mogą prowadzić do chwilowej amnezji i zawrotów głowy. Takie objawy powinny przeminąć z czasem. Tak, to pasowało, a więc najprawdopodobniej miał lekkie wstrząśnienie mózgu. Raczej nic poważnego.

Powstrzymał się, by nie obmacać głowy w poszukiwaniu guza. To nie miało już znaczenia. Teraz chciał tylko zakończyć tę farsę i pozbyć się policji. Potem odpocząć, a jutro odwiedzić lekarza. Tak na wszelki wypadek.

– Byliśmy u Terwicza, to tu obok – powiedział, marszcząc czoło. – Zaprosił nas, bo Renata jest jego koleżanką. Była – poprawił się. – To znaczy znają się od dziecka, tak jak pozostałe osoby, które tam się bawiły.

– Poza panem.

– Tak, ja jeden byłem napływowy. Oczywiście nikt nie dawał mi tego odczuć, ale i tak sytuacja nie była dla mnie w pełni komfortowa. To chyba normalne, prawda? – Nie oczekiwał odpowiedzi. – Nic nie mówiłem żonie, bo ona świetnie się bawiła i nie chciałem jej tego odbierać. Ostatnie lata mieszkaliśmy na Śląsku, gdzie nie było zbyt wielu okazji... W każdym razie tuż po północy Majula... Julia źle się poczuła. Rafał zaproponował, żeby położyła się w pokoju na górze, ale ona wolała wrócić do domu, bo impreza była głośna, a w dodatku Terwicz nie miał żadnych leków. Posprzeczali się o to, bo on proponował, że ją odwiezie do Sennowa, a ona nie chciała, żeby prowadził po alkoholu. Zdecydowała, że pójdzie na piechotę. Rafał nie chciał jej puścić samej, nie chciał też z nią iść i zostawiać gości. Dlatego zaoferowałem, że ja ją odprowadzę.

Przerwał na chwilę i zerknął na Renatę. Była odwrócona do niego bokiem, wpatrzona w stojący pod ścianą pusty fotel. Wargalski wciąż notował. Marcin nie zamierzał czekać, aż skończy.

– Uznałem, że to świetna okazja, aby na trochę się stamtąd wyrwać i odetchnąć świeżym powietrzem. Renata nie miała nic przeciwko – zastrzegł. – Terwicz był zadowolony, Julia też i ogólnie wszyscy, bo bali się już, że dojdzie do jakiejś większej kłótni i zamiast imprezy będzie kwas.

– Co było dalej?

– Wziąłem od Terwicza latarkę i poszliśmy z Julią przez Bożą Wolę do Sennowa. Po drodze poczuła się lepiej i nawet zastanawiała się, czy jednak nie wrócić na imprezę, ale ostatecznie uznała, że to nie ma sensu. Odprowadziłem ją pod dom i tyle. Po drugiej byłem z powrotem u Terwicza. Nie było mnie godzinę, może trochę dłużej, bo z Julią szliśmy wolniej.

– Czy Julia mówiła panu coś nietypowego? – odezwała się nagle Kamila, ignorując piorunujący wzrok komisarza.

– Nie. – Marcin pokręcił głową. – Rozmawialiśmy na jakieś niezobowiązujące tematy, tylko po to, żeby droga się nie dłużyła. Nie pamiętam już o czym.

– Czy po tamtej nocy spotkał się pan z nią jeszcze? – Wargalski pstryknął długopisem.

– Tak, kiedy kupowałem leki w aptece, w której pracowała. Powiedzieliśmy sobie „cześć”, poprosiłem o coś na przeziębienie, zapłaciłem i wyszedłem. Jakiś

czas później żona powiedziała mi, że rozstają się z Rafałem i że Majula wyjeżdża. To wszystko, co mogę powiedzieć na temat tej dziewczyny. Lepiej porozmawiajcie państwo z Terwiczem.

– Dziękuję za bezcenną radę. – Komisarz się skrzywił. – Z panem tyle, a teraz pani...

– Rozumiem, że mogę wyjść się przewietrzyć? – spytał Marcin, wstając.

Wargalski machnął ręką i skupił się na Renacie, prosząc, by opowiedziała o Julii. Marcin nie usłyszał, co mówiła, bo wyszedł nie tylko z pokoju, ale i z domu. Na podwórko, gdzie stały wypłowiwały ogrodowy stolik i skrzypiące krzesło. Usiadł tyłem do budynku i wlepił wzrok w ścianę lasu.

Ponownie powstrzymał się przed obmacaniem głowy w poszukiwaniu guza, bo Renata mogła zobaczyć to przez okno, a nie chciał jej dodatkowo niepokoić. I tak już dość przez niego cierpiała. Przeszło mu przez myśl, że znów jej dołożył, zostawiając tam samą. Albo wręcz przeciwnie, może teraz poczuła się swobodniej. Mogła powiedzieć więcej niż przy nim. Szczególnie o młodości, kiedy była związana z Terwiczem. Oczywiście Renata nigdy się do tego nie przyznała i nie miała świadomości, że Marcin wie, a on nie wyprowadzał jej z błędu. Nie zdradził, kiedy się dowiedział ani od kogo.

Owszem, skłamałby, twierdząc, że ta informacja go nie zirytowała, że nie miała wpływu na jego stosunek do Terwicza ani na to, jak bawił się na tamtej imprezie. Był zirytowany, tak jak każdy byłby na jego miejscu, ale też starał się oceniać sytuację obiektywnie. Naturalnie, czułby się lepiej, gdyby Renata była z nim szczerą, ale z drugiej strony może po prostu nie chciała go denerwować czymś, co od dawna się dla niej nie liczyło?

Marcin świetnie to rozumiał, bo sam był zdania, że czas, gdy w ogóle się z Renatą nie znali, nie powinien mieć dla nich żadnego znaczenia. Jej przeszłość dla niego, a jego dla niej. Uważał, że każde z nich miało prawo popełniać w życiu błędy i mieć swoje tajemnice.

Tak jak Majula. Ona też musiała jakieś mieć, skoro nagle zaczęła się nią interesować policja. Skoro zaczęli chodzić po ludziach i wypytywać. Wargalski był rutyniarzem i kawałem chama, ale ta dziewczyna, Kamila, wydawała się przejęta i zaangażowana. Zapytała, czy Julia nie mówiła nic „nietykowego”. Marcin nie wiedział, co dokładnie miała na myśli, ale przypuszczał, że ona sama też tego nie wie, że porusza się po omacku, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Może dotyczyło to związku Majuli z Terwiczem, może jej pracy, wyjazdu albo czegoś zupełnie innego. Poczł ukłucie niepokoju. Wyciągnął telefon i po chwili wahania wykasował numer Majuli razem z historią połączeń. Tak na wszelki wypadek.

Za jego plecami, w prostokącie okna, trzy postacie wciąż siedziały przy stole, niewyraźne przez odbijające się w szybie niebo. Rozmowa się przedłużała, ale na szczęście okno było zamknięte, więc Marcin nie musiał jej słuchać. Mógł zamknąć oczy i pozwolić, by ciepłe promienie słońca i śpiew ptaków wepchnęły go w lepką drzemkę.

*

Przez resztę dnia Renata unikała jego wzroku, nie odzywała się. Gdy szykowali się do snu, miał wrażenie, jakby byli dla siebie zupełnie obcymi ludźmi, jakby ta popołudniowa wizyta policji zabrała im coś ważnego. Nie był pewny, czy Renata ma do niego większy żal o ten cholerny pokój, czy o Majulę. Choć przecież w tym drugim wypadku nie powiedział chyba nic, co mogłoby dać jej jakiegokolwiek powody. Wiedziała, że odprowadził Julię w sylwestra, bo sama go do tego namawiała, wiedziała też o spotkaniu w aptece.

Dlatego uznał, że to jednak ta sprawa z pokojem sprawiła, że Renata leżała teraz na skraju łóżka, odwrócona plecami i skulona, by uniknąć choćby przypadkowego kontaktu. Zupełnie jak gdyby stał się nagle trędowaty.

– Przepraszam – powiedział. – Naprawdę tego nie chciałem...

Słowa wpadły w pustkę obojętności. Czekał jeszcze chwilę na jakiś gest lub znak, że w ogóle je usłyszała, ale na próżno. W końcu zrezygnował, ostrożnie wsunął się pod kołdrę i zgasił lampkę.

*

Renata przyciskała głowę do poduszki, jak gdyby wierzyła, że może się w niej zanurzyć, że cienka warstwa materiału pęknie pod naciskiem, a miękki, ciepły puch otoczy ją i ukoi. Przez cały wieczór czekała na moment, gdy w końcu będzie mogła dać upust emocjom, pozwolić łzom wsiąkać w pościel. Była świadoma, że Marcin próbuje się do niej zbliżyć, słyszała jego słowa, ale to wszystko było gdzieś obok, odbijało się od skorupy, w której musiała się zamknąć. Zamknąć swoje osobiste, rozżarzone do czerwoności cierpienie, chcąc rozerwać piersi spazmatycznym szlochom. Marzyła, by dać mu wyraz, by sobie ulżyć, ale dobrze wiedziała, że tego jej nie wolno. Nie mogła stracić panowania nad emocjami i ściągnąć na siebie pułapki pytań.

Dlatego zamknęła się w skorupie, tak jak zamykała się jako dziecko. W bezpiecznej kryjówce chroniącej ją przed wszystkim, co mogło ją skrzywdzić. Tyle że teraz nie była już małą dziewczynką, bezbronną wobec despotycznych rodziców, którzy jej delikatne dzieciństwo zmienili w cuchnący ściek. W odpływ, w jaki ojciec fizyczną przemocą wlewał wszystkie swoje frustracje

i niepowodzenia, a socjopatyczna matka zamykała, by nie wypłynęły, dociskając psychiczną śrubę. Nie była już bezbronna, a ta kryjówka nie miała chronić jej przed zranieniem. Tym razem nie zamknęła się w klatce bezpieczeństwa, lecz w sejfie. Solidnym i gwarantującym dyskrecję.

Wizyta policji uderzyła w jej zmysły, rozbudziła intuicję, która teraz podpowiadała, że jest źle. Renata starała się przed tym bronić, ale bezskutecznie. Czuła to pod skórą, w opuszkach palców i końcach włosów. Czuła, że Julii coś się stało. Coś bardzo złego. Ta myśl wywoływała drżenie całego jej ciała, rezonujące w kościach i wywołujące gęsią skórkę. Nieznośne i męczące, ale zupełnie bez znaczenia w porównaniu z tym, jak jej organizm reagował na myśl o nieprzewidywalnych konsekwencjach, z którymi będzie musiała się zmierzyć. Dlatego zasypiała, modląc się w duchu, by była w błędzie, aby instynkt ją tym razem zawiódł.

ROZDZIAŁ 4

KWIECIEŃ 2020
RENATA

Instynkt nie zawiódł Renaty. Zrozumiała to w chwili, w której przekroczyła próg urzędu. W powietrzu unosiła się atmosfera nerwowości i podniecenia, jakie czują drapieżniki, które zwęszyły krew i ruszyły na polowanie. Widziała to w spojrzeniu koleżanki z innego działu, niby przypadkiem stojącej w pobliżu wejścia. Czujnej i zdeterminowanej, by zaatakować każdą z wchodzących osób, by przekazać sensacyjne informacje jako pierwsza.

– Młoda Makowska nie żyje! Znaleźli ją w lesie, rozszarpaną przez wilki! – Słowa wyszeptane jednym tchem uderzyły Renatę jak obuch. Wzdrygnęła się i chciała wyminąć koleżankę, ale ta chwyciła ją za rękę. – Tak ją objadły, że poznali tylko po butach i telefonie. – Oczy rozpalone ekscytacją wwierały się w Renatę, jak gdyby próbowały wysać z niej szok i przerażenie, jak gdyby się nimi żywiły.

– Zostaw mnie! – syknęła, wrywając się.

– Podobno ktoś przyłożył do tego rękę! – rzuciła w ślad za nią tamta. Chciała jeszcze coś dodać, ale Renata wbiegła po schodach.

Była zbyt oszołomiona, by poznać osobę, która zagadnęła ją na półpiętrze, i ludzi mających na drodze do jej pokoju. Zatrzymała się, wspierając o ścianę. Strzępki rozmów wypełzały zza najbliższych drzwi, przenikały przez mury. Powietrze było gęste od plotek.

– Pani Renato! – Jedna z kobiet rozmawiających w korytarzu kiwnęła na nią ponaglająco. Skrzywiła się, widząc, że Renata skręca w przeciwnym kierunku

i znika w toalecie.

Jasne kafelki były kojącym chłodem. Nad umywalką unosił się zapach perfum i mydła. Renata bała się, że ktoś będzie w środku, ale miała szczęście. Toaleta okazała się pusta i cicha. Zamknęła drzwi od wewnątrz i usiadła ciężko na sedesie. Serce waliło jej w piersi. Ręce drżały. Narastający szum w głowie zaburzał ostrość widzenia, oszukiwał błędnie i rozsadzał czaszkę tępym bólem. Ale to nie było ważne, liczyło się tylko, że zdążyła w samą porę. Schowała się w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt już nie mógł zobaczyć, co się z nią dzieje. Gdzie będzie miała czas, by się opanować. Rozłożyła ręce i wsparła się o ściany. Zaczęła uspokajać oddech. Wiedziała, co robić, bo miewała już takie ataki paniki. Dawno temu, ale nie raz i nie dwa. Dlatego mogła działać instynktownie, pozwalając swojemu ciału, by samo odzyskało nad sobą kontrolę. Żałowała, że nie odkręciła wody, nie słyszała jej dźwięku, ale chłód pomógł.

Tak jak kiedyś, gdy biegła na górę i zamykała się w łazience na piętrze, odkręcała wodę, by nie słyszeć krzyków ojca albo matki. Czasem ich obojga. Wtedy nie pachniało tam perfumami, a strachem i starym, zawilgłym proszkiem do prania. To przez ten zapach nie potrafiła się później przemóc i zawsze używała płynu. Czasami marzyła, aby było to jedyną konsekwencją tego, co przeżyła, z czym musiała się mierzyć jako dziecko, a później dojrzewająca kobieta. Ale konsekwencji było więcej, dużo więcej. Wśród nich najgorsze brzemię, którym wcale nie musieli jej obarczyć, ale to zrobili. Jej własna matka i ojciec.

*

Gdy Renata wyszła z łazienki, była już odświeżona i gotowa stawić czoło rzeczywistości. Zanurzyć się w nią i popłynąć na fali plotek zalewających elektryzującą sensacją nie tylko urząd, ale i całe Sennowo. Nikt nie wiedział, skąd wyciekły te informacje, źródło pozostało anonimowe i można było jedynie przypuszczać, że jest nim ktoś, kto brał udział w zabezpieczeniu, transporcie lub badaniu zwłok. Wskazywały na to wywołujące mdłości szczegóły. Może źródłem przecieku nawet nie był sam uczestnik, a ktoś z jego najbliższych, z kim musiał się podzielić wiedzą. To zresztą nie miało już żadnego znaczenia.

Wkrótce pierwotne pogłoski zaczęły pęcznieć od domysłów i coraz bardziej fantastycznych opowieści, by koło południa układać się w kilka niezależnych i niekiedy skrajnie absurdalnych historii rodem z taniego filmu. Renata puszczała to już mimo uszu, skupiając się na tym, co usłyszała rano, słusznie zakładając, że ta wersja była najbliższa prawdy.

Julia Makowska została znaleziona w lesie, w miejscu, gdzie jakiś czas temu zakończono zrywkę drewna. Widok był straszny, bo ciało było częściowo rozwleczone po polanie i nadjedzone przez zwierzęta. Przypuszczalnie ofiara leżała tam kilkanaście dni. Czas i przyczynę zgonu miały dopiero potwierdzić badania. Również tożsamość, choć w tym przypadku nikt raczej nie liczył na niespodzianki. Dokumenty znalezione w torebce, telefon, postura, kolor włosów i charakterystyczna sukienka, w której Julia pojawiła się kilka miesięcy wcześniej na imprezie sylwestrowej. Wszystko do siebie pasowało. Wszystko poza odpowiedzią na pytanie, co robiła sama w lesie, ubrana wyjściowo. Co tam robiła, skoro jeszcze przed pandemią wyprowadziła się wiele kilometrów stąd.

– I z kim... – Renata nie miała wątpliwości, że to jedno z kluczowych pytań.

Nikt nie wspominał o żadnym samochodzie, którym Julia mogła dojechać w tamto miejsce w głębi lasu. Przecież nie dałaby rady dojść tam na piechotę w obcisłej sukience i na koturnach. Wczorajsza wizyta pary policjantów była tego najlepszym dowodem. Chodzili po ludziach i zadawali pytania, węszyli. Nie dziwiła się. Oczywiście było, że ktoś musiał ją tam zawieźć i że policja będzie próbowała ustalić, kto to był. Być może na tym się skupią i prędzej czy później znajdą...

To wszystko wydawało jej się całkowicie abstrakcyjne, jak gdyby śniła i cały świat był tylko projekcją jej własnego mózgu, która co prawda zaczęła żyć własnym życiem, ale wkrótce zblednie i zniknie, wymazana z pamięci, zastąpiona przez namacalną rzeczywistość, przez nowy dzień. Tyle że z tego snu nie można się było obudzić.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach Renaty, jak gdyby każdy kręgosłupa próbował odłączyć się od reszty. Paskudne uczucie. Paskudne, ale trzeźwiące. Julia nie żyła. Jedyna osoba, której kiedykolwiek zdradziła swoją największą tajemnicę, naiwnie wierząc, że w ten sposób zdejmie z siebie choć część brzemienia, którym ją obarczono.

Były jeszcze dziećmi, najlepszymi przyjaciółkami. Renacie było ciężko, a Julia przyrzekła, że nikomu nic nie powie. Na początku trochę pomogło, przyniosło ulgę, ale później Renata zrozumiała, że to nie działa w ten sposób, że zamiast ulgi przyniesie coś zupełnie innego. Przecież gdy ma się kilkanaście lat, wielkie przyjaźnie i przyrzeczenia rzadko kiedy mają długi termin ważności, a czas jest jak przypływ podmywający brzeg zaufania. Z każdym rokiem Renata coraz bardziej niepokoiła się o to, czy Julia zachowa sekret. Gdyby mogła cofnąć czas, trzymałaby język za zębami. Nie zdradziłaby tajemnicy i nie skazała się na wyrzuty sumienia i strach, który krążył w jej żyłach, odkładał się w codziennych czynnościach, zatruchiwał relacje z bliskimi.

Czasami przed snem Renata wyobrażała sobie, że Julia ginie w wypadku lub umiera na nieznaną chorobę, albo że ktoś ją porywa lub wywozi bardzo daleko. Wstydziała się tych myśli, ale były silniejsze od niej. W pewnym momencie już sama nie była pewna, co mocniej cementuje ich przyjaźń: czy wyrzuty sumienia, że życzy Julii śmierci, czy strach przed tym, że jeśli nie będzie dla niej miła, Julia zdradzi tajemnicę, rozpowie innym. A przecież wiedziała, jacy są ludzie. Zaraz wszyscy by plotkowali, całe Sennowo i nie tylko. Zaczęliby ją wytykać palcami, nawet po tylu latach, nie daliby żyć.

Teraz Julia nie mogła już nikomu nic powiedzieć. Umarła w straszny sposób i Renata wiedziała, że powinna rozpacać, ale nie potrafiła. Nie czuła żalu, a jedynie ulgę.

*

Tego dnia po pracy Renata nie wróciła do domu, nie od razu. Napisała Marcinowi wiadomość, że musi jeszcze zrobić zakupy i dlatego przyjedzie później. Nie okłamała go, bo naprawdę je zrobiła, w delikatesach tuż obok urzędu.

Trochę dalej, po drugiej stronie ulicy, był kolejny sklep. Nie miała potrzeby tam iść, ale pomyślała, że jeśli Marcin zapyta, dlaczego tak długo jej zeszło, powie, że była w jednym i w drugim, bo czegoś brakowało i szukała. To była dobra wymówka, wiarygodna, a w dodatku niemal zgodna z prawdą. Niemal, bo Renata nie poszła do drugiego sklepu, ale po drodze zatrzymała się przy kościele.

Czuła, że nie może postąpić inaczej, że musi się wypowiedzieć, zrzucić z siebie ciężar wyrzutów sumienia. Zrobić to jak najszybciej, zanim zatrują jej duszę. Bez względu na wszystko nie mogła pogodzić się z tym, że nie żałowała Julii tak, jak powinna, że ból straty przyćmiło co innego.

Oczywiście nie zamierzała wspominać księdzu o uczuciu ulgi, bo i tak by nie zrozumiał, a co gorsza mógłby nie dać jej rozgrzeszenia. Tym bardziej że Renata sama wciąż nie do końca rozumiała relacje, które łączyły ją z Julią, a więc nie potrafiłaby wszystkiego dobrze wytłumaczyć. Nie, to nie wchodziło w grę. Nie było zresztą tak istotne, może nawet w ogóle, bo przecież grzech Renaty dotyczył braku żalu po śmierci, a nie tego, co działo się przed nią. Zgrzeszyła i pragnęła pokuty. Tych kilku modlitw lub określonej kwoty zapewniającej spokój sumienia, ale przede wszystkim pragnęła potwierdzenia, że nie jest złym człowiekiem.

– Nigdy nie bądź złym człowiekiem! – powtarzała jej matka, gdy co niedzielę wracały z kościoła. – Nie grzesz, a jeśli zgrzeszysz, żałuj i spowiadaj się, by Bóg mógł ci wybaczyć, żeby się na ciebie nie gniewał.

Mała Renata przytakiwała, przeskakując nad kamykiem lub stawiając długie kroki, prawie tak długie jak te mamy. Wtedy nie rozumiała jeszcze, dlaczego

kiedy mamusia mówi o Bogu, to chodzi do budki w kościele, gdzie na pewno go nie ma. Renata kiedyś tam zajrzała i była bardzo rozżalona, że w środku zamiast Boga jest jakiś pan w czarnej sukience, który ją przegonił. Ale nie zastanawiała się nad tym, nie zadawała pytań.

Zrobiła to tylko raz, gdy miała sześć, może siedem lat. Coś się wtedy stało z jej mamą. Chyba chorowała i od tego się zmieniała, puchła. Prawie nie wychodziła z domu, piła i łykała jakieś rzeczy, które chowała w najwyższej szafce, i często zamykała się w pokoju albo długo siedziała w łazience. Czasem dochodziły stamtąd różne dźwięki, których mała Renata nie potrafiła rozpoznać. Słyszała je tylko wtedy, gdy udało jej się zakraść do domu, bo matka najczęściej zostawiała ją na podwórku. Kazała się bawić, a jeśli przyłapała ją na tym, że Renata wróciła, była bardzo zła i krzyczała. W ogóle często krzyczała i mówiła różne rzeczy, których dziewczynka nie rozumiała. A potem coś się stało i mama leżała bardzo długo w łóżku, a Renacie nie wolno było jej przeszkadzać. W ogóle nie mogła do niej zaglądać i bardzo tęskniła. W dzień i w nocy. Bała się, że już więcej nie zobaczy mamy, że coś jej się stało. Że odeszła albo umarła.

Ojciec zanosił do pokoju mamy jedzenie, a pewnego dnia przyprowadził dziwną starszą kobietę. Renata widziała ją już wcześniej, zanim mama się tak źle poczuła. Wtedy ta kobieta przysłała do matki sama i obie zamknęły się w domu na klucz. Renata cały dzień nie dostała jeść i musiała się bawić na podwórku. Myślała wtedy, że może to dlatego, że ta starsza pani jest jakąś czarodziejską wróżką i że zaczaruje mamę, żeby już nie puchła i była jak dawniej. Nawet się o to modliła wieczorem, ale w tajemnicy, bo mama zawsze mówiła, że wróżek nie ma i że to grzech w nie wierzyć, i krzyczała, gdy leciały w telewizji bajki z wróżkami. Ale Renata wtedy bardzo chciała, żeby było inaczej, żeby ta wróżka mamie pomogła. Dlatego zrobiło jej się smutno, kiedy ojciec kazał tej kobiecie zająć się matką, bo Renata zobaczyła, że to na pewno nie była żadna wróżka. Pachniała kiszoną kapustą i dymem, i nie był to przyjemny zapach, i kobieta też taka nie była. Patrzyła tak jakoś dziwnie, że Renata wolała się do niej nie zbliżać. Ale wtedy przynajmniej usłyszała głos matki, gdy ta witała kobietę wchodzącą do jej pokoju. Był słaby, trochę zachrypnięty, ale i tak popłakała się ze szczęścia.

Popłakała się, choć nie powinna, bo ojciec się na nią o to bardzo zezłościł. Przybiegł i krzyczał, żeby przestała, a potem szarpał i bił za każdą łzę. Nawet kiedy przysięgała, że nie płacze już o matkę, tylko dlatego, że ją boli. Nie pamiętała już, czy to on ją w końcu puścił, czy sama się wyrwała i uciekła na górę. Na piętro, na które ojciec nigdy nie wchodził. To było dziwne, ale zawsze zostawał na dole schodów, stał i patrzył, czasem krzyczał, a potem odchodził. Wtedy też. Renata pamiętała, że potem tłukł w kuchni butelki, że bała się ich trzasku, a wieczorem patrzyła przez okno, jak zanoszą coś za stodołę i zakopuje.

Na drugi dzień był już normalny, a kilka, może kilkanaście dni później matka jak gdyby nigdy nic pojawiła się rano w kuchni. Błada i wyraźnie osłabiona, ale znów chuda.

To pojawienie się mamy uradowało Renatę jak nic innego. Dopiero potem zrozumiała, że mama się zmieniła, że przestała się uśmiechać, a jej dłonie stały się zimne i wcale nie sięgały, by przeczesać włosy Renaty, by ją głaskać lub przytulać. Gdy przytulała się do mamy sama, ta nie protestowała, ale nie odwzajemniała czułości. To trwało przez jakiś czas, dziecięcą wieczność, do niedzieli, kiedy poszły do kościoła.

Dzień był słoneczny i ciepły – może lato, może późna wiosna. Renata pamiętała, jak szły drogą przez las, a mama mówiła rzeczy, których ona nie mogła objąć swoim dziecięcym rozumem.

– Pan Bóg jest zły – tłumaczyła. – Stało się coś niedobrego i mamusia bardzo cierpiała, dziecko, i dlatego Pan Bóg jest zły, bardzo zły. Mamusia teraz musi go przeprosić.

– Bolą mnie nóżki.

– Milcz. Pan Bóg musi widzieć, jak bardzo żałujesz za grzechy.

– Co zrobiłam, mamusiu?

– Milcz!

Renata pamiętała, że w końcu się popłakała, że łzy spływały jej po policzkach, szczypały i nie chciały przestać płynąć, że mama nie zwracała na to uwagi, tylko ciągnęła ją za sobą. Może w końcu wzięła na ręce, może nie. Wspomnienia dawno już wyblakły.

Wyraźnie za to pamiętała, jak patrzyła na mamę klęczącą przy konfesjonale, na to, jak z opuszczoną głową szepcze coś, wykonując drżącymi rękoma znak krzyża, a potem odchodzi spokojna, jak gdyby zdjęto z niej jakiś niewyobrażalny ciężar.

Gdy wyszły z kościoła, mama uśmiechnęła się do Renaty i wzięła ją za rękę tak delikatnie jak kiedyś. Ta przemiana była tak nagła i niepojęta, że Renata nie mogła oderwać od mamy wzroku.

– Pan Bóg już nie jest zły, mamusiu?

– Nie.

– To dobrze, prawda?

– Tak dziecko, mamusi ulżyło. – Pociągnęła ją zniecierpliwiona. – A teraz już chodź, musimy wracać do domu.

*

Ksiądz był młody, nie do końca jeszcze odnajdywał się w sytuacji, co słyhać było w jego niepewnym głosie. Renata nigdy wcześniej go nie widziała, ale pamiętała, że na mszy proboszcz wspominał o jakimś młodym wikarym, który miał pojawić się w parafii.

Pojawił się więc i chociaż Renata wątpiła, by zdołał tu zagrzać miejsce na dłużej, pozwoliła, by ją wyspowiadał i rozgrzeszył, co okazało się łatwiejsze niż dotychczas. Najwyraźniej brak doświadczenia szedł w parze z pobłażliwością. Kilka modlitw zadanych w ramach pokuty wydawało jej się niewystarczające, więc wychodząc, wrzuciła stuzłotowy banknot do skarbonki.

Gdy wsiadała do samochodu, przyszedł SMS od Marcina: „Gdzie jesteś?”. Odpisała, że właśnie skończyła zakupy i jedzie do domu. To było prawdą, bo zamiast produktów kupiła odpuszczenie grzechu.

Sumienie miała czyste.

*

Renata popatrzyła na wciąż niepomalowane ściany i zdusiła w sobie narastającą irytację. Wszystko wlekło się tak strasznie, że miała ochotę wrzasnąć na Marcina, aby się wreszcie opamiętał i zatrudnił fachowców. Wiedziała jednak, że to się nie uda, jeszcze nie teraz, gdy wciąż wydawał się zdeterminowany, by zrobić to własnymi rękami.

A wszystko przez Rafała, który musiał, po prostu musiał się popisywać i podpuścić Marcina, by ten uniósł się honorem. Pieprzeni samcy alfa, macho od siedmiu boleści, idioci...

– Świetnie ci idzie, kochanie – powiedziała z wystudowanym uśmiechem i poszła rozpakować zakupy.

Nie wiedziała, jak mu powiedzieć o tym, co spotkało Julię, jakich użyć słów, by nie zauważył, że nie przeżywa tego tak bardzo, jak powinna. Nie chciała, aby źle o niej myślał, ani nie chciała wszystkiego tłumaczyć, tym bardziej odpowiadać na pytania. Marcin wybawił ją z kłopotu. Już wiedział.

Zupełnie zapomniała o tym, że rano miał odwiedzić lekarza. Zapomniała albo wcale jej o tym nie powiedział, bo przecież by go zawiozła. Tak, Renata była niemal pewna, że to przed nią zataił, że wolał przyznać się dopiero po fakcie.

– Wszystko w porządku – uprzedził pytanie, którego sama by nie zadała. – Lekarz stwierdził, że to stres. Polecił mi spacerować albo jazdę na rowerze.

– To świetny pomysł – przytaknęła. – Kup sobie rower.

– No nie wiem... – Zamyślił się. – W sumie nigdy nie byłem fanem jazdy.

– To może jogging?

– To chyba zdrowe, prawda?

– Tak. Kilka dziewczyn z urzędu biega regularnie i bardzo sobie to chwala. Mogę cię z nimi umówić.

– Nie żartuj. Nie chciałbym się kompromitować.

– Jak chcesz, ale pamiętaj, że jest taka możliwość. Bieganie w towarzystwie jest motywujące.

Rozmawiali dłuższy czas, ciągnąc kolejne nieistotne tematy, byle tylko nie rozmawiać o Julii, o jej śmierci. Oboje tego nie chcieli.

To zaskoczyło Renatę. Zaskoczyło i zaniepokoiło, bo ona sama miała powód, by unikać tej rozmowy, ale po Marcinie spodziewała się, że zacznie wszystko roztrząsać. Znała go przecież, wiedziała, jak reaguje na takie wydarzenia. Tak jak wtedy, gdy znaleziono zwłoki młodej dziewczyny dwie ulice od miejsca, w którym mieszkali. Sprawa była głośna, pisali o niej w gazetach, mówili w radiu i telewizji. Dla nich obojga była to anonimowa ofiara, ale Marcin śledził doniesienia i o niczym innym nie mówił przez tydzień albo dwa. Nawet wtedy, gdy miała już tego serdecznie dość i kazała mu przestać. Zapominał się i po jakimś czasie zaczynał znowu.

Teraz jednak unikał tematu.

Zupełnie jak gdyby...

Renata nie dokończyła tej myśli. Ucięła ją w połowie i odgoniła od siebie. Przynajmniej na jakiś czas.

*

Leżała już w łóżku, czekała, aż Marcin skończy się myć i do niej przyjdzie. Trzymała w dłoni książkę, jakieś naiwne romansidło, które pożyczyła od koleżanki z pracy. Wydawało się takie samo jak tysiące innych. Nie absorbowало intelektualnie, ale pozwalało zabić czas. Trzymała je w dłoni i bezmyślnie przebiegała wzrokiem po linijkach tekstu, nie utrwalając treści ani na moment, nie wiedząc, co czyta.

„Co cię łączyło z Julią?” Mogła go o to zapytać. Spojrzeć prosto w oczy i wypowiedzieć te słowa, patrzeć, jak zareaguje, i słuchać, co odpowie. Mogła to zrobić, ale nie zrobiła, bo w tym momencie nie miało to większego sensu.

Policja już go o to pytała. Dokładnie powiedział, ile razy widział Julię i w jakich okolicznościach. Renata wiedziała, że kłamał, ale nie dała tego po sobie poznać. Przy policji, aby nie komplikować sytuacji, a przy Marcinie, ponieważ nie wierzyła, by miało to jakikolwiek związek ze śmiercią Julii.

Były w końcu przyjaciółkami i rozmawiały o wszystkim. Również o Marcinie. To nie miało znaczenia, żadnego związku... Tyle że nic go nie miało. Renata po raz kolejny poczuła chłód gdzieś w środku.

Julia zwierzała się jej ze wszystkiego, opowiadała o wątpliwościach i problemach, lubiła się radzić. Nigdy nie dała po sobie poznać, że coś było nie tak, żeby czegoś się bała lub wplątała w sytuację, która mogła skończyć się źle. Jej śmierć była zupełnie bez sensu. Nie pasowała do tego, co wydarzyło się wcześniej ani co miało wydarzyć się później. Nie pasowała do niczego, a jednak się wydarzyła.

– Podobno ktoś przyłożył do tego rękę! – Te słowa słyszała kilkanaście razy. Odmieniane przez przypadki, wypowiedane szeptem, jak gdyby z obawą. Sama ich nie powtórzyła, nie potrafiłaby, a mimo to ugrzęzły w jej myślach, zimne i nieruchome. Jak gdyby czekały, aż zwróci na nie uwagę, aż zacznie się bać.

Zadrzała, uświadamiając sobie, że Marcin stoi w ciemnym prostokącie drzwi i patrzy na nią. Przygarbiony i milczący.

– Przestraszyłeś mnie! – rzuciła ze złością i odłożyła książkę. Unikała jego wzroku.

Myślała, że coś powie, ale on tylko wzruszył ramionami i zbliżył się do łóżka. Sprężyny ugięły się pod ciężarem jego ciała. Mruknął coś niezrozumiale, odwrócił się do niej plecami i zgasił nocną lampkę.

ROZDZIAŁ 5

KWIECIEŃ 2020
RENATA

Ta noc była pełna koszmarów, tajemniczych postaci i intryg. Była pełna strachu i krwi wylewającej się przez okna domu Julii. Domu, który pojawił się we śnie Renaty nagle, choć przecież przez cały czas czuła, że tam jest, że gdziekolwiek ucieka, to wciąż ku niemu. Zaszczuta i zaganiana jak zwierzę przez pozbawione twarzy postacie wynurzające się z każdego cienia, zaułka i zakamarka. Postacie zacieśniające wokół niej krąg i przysłaniające wszystko prócz tego domu i krwi, w której brodziła, grzęzła po kostki, kolana, pas. Krwi, która wzbierała, kotłując się i bulgocząc niezrozumiałymi szeptami, aż sięgnęła ku szyi Renaty, ku jej brodzie i ustom, aż przelała się przez nie wprost do gardła. Renata chciała krzyczeć, ale nie mogła. Nie mogła złapać tchu. Nie miała dokąd uciekać.

Ocknęła się zupełnie zdrętwiała i zaskoczona, że otacza ją całkowita ciemność. Nie, nie ciemność. Coś wciskało się w jej gałki oczne bolesną szorstkością. Chciała krzyknąć, lecz materiał blokował dopływ powietrza do ust. Strach eksplodował w jej głowie, rozumiała, że się dusi, że coś lub ktoś przyciska do jej twarzy poduszkę. Ręce miała unieruchomione, nogi też. Nie mogła ich unieść, czuła opór, zupełnie jak gdyby ktoś na niej leżał.

Szarpnęła się histerycznie. Nacisk zelżał tylko na chwilę. Na ułamek sekundy z boku błysnęło światło. Zdołała wciągnąć do płuc odrobinę powietrza, wydając przy tym zwierzęcy jęk, i znów zapanowała ciemność, znów poduszka wcisnęła się w jej gardło. Brutalniej niż poprzednio. Nie rozumiała, czemu to się dzieje, czemu ktoś chce ją zabić. Ta przerażająca myśl ją zmroziła. Dotarło do niej, że

naprawdę umrze, że to już koniec. Tak zupełnie bez sensu, bez powodu. Tak bardzo...

Coś w niej pękło i instynkt przetrwania przejął kontrolę, zmusił mięśnie i ściągnął do działania, do histerycznego wysiłku. Skurczyła się w sobie, by wystrzelić jak sprężyna, odepchnąć napastnika. Blask dnia oślepił ją nagle, straciła orientację. Coś ją uderzyło, przetoczyła się, wierzgając nogami w nadziei, że w ten sposób powstrzyma kolejny atak.

– Zwariowałaś? – Głos przebił się przez charczenie, które chrobotąło jej w uszach.

Mrugające szaleńczo powieki klatkowały pojawiające się wolno kontury otoczenia. Renata zamarła. Charczenie ucichło. Słyszała tylko bicie swojego serca. Mocne, wstrząsające całym ciałem uderzenia.

Wszystko nabierało kształtu. Sypialnia, przewrócona szafka, stłuczona lampka nocna, kołdra na ziemi i zawinięte w nią nogi. Jej nogi. Leżała wciśnięta w kąt. Spocona i obolała. Marcin stał w drzwiach z ręcznikiem w ręce. Patrzył na nią. Nie widziała jego miny, nie wiedziała, czy jest zaskoczony, przestraszony czy zły, a może czuł jeszcze coś innego.

– Miałam koszmar – wymamrotała, unosząc się na łokciach. – Spadłam z łóżka.

– Spadłaś? – Pomógł jej wstać. – Wskoczyłaś jak wariatka prosto na ścianę. Nic sobie nie zrobiłaś?

– Nie – skłamała, czując pulsujący ból w dłoni. Zaczynało do niej docierać, co się stało.

Nikt jej nie dusił ani nie przygniatał. We śnie przewróciła się na brzuch, wcisnęła twarz w poduszkę i nie mogła oddychać. Była nieprzytomna, niedobudzona i dlatego pomieszała jej się góra z dołem, dlatego spanikowała.

– Wstałeś wcześniej – zdziwiła się. Spojrzała na zegarek w obawie, że to ona zasnęła i nie zdąży do pracy, ale nie. Budzik powinien zadzwonić dopiero za kilka minut.

– Nie mogłem spać. – Wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju.

Gdy Renata robiła sobie śniadanie, Marcin już pracował. Słyszała jego kroki w głębi korytarza i zgrzyt szpachli, boleśnie raniący radiowe przeboje. Było jej to na rękę, bo wciąż nie doszła do siebie, jej myśli kotłowały się w strachu.

Sen wydawał się tak realny, że bez problemu w niego uwierzyła. W to, że jest w potrzasku, że ktoś chce ją zabić. Nie, nie było sensu się dalej oszukiwać. Była pewna, że to Marcin, jej własny mąż, próbuje udusić ją we śnie. To była przerażająca wizja. Przerażająca, ale wcale nie absurda. Znała go, może nawet lepiej niż on sam siebie, dlatego wiedziała, że ma w sobie jakiś mrok. Nie

potrafiła tego wytłumaczyć, bo nie było namacalne, nie ujawniało się w jego zachowaniu. Nawet kiedy się złościł albo wyładowywał frustrację, na trzeźwo i po alkoholu. Nigdy nie przekraczał pewnej bariery, nie zdradzał się w żaden sposób.

Ale czuła to. Czuła, że chociaż Marcin w chwilach zdenerwowania starał się nad sobą panować, to czasami, w wyjątkowych sytuacjach, przez krótką chwilę w jego oczach pojawiał się dziwny błysk. Widziała go kilka razy, wtedy gdy zawalił w pracy i jego kariera zawisła na włosku albo wtedy, gdy ktoś dostał awans zamiast niego. Cztery, może pięć razy, nie więcej.

Tak, w tych krótkich chwilach jego oczy wydawały jej się czarne i puste. Zupełnie jak gdyby stanął nad jakąś okropną czeluścią i wybierał, czy w nią skoczyć, czy nie... Widziała to przez ułamki sekund, ale dość długo, by się przestraszyć. By wyzierający z nich mrok wbił się jej w pamięć niczym sopel lodu.

Czy ktokolwiek inny potrafiłby coś zauważyć, czy zwróciłby uwagę na subtelne wskazówki, a może po prostu uznałby Renatę za wariatkę? Czasami zadawała sobie to pytanie, ale nigdy nie chciała usłyszeć odpowiedzi. Nie chciała się nad tym zastanawiać, tak samo jak nie chciała nikomu o tym powiedzieć. Nigdy.

Mimo to była przekonana, że jej mąż, Marcin, może kiedyś stać się nieobliczalny, niebezpieczny dla siebie i innych. Dlatego często przed snem modliła się, by to nigdy nie nastąpiło i by mogła o tym zapomnieć. Bóg jednak nie chciał wysłuchać jej prośb. Nie zesłał zapomnienia i Renata coraz częściej obawiała się, że może nie robił tego bez powodu.

Uruchomiła ekspres i czekała, aż wypluje z siebie kawę. Oparła się o blat, próbując uspokoić myśli, mimowolnie nasłuchując, czy w dźwięki dobiegające z głębi domu nie wędruje jakaś inna nuta, czy Marcin nie będzie jej przeszkadzał. Gdyby tak się stało, gdyby tu do niej przyszedł, musiałaby udawać dobry humor, obrócić tę sytuację ze snem w żart, a wcale nie miała na to ochoty. W ogóle nie chciała z nim rozmawiać ani na niego patrzeć.

Nie chodziło nawet o to, że przez ten okropny sen Marcin budził w niej teraz niemal paniczny lęk i odrazę. Renata musiała poważnie pomyśleć, zebrać się na odwagę, by zrobić to, co było konieczne. Nawet jeśli wcale tego nie chciała i nie uważała za właściwe.

*

Buteleczki były dwie. Nieduże i niepozorne. Wykonane z ciemnego szkła, zamknięte plastikowymi, poźółkłymi nakrętkami i pozbawione jakiegokolwiek

etykiety. Nie najczystsze, bo długo stały w kuchni, na półce obok kuchenki, i łąpały drobiny tłuszczu, do którego przyklejał się kurz. Przypominały te z kroplami żółdkowymi albo aromatem do ciast. Starym, bo te nowe sprzedawano w bardziej fikuśnych buteleczkach, takich z małym uchem i przezroczystych.

Ale to był stary dom, ze starą zastawą i starymi garnkami. Starą cukiernicą i butelką po denaturacie od lat stojącą pod zlewem. Dlatego takie buteleczki tu pasowały i Renata była niemal pewna, że gdyby Marcin je zauważył, nie wzbudziłyby jego zainteresowania.

Niemal pewna. Dlatego nie stały na wierzchu, tylko wciśnięte w głąb szafki. Tej najwyższej, najbardziej zagraconej, do której prawie nie zaglądali, bo nie było po co. Dwie buteleczki, których strzegła, upewniając się co jakiś czas, czy są nadal na swoim miejscu.

Tego dnia również to zrobiła. Rano, gdy skończyła śniadanie. Wtedy był dobry moment, bo Marcin uruchomił jakieś urządzenie. Coś szlifował albo ciął. Trwało to minutę, może dwie, ale Renata zdążyła w tym czasie podstawić taboret i sprawdzić, czy buteleczki są tam, gdzie powinny. Były.

Tego dnia wyjątkowo nie zastanawiała się, czy powinna je przechowywać, czy jednak wyrzucić. Jechała do pracy spokojniejsza.

*

Renata pracowała w tym miejscu od niedawna, ale szybko się zaaklimatyzowała. Miała odpowiedni instynkt, była elastyczna i potrafiła się dopasować. Potrafiła znaleźć swoje miejsce w urzędniczym ekosystemie, rozkwitającym pomiędzy grzęzawiskiem bezdusznych przepisów i paragrafów a ludzkim instynktem stadnym. Dlatego nie bała się iść do przełożonej i poprosić o zgodę na to, by mogła dziś wyjść z pracy wcześniej. Dużo wcześniej.

Oczywiście nie poszła z pustymi rękami. Przyniosła specyfikację przetargową na fotopułapki. Z naniesionymi poprawkami i wolnym miejscem, aby kierowniczka mogła się podpisać własnym nazwiskiem. W ten sposób pokazała, że pracuje sprawnie, a przy tym zna swoje miejsce w szeregu, że zasługuje, by ją za to nagrodzić. Dlatego z pracy wyszła przed jedenastą.

Gdy wyjeżdżała z parkingu, przeszło jej przez myśl, że o przetargu pomyślano zbyt późno. Te urządzenia powinny zostać zakupione wcześniej. Może dzięki nim policji udało się ustalić, co się stało Julii, kto jej to zrobił.

– Sama tam nie poszła – powiedziała do kierowcy niedużego auta, któremu ustąpiła pierwszeństwa.

Mężczyzna patrzył na nią i musiał się zdziwić, widząc, że porusza ustami. Może dlatego zwolnił. Renata wyprzedziła go chwilę później i przyspieszyła.

Miała do załatwienia dwie sprawy.

Dlatego ruszyła w stronę domu.

Nie swojego.

*

Skრęcając w śleпą ulicę, poczuła dreszcz niepokoju, irracjonalnego lęku wrośniętego w nią od lat, a spotęgowanego przez nocny koszmar. Mimowolnie zdjęła nogę z gazu, nie zwracając uwagi na to, że samochód toczy się coraz wolniej.

Dom wyglądał tak, jak go zapamiętała. Był surowy i przygnębiający. Tak samo obcy, jak przed laty.

Kiedy była tu po raz ostatni, miała nie więcej niż czternaście lat. Nie rozumiała, dlaczego ktoś na nią krzyczy, ktoś ją wyzywa od najgorszych, szarpie i popycha. Wyrzuca na ulicę. Nie rozumiała, co złego zrobiła. Tym bardziej że przecież nie była tam wtedy po raz pierwszy. Wcześniej już przychodziła... Ale wcześniej była tylko koleżanką ze szkoły, obcą dziewczyną, a tamtego dnia zapytano ją, jak się nazywa. Powiedziała bez skrępowania, bo nie wiedziała, że to coś złego.

Dopiero potem, po latach, dotarło do niej, że nie była niczemu winna, że nie chodziło o nią, tylko o jej rodziców, dziadków i ich zaszłości. Podobno dawno temu ktoś kogoś zamordował z zimną krwią. Zrozumiała, że agresja, której doświadczyła, nie była przeznaczona dla niej. Tyle że to niczego nie zmieniło. Nie była celem, ale stała się ofiarą. Lęk i poczucie krzywdy pozostały na zawsze.

Czasami Renata zastanawiała się, jak by wyglądało jej życie, gdyby urodziła się kimś innym, gdyby nie doświadczyła tyle złego. Czy wtedy byłaby lepszym człowiekiem, czy w ogóle pozostałaby sobą? Czy gdyby w jakiś czarodziejski sposób ktoś wymazał z jej pamięci każdą traumę i wszystko, co było z nimi związane, miałyby w ogóle jakieś wspomnienia?

– Renata?

Głos był starczy i drżący, zmienił się, ale wciąż miał w sobie znajomą nutę, znajomy ból. W pierwszej chwili pomyślała, że mimo upływu lat nie potrafi się z nim zmierzyć. Chciała wrócić do auta i odjechać jak najszybciej. Po prostu uciec. Ale to by tylko pogorszyło sytuację.

– Dzień dobry – odpowiedziała niepewnie.

Nie ruszyła się z miejsca. Stała przed furtką, patrząc na przygarbionego starca wspierającego się na lasce, który spoglądał na nią z góry, ze szczytu szarych

betonowych schodów.

– Wejdz, Renatko, jest otwarte.

To zdrobnienie ją zabolalo. Bylo jak tpe ostrze rozrywajace tkanke wspomniei. Poczula mdlosci, ale nie dala tego po sobie poznac. Nacisnela zelazna klamke i pchnela furtke. Nieoliwione zawiasy zajeczaly metalicznie. Renata opuściła wzrok i ruszyła w stronę schodów. Sztynowo jak manekin.

Usiadła przy stole, na którym zamiast obrusa leżały gazety. Kolejne zalegały w kącie i wypełniały witrynę regału. Ich zapach unosił się w powietrzu, mieszał z kurzem i gryzącą wonią niedopałków wysypujących się z popielniczki. Starzec podreptał do kuchni nastawić wodę, a Renata została, bojąc się poruszyć. Stojący w kącie wiekowy zegar miarowo odmierzał czas.

Cała jej pewność siebie i determinacja gdzieś się ulotniły. Nie chciała już wcale robić tego, co jeszcze chwilę temu wydawało jej się koniecznością. Myślała, że ma dość siły, by wykorzystać ostatnią szansę, ale najwyraźniej wcale tak nie było. Znowu poczuła się zupełnie dezorientowana i bezbronna. Tak jak wtedy. Gdy była małą dziewczynką, którą ojciec Julii niemal zrzucił ze schodów i skatował. Za nazwisko...

– Czemu tak dawno u nas nie byłaś, Renatko?

Starzec zatrzymał się na progu i oparł o framugę. Taca w jego dłoniach drżała niebezpiecznie. Renata zerwała się machinalnie i zdołała ją przejąć, nim wysunęła się spomiędzy sękatych palców.

Dwie herbaty w szklankach z koszyczkami i miseczka korzennych ciastek.

– Julia często opowiadała, co u ciebie... – Staruszek opadł ciężko na krzesło. – Byłaś jej najlepszą przyjaciółką. Taką prawdziwą... Ona nikogo innego tak nie lubiła.

Renacie szumiało w głowie. Patrzyła na starego, słabego człowieka i nie mogła zdecydować, czy bardziej mu współczuje, czy go nienawidzi. Wiedziała, że to już nie ma żadnego znaczenia i tym bardziej teraz, po śmierci Julii, nie powinna o tym myśleć, wracać do tego, co wydarzyło się tak dawno, ale jakaś jej część nadal nie potrafiła się pogodzić z niesprawiedliwością, która ją dotknęła, z poczuciem krzywdy. Z tym, że ten człowiek wykorzystał swoją siłę przeciw jej słabości. Serce waliło jej w piersi, chciało niemal z niej wyskoczyć. Teraz role się odwróciły i to ona była silna, a on słaby. Zaciśnęła pięści.

– Pytasz, czemu do was nie przychodziłam? – Ten głos wydał jej się obcy, jak gdyby należał do kogoś zupełnie innego.

Staruszek podniósł wodniste oczy i spojrzał na nią z lękiem. Może od początku bał się takiego pytania, a może dopiero kiedy usłyszał dźwięczący w nim ból, przypomniał sobie, co wydarzyło się przed laty.

– Pamiętasz, jak mnie pobiłeś? – Renata postąpiła krok naprzód. Bezwiednie, pchana jakąś niezrozumiałą siłą. – Byłam małą dziewczynką, niewinną, a ty... – W kącikach jej oczu zaszklily się łzy.

– Boże, tak... – Staruszek zatrząsł się spazmatycznie. – Boże... Renatko, ja cię tak bardzo przepraszam... Ja nie chciałem, żebyś... To było złe, ja tego bardzo żałuję.

– Przez te wszystkie lata...

Nie zdołała dokończyć, głos uwiązł jej w gardle. Nogi poruszały się same. Przysunęła się bliżej, tak że górowała nad starcem, musiał unieść głowę, by na nią spojrzeć.

– Przepraszam – powtórzył. – Ja wiele razy mówiłem Juli, że to było złe, że nigdy nie powinienem był tego zrobić, że ty przecież nie byłaś niczemu winna... Ona to rozumiała, ale nie chciała ci mówić... Nie wiem dlaczego, ale chyba Julia... Chyba nie chciała, żebym cię prosił o wybaczenie... Boże... Tak bardzo mi jej brakuje. Mojej kochanej córeczki. – Opadł na stół, kryjąc twarz w dłoniach. Szloch targnął jego słabym ciałem.

Renata podniosła zaciśnięte pięści. Chciała go uderzyć, bić tak samo, jak kiedyś on ją, chciała, żeby poczuł bezradność i strach, jakie czuła ona. Chciała to zrobić, ale nie potrafiła. Łzy płynęły jej po policzkach. Z wahaniem położyła zaciśniętą pięść na jego kościstym ramieniu, a potem rozluźniła palce, poczuła pod nimi szorstki materiał wełnianego swetra. Staruszek odwrócił się w jej stronę, objął w pasie i przytulił. Nie broniła się. Nie potrafiła. Płakali oboje.

Renata nie była pewna, czy to dzieje się naprawdę, czy to tylko jakiś irracjonalny sen. Jeszcze przed chwilą chciała pobić staruszkę, a teraz głaskała go po ramieniu, starając się dodać otuchy. Ten człowiek najlepsze lata miał już za sobą, żona go porzuciła, a rodzeństwo wyklęło, gdy nie zgodził się sprzedać ojcowizny. To była głośna sprawa. Przez lata ciągaliby się po sądach, opluwali na ulicy. Teraz stracił jedyną córkę.

Po raz pierwszy pomyślała o nim bez złości. Po raz pierwszy to jemu, a nie sobie współczuła. Nie wiedziała, czy mówił szczerze, czy naprawdę już wcześniej chciał z nią porozmawiać i ją przeprosić, czy to naprawdę mu ciążyło. Jeśli tak, to Julia... Renata poczuła ukłucie w piersi. Przyjaźniły się, ale od tamtego incydentu już nigdy nie spotykały się w tym domu, nawet w jego pobliżu, bo Renata nie chciała go oglądać... Julia wiedziała dlaczego, a mimo to nigdy nie powiedziała, że ojciec żałuje. Przez tyle lat nawet się nie zająknęła. Kiedy Renata wypłakiwała się na jej ramieniu, gdy upijały się na smutno i wspomnienia wracały, nawet wtedy Julia milczała. Zupełnie jak gdyby cierpienie Renaty sprawiało jej przyjemność.

Głos starca wyrwał ją z zadumy. W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co pyta. Musiał się domyślić, bo podniósł głowę i powtórzył już mniej bełkotliwie:

– Pamiętasz, gdzie jest pokój Julii?

Pokiwała głową. Chyba naprawdę pamiętała. Wystrój domu się zmienił, kolory ścian też, ale korytarz, schody i pokoje zostały na swoich miejscach.

Staruszek puścił ją i oparł się na stole.

– Idź, kochanie, idź tam i weź, co chcesz – wyszeptał. – Wiem, że Julia by tego chciała, chciałaby, żebyś miała po niej jakąś pamiątkę.

Renata posłusznie ruszyła w stronę schodów. Nie spodziewała się, że sam jej to zaproponuje. I w ten sposób wszystko ułatwi.

*

Pokój nie przypominał już tego dziecięcego, którego niewyraźny obraz wciąż przechowywała w pamięci. Nie było zabawek ani kolorowych książek. Nie było małego biurka i żółtego krzesła, z którego mała Julia wyskubywała farbę, ani dziecięcego łóżka z koślawo namalowanymi kwiatkami. Były nowe meble, nowe kolory i inny układ. Przez chwilę Renata bała się, że wszystko na nic, ale okazało się, że nie. Stara, niewysoka szafka wciąż tam była. Wciśnięta w kąt, niemal niewidoczna z za zasłonki. Jedyne meble, który pamiętała sprzed lat. Jedyne, którego szukała.

Odsunęła ostrożnie zasłonę i kucnęła przy szafce. Przesunęła palcami po blacie, po rysach i wgłębieniach, które razem z Julią zrobiły. Niechcący, nieopatrznie bawiąc się nożyczkami i obrazkami z gazet. Otwierały kolejne strony i atakowały ostrzem postacie na zdjęciach. Im szybciej, tym lepiej. Głośno się przy tym śmiały.

To była głupia zabawa, ale w czasach bez internetu zajmująca na tyle, by się nie nudziły. Wtedy Renata skaleczyła Julię w palec. Powiedziała, że przypadkiem, ale to nie była prawda. Specjalnie chciała ją uderzyć ostrzem, zobaczyć, co się stanie. Nie wiedziała dlaczego. Zraniła ją w kciuk, obok kostki. Oderwała kawałek skóry. Były krew i płacz, przeproszenie i blizna, którą Julia miała do końca życia.

Renata sięgnęła dłonią pod spód szafki, pod najniższą szufladę. Wzdrygnęła się, zgarniając palcami pajęczynę. Przez chwilę szukała, aż znalazła właściwe miejsce.

Zawahała się. Przez tyle lat Julia mogła przenieść to gdzieś indziej. Gdzieś, gdzie ona nie zdoła tego znaleźć. Ale może znajdzie policja, jeśli zdecydują się tu przyjść i przeszukać pokój. Zdrętwiała... A może już byli?

Mogła zapytać staruszka, ale nie miała do tego głowy. Rozejrzała się. Nie, nic nie wskazywało na to, aby ktokolwiek tu grzebał. Policji nie było, a ojciec Julii nie bez powodu nie przyszedł tu z Renatą. Dla niego było to ponad siły.

Wsunęła dłoń głębiej. Przez chwilę nasłuchiwała, zastanawiając się, czy na pewno starzec nie zbierze się na odwagę i nie będzie jej przeszkadzał, a potem podniosła i przesunęła obluzowany kawałek dykty. Odetchnęła, czując, że razem z nim podnosi coś jeszcze, że skrytka nie jest pusta.

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Usiadła ostrożnie na tapczanie i popatrzyła na gruby, zszarzały brulion, na pozaginane brzegi i wyblakłe, trochę nieporadne litery układające się w słowa „Mój pamiętnik”.

To właśnie Renata wpadła na ten pomysł. Na początku wakacji, gdy kończyły pierwszą klasę, obie założyły pamiętniki i miały zapisywać w nich każdy dzień, a potem się

nimi wymienić i przeczytać, co robiły. To wydawało się fajne, ale takie nie było. Renata szybko się znudziła i przestała pisać. A może skończyła z prowadzeniem dziennika, gdy ojciec złamał jej rękę? Lekarz założył gips i nie dało się utrzymać ołówka. Renata pisała ołówkiem, bo długopis był za drogi, tak mówiła jej mama. Julii nikt tego nie mówił, dlatego jej pamiętnik pokryty był fioletowym tuszem. Dzień za dniem, przez całe wakacje i dłużej. Ona się nie znudziła.

Renata wertowała zeszyt, szukając odpowiedniego wpisu. Tego, który powstał kilka lat po tamtych wakacjach. Bo Julia najpierw robiła zapiski każdego dnia. Krótko, lakonicznie, prostymi słowami. A potem już tylko notowała ważniejsze rzeczy. Raz na jakiś czas.

„Dzisiaj Renata powiedziała mi coś strasznego o swoim tacie, o tym, co zrobił, gdy byli sami, bez ubrania... To wielka tajemnica... Powiedziała mi też, że to przez jej dziadka nie żyje mój. To chyba dlatego tata pobił Renatę. Renata mówi, że...”

Zatrzasnęła zeszyt i wcisnęła go do torebki. Wstała i chciała wyjść z pokoju, ale przypomniała sobie o siedzącym przy stole staruszku, o ojcu Julii. Dlatego cofnęła się do regału, gdzie na jednej z półek stało kilka książek. Głównie podręczników, ale między nimi był też zielony album na zdjęcia. Renata przerzuciła kilka stron, aż trafiła na fotografię przedstawiającą je obie. Nastolatki bawiące się na jakiejś imprezie i chowające za plecami puszki z piwem.

– Wzięłam to zdjęcie. – Pokazała je, ale starszy pan nie spojrzał. Skinął tylko głową, pogrążony we własnych myślach, zbyt odległych od tego miejsca i czasu, by jej głos i obecność miały jakieś znaczenie.

Zostawiła go samego i wróciła do samochodu. Odłożyła torebkę na tylne siedzenie i odetchnęła z ulgą. Czowała się jak złodziejka, choć przecież nie zrobiła nic złego. O tym pamiętniku nie wiedział nikt poza nią i Julią. W pewnym sensie

był on więc wspólną własnością, a teraz, gdy Julia nie żyła... Nie, Renata go nie ukradła. Po prostu wzięła coś, co należało do niej. Coś, co trzeba było zniszczyć.

Zdecydowała, że go spali. To wydawało się najprostsze i najskuteczniejsze. Zanim wróci do domu, zjedzie w jakąś boczną drogę, w las. Wyrwie kartki i podpali, poczeka, aż zmienią się w popiół, i zasypie ziemią albo pozwoli, by resztki rozwiął wiatr.

Znała świetne miejsce. Trzeba było skręcić przed leśniczówką, przejechać kilkadziesiąt metrów za ostatnie zabudowania. Potem kawałek w las. Samochodem lub pieszo, tam gdzie był grób lekarza. Tego, którego zastrzelono podczas wojny. Tuż obok niedużego wyrobiska, skąd ludzie brali kiedyś piach. Nie lubiła tam chodzić, ale to nie miało znaczenia. Liczyło się tylko, że będzie mogła się w końcu uwolnić od tego pamiątka, od cholernego brzemienia, które zatruwało jej życie przez tyle lat.

Najchętniej zrobiłaby to od razu, ale wcześniej musiała jeszcze coś załatwić.

*

Warsztat samochodowy Terwiczów był cofnięty od ulicy. Prowadziła do niego kilkudziesięciometrowa, wysypana żwirem droga. Renata dojechała nią pod samą bramę, ale nie wjechała na teren. Na placu było zbyt wiele aut, a zbyt mało miejsca, by czuła się komfortowo. Nie chciała też mieć problemu z wyjazdem, a tym bardziej dawać powodu do żartów, że baba za kierownicą czegoś nie potrafi.

Zupełnie inaczej by to wyglądało, gdyby mieli małe auto. Takiego fiata 500 na przykład, lub coś podobnego. Nieduże i zgrabne samochody jej się podobały, ale nie – Marcin musiał kupić jakąś pieprzoną limuzynę, czterodrzwiowego sedana, którego gabarytów nadal nie potrafiła wyczuć.

Rafał stał pod podnośnikiem razem z ojcem. Skinęła im głową i poczekała, aż rozmówią się po cichu i młodszy Terwicz odłoży narzędzia. Jego ojciec wyraźnie nie był zadowolony, że przerywa robotę, ale Renata się tym nie przejmowała. On w ogóle rzadko kiedy był zadowolony.

Tego dnia w warsztacie zastała tylko ich dwóch. Nie było żadnego ucznia na praktykach ani klienta. To ułatwiało sprawę, bo nie musiała daleko odchodzić w poszukiwaniu ustronnego miejsca. Za podwórzem zastawionym samochodami stał blaszany garaż, wciśnięty w róg posesji. Stanęła w jego cieniu i poczekała, aż Rafał podejdzie.

– Co tu robisz? – spytał. – Stęskniłaś się?

Wyciągnął paczkę papierosów i chciał ją poczęstować, ale odmówiła. Wzruszył ramionami i zapalił.

– Chodzi mi o Julię – powiedziała cicho, choć i tak nie było szansy, by stary Terwicz mógł ją usłyszeć.

– Nieźle, co? – Pokiwał głową. – Naprawdę się nie spodziewałem czegoś takiego... Wiesz w ogóle, co tu robiła?

– Myślałam, że ty mi powiesz. – Patrzyła mu prosto w oczy.

– Czemu? – zdziwił się. – Przecież miała już nie wracać. Wszystko było dogadane, tak jak się umawialiśmy, nie? Ze mną się nie kontaktowała.

– A ty z nią?

– Zwariowałaś? – obruszył się. – Naprawdę myślisz, że ja... Kurwa, Renata!

– Nie podnoś głosu, bo ojca ściągniesz – syknęła. – Po prostu pytam. Czy ty masz z tym cokolwiek wspólnego?

Zaciągnął się kilka razy, próbując zapanować nad narastającym gniewem.

– Muszę to wiedzieć, Rafał.

– Nie, kurwa mać! – powiedział dobitnie. – Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Julii, a ty jesteś pojebana, że mogłaś o tym pomyśleć, wiesz?

– Przerazona, nie pojebana.

– Wybacz. – Zmieszał się. – Ja też nie wiem, jak się w tym odnaleźć... To była dobra dziewczyna, mimo wszystko. Coś takiego nie powinno się zdarzyć.

– Ale się zdarzyło.

– Myślisz, że... – Odwrócił wzrok. – Myślisz, że wróciła tu, żeby się zabić?

– No co ty?

– Poważnie, bo co innego mogło się stać? Pomyśl, Renka, ona zawsze była trochę dziwna, może to wszystko ją przerosło?

– Dziwna? Nie przeszkadzało ci to, kiedy chciałeś się z nią żenić!

– Myślisz, że dlaczego zmieniłem zdanie? Była jakaś taka... No, kurwa, dobrze wiesz, co mam na myśli!

– To ona zmieniła zdanie – przypomniała mu. – Dlatego, że mnie zerznąłeś, nie pamiętasz?

– Ej! – zaprotestował. – Sama mi wska...

– Nie odmówiłeś, więc się nie wybielaj.

– O co ci chodzi, Renata? – Zgasił papierosa. – Przyjechałaś tu, żeby się pokłócić?

– Nie. – Pokręciła głową. – Chciałam wiedzieć... Chciałam się upewnić, że ty nie masz z tym nic wspólnego. Po prostu nie wiem, co o tym myśleć, bo to jakieś wariactwo. Boże! Przecież Julka miała przed sobą całe życie i chciała je sobie poukładać...

– Masz! – Rafał podsunął jej paczkę.

Tym razem nie odmówiła. Podpalił jej papierosa i sam zapalił drugiego.

– Jej śmierć jest zupełnie popieprzona – przyznał. – Ale chyba nic nie zmienia u ciebie?

– Sama nie wiem...

Palili chwilę w milczeniu. W warsztacie uruchomiła się sprężarka, zagłuszając szum przejeżdżających nieopodal samochodów.

– Julka bardzo mi pomogła, za to będę jej wdzięczna zawsze... Ale nie wiem, czy dalej chcę w to brnąć. – Nie patrzyła na Rafała. – Zastanawiam się, czy nie odpuścić, czy wszystko się jakoś nie ułoży.

– Zrób, jak uważasz. – Wzruszył ramionami. – To twoje życie.

– No, moje.

*

Blask płomieni tańczył w jej źrenicach. Patrzyła, jak kolejne strony wyrwane z pamiętnika wyginają się, czernieją i obracają w pył. Zaczęła oczywiście od tych najważniejszych, a później dorzucała kolejne. Cierpliwie i z wyczuciem, by ogień nie zgasł, ale też nie był zbyt duży. Linijki tekstu, pełne zdarzeń i emocji, umierały jedna po drugiej. Renata nie chciała ich czytać, nie czuła takiej potrzeby. Wręcz przeciwnie.

Dopiero gdy tu przyjechała, gdy zostawiła samochód przy drodze i ruszyła na piechotę w stronę wyrobiska, dotarło do niej, co powiedział ojciec Julii. Zrozumiała sens jego słów. Julia zrobiła wszystko, aby staruszek nie przeprosił Renaty, żeby ona nie dowiedziała się, że żałuje. Żeby nie przestała cierpieć.

Fotografia zanurzyła się w ogniu. Dwie roześmiane dziewczyny, chowające za plecami puszki z piwem, zaskwierczały, kurcząc się i zwijając.

– Zasłużyłaś na to, co cię spotkało! – wyszeptła Renata.

ROZDZIAŁ 6

CZERWIEC 2020
MARCIN

Julia nie zasłużyła na to, co ją spotkało. Tego Marcin był pewien. Przez te dwa miesiące, które minęły od pogrzebu, myślał o niej często. Ostatnio coraz częściej.

Przystanął i otarł pot z czoła. Był zmęczony, ale nie czuł się już tak, jakby miał wypluć płuca. To był postęp, bo jeszcze tydzień temu chciał tu po prostu umrzeć. No, nie naprawdę, ale miał mroczki przed oczami i nogi się pod nim uginały. Teraz po prostu był zdyszany i zmęczony, potrzebował przerwy, krótkiego odpoczynku, ale nie myślał o tym, żeby wracać do domu. Z Renatą znów się zaczynało psuć, tak jak ze wszystkim innym.

To przez tę pieprzoną pandemię i zaszary lockdown. Udało mu się umówić na dwie rozmowy o pracy i obie zostały odwołane. Branża turystyczna zdechła i nikt nie wiedział, na jak długo. W telewizji coś już przebąkiwali o odmrażaniu tego sektora gospodarki, ale kto by wierzył tym sukinsynom. Aż go telepało na wspomnienie, że sam na nich głosował.

Z remontem trochę się ruszyło. Sam zrobił dwa pomieszczenia, może nie najlepiej, ale pokazał, że potrafi. Potem dał się namówić na zatrudnienie profesjonalnej ekipy. Prawdę mówiąc, z niecierpliwością czekał, aż Renata to zaproponuje, i oponował tylko dla zasady. Chciał, by zgodę uznała za ustępstwo z jego strony i miała satysfakcję, że jej posłuchał. W ten sposób oboje byli zadowoleni.

Tyle że wtedy miał jeszcze nadzieję na szybkie znalezienie pracy, a teraz został z ręką w nocniku. Do tego ceny materiałów rosły z tygodnia na tydzień i Marcin

z irytacją korygował wyliczenia kosztów. Pierwotnie zakładał, że zostanie mu połowa oszczędności, a teraz nie był pewien, czy chociaż jedna trzecia.

Początkowo zupełnie się tym nie martwił, bo po pogrzebie Julii zaczęło im się wreszcie układać. Marcin przemyślał pewne sprawy, może zrobiła to też Renata. Ważne, że znowu znaleźli wspólny język i Marcin miał wrażenie, że nigdy wcześniej tak bardzo się nie kochali.

Trwało to miesiąc, może półtora. Potem znów zaczął wciskać się między nich chłód. Chyba niepotrzebnie wspomniał o dziecku, zupełnie spontanicznie, w jakiejś rozmowie, gdy przytulali się na kanapie. Czuł, jak zeszywniała, i widział, jak próbuje to ukryć. Zaraz zmienił temat, ale chyba nie pomogło. Od tamtej chwili znów zaczęli się od siebie oddalać. Powoli, ale nieubłaganie. Ich bliskość stygła jak wyjęte z pieca ciasto.

Tak, im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że to mogło być przyczyną. Mogło, ale nie musiało. Może wyciągał mylne wnioski, może powód był inny, może... Powinien ją zapytać, ale tego nie zrobił. Bał się, że tylko pogorszy sytuację.

Musiał jakoś odreagować.

Lekarz wspominał o sporcie, ale Marcin nie zamierzał kupować roweru. Nie lubił na nim jeździć. Tym bardziej nie myślał o joggingu. Nie tylko dlatego, że nie chciał poznawać koleżanek Renaty, ale przede wszystkim z powodu pary starszaków, którzy każdego dnia, bez względu na porę roku, po kilkanaście razy okrążali ich dawny śląski blok. Ubrani w przedpotopowe kolorowe dresy i czapki z pomponami, funkcjonowali w jego mózgu jako definicja joggingu, skutecznie zniechęcając do takiego sportu.

Poza tym Marcin nie tylko nie lubił rowerów, nigdy nie lubił też biegać. Wszystko przez wadę postawy. Nie przeszkadzała mu, gdy chodził, ale gdy tylko próbował ruszać się szybciej, jego nogi nie do końca pracowały jak należy, chwiały się i podrygiwały. W dodatku im bardziej się starał, tym było gorzej, sprint w jego wykonaniu wyglądał komicznie. Dlatego zdecydował się na coś, co nazwał forsownym marszem. „Forsowny marsz” brzmiał o wiele lepiej niż zwykły spacer i kojarzył się z terminologią wojskową, a przede wszystkim z wyzwaniem.

Zamówił przez internet spodnie bojówki, buty trekkingowe w kolorze khaki i brezentowy pasek do smartwatcha. Z takim zestawem czuł się o wiele lepiej niż w dresie. Przez pierwsze dni przyzwyczajał organizm do nowej aktywności, potem zaczął stawiać sobie cele. Dojść dalej albo szybciej. Spalić więcej kalorii, wykonać więcej kroków, po prostu poprawić wynik. To dawało mu satysfakcję.

Rzucił okiem na pulsometr, którego wskazania wciąż były powyżej rozsądnych wartości. Oceniał, że potrzebuje kilku minut, zanim znajdą się w widełkach cardio i ruszy dalej. Tego dnia nie zamierzał odpuszczać, nie zamierzał wracać, zanim nie dotrze do szczytu drogi przecinającej Popielówkę. Doszedłby tam bez przystanku, gdyby tylko nie narzucił sobie tak szybkiego tempa i lepiej rozłożył siły. Ale pokłócili się z Renatą i chciał odreagować, rozładować złość. To nie była poważna kłótnia, żadna awantura. Po prostu znów poszło o jakąś pierdołę. Nie pamiętał już nawet jaką. Zupełnie bez sensu.

Czuł się coraz bardziej zagubiony w tej sinusoidzie uczuć i czasami miał wrażenie, że miłość, która ich łączyła, zastąpiło coś zupełnie innego. Że Renata zmieniła się w kogoś, kogo nie potrafiłby pokochać. Bał się, że może i on się w kogoś takiego zmienił.

Innym razem wydawało mu się, że tylko ta miłość się liczy i że powinien o nią walczyć do końca. Że poza nią nie ma nic.

Najgorsze było to, że wcale nie chciał takich myśli, ale czasami nie potrafił ich powstrzymać. Wypełzały z zakamarków mózgu jak napęczniałe larwy wijące się w cieniu. W ogóle miał czasami takie chwile, że myśli gonily przez jego głowę jak oszalałe, aż sam się wśród nich gubił i nie mógł spać.

To stres, tylko stres – powtarzał jak mantrę. Stres wywołany brakiem pracy, przeprowadzką i przekreśleniem grubą kreską wszystkiego, czego dotychczas dokonał. I ta cholerna pandemia, ten strach wylewający się codziennie z telewizora, radia, z każdej gazety i miejsca w sieci. Wszechobecny i przytłaczający wielką niewiadomą. Ciężarem stanów depresyjnych, których nie odczuwał, gdy między nim a Renatą wszystko dobrze się układało. Przez ostatnie tygodnie zapomniał zupełnie o przygnębieniu, a teraz wszystko zaczynało się od nowa, przeciekało przez myśli. Depresja była jak wierny kundel warujący za drzwiami, czekający, by ktoś je uchylił.

W życiu nic nie przychodziło mu łatwo. Niejednokrotnie przegrywał, cofał się o krok, ale zawsze podnosił i parł naprzód z jeszcze większą siłą i motywacją człowieka, który wszystko zawdzięcza tylko własnej pracy i sile woli. Teraz, po raz pierwszy w życiu, Marcin czuł strach. Bał się, że może nie dać rady, że cofnął się zbyt daleko.

Zaczął nienawidzić tego miejsca, domu, wszystkiego.

*

Na szczycie wzniesienia był parking. Nie dalej jak trzy kilometry od Sennowa. Marcin dotarł tam szybciej, niż zakładał, bez zadyszki i zwiększonego tętna. Odpoczynek pomógł, pozwolił na niezły finisz.

Zupełnie nieświadomie pomogli też Terwicze, którzy o tej godzinie powinni być już w domu, ale wciąż siedzieli w warsztacie. Widział ich samochody zaparkowane przy bramie i radiowóz stojący na placu. W pobliżu wejścia do biura, więc funkcjonariusze raczej nie planowali oddać go tu do naprawy. Zresztą Marcin wątpił, by policja serwisowała swoje auta w przygodnych warsztatach. Musieli przyjechać służbowo. Może chodziło o Majulę, a może komuś ukradziono samochód i sprawdzali, czy złodziej nie odstawił go do Terwiczów. Podobno stary Terwicz przebijał numery i sprzedawał auta na giełdzie w całości lub na części. Kiedyś, dawno temu. Marcin słyszał to od Renaty, ale ona sama nie wiedziała, czy to prawda, czy tylko plotki. Mówiąc o starym Terwiczu, chyba nie miała na myśli ojca Rafała, tylko dziadka. Prehistorię.

W każdym razie Marcin przyspieszył, bo nie chciał, żeby Terwicze go zauważyli. Nie miał racjonalnych powodów, aby ich unikać, oczywiście poza tym, że po prostu ich nie lubił. To wystarczyło, a policja tylko komplikowała sytuację. Bo co miałyby zrobić? Udać, że nie widzi, że zajęty jest maszerowaniem i nie zwraca na nic uwagi, czy pomachać, tak jak się powinno machnąć sąsiadom? Kiepsko, bo raczej nikt nie chciałby, aby widziano, że interesuje się nim policja. Nawet jeśli to zupełnie niewinna sprawa, ludzie mają w sobie coś takiego, że zawsze myślą o czymś gorszym, są podejrzliwi i węższą sensację.

Było jasne, że ktoś już musiał tędy przejeżdżać i widział ten radiowóz, więc pewnie zaraz rozejdzie się fama i zaczną się plotki. Tak to działa. Marcin nie chciał, aby Terwicze pomyśleli, że to on je rozpuszcza. Dlatego przyspieszył, minął warsztat niezauważony przez jego właścicieli i dotarł na szczyt szybciej, niż zakładał. Miał powody do satysfakcji.

Przy pustym parkingu stała stara wiata i zamknięta na stałe budka, w której kiedyś sprzedawano pewnie jakieś fast foody. Był też nieduży cmentarz i pomnik. Miejsce pamięci związane z drugą wojną światową. Marcin oglądał je dotychczas tylko zza szyby samochodu. Teraz miał możliwość zrobić to z bliska.

*

Cmentarz był nieduży, zbudowany na planie kwadratu wyznaczonego niskim murowanym ogrodzeniem. Nagrobki rozdzielała szeroka brukowana aleja prowadząca od wejścia wprost ku wysokiej, kamiennej płycie. Wykuto na niej duże słowo „Ojczyzna” i mniejsze, jakby pozostające w cieniu „to ziemia i groby”. Niżej „W hołdzie spalonym żywcem w 1943 r. mieszkańcy gminy Sennowo”. Resztę płyty zapełniały imiona i nazwiska. Były też liczby: 28, 24, 63, 4, 2... Wiek ofiar.

Marcin słyszał tę historię. Wiedział, że Niemcy spędzili w to miejsce kilkudziesięciu ludzi z okolicznych wsi, wszystkich do jednego domu, który podpalili. Nie przeżył nikt. Bestialski mord. Jeden z wielu dokonanych w trakcie wojny. Całkowicie abstrakcyjny ze współczesnej perspektywy.

Marcin nigdy przesadnie nie interesował się historią, nie myślał o przeszłości. Wojna była dla niego filmem, takim z wybuchami, hełmami i wzywaniem wsparcia z powietrza. Miała twarze aktorów, ścieżkę dźwiękową i napisy końcowe. Lepsze lub gorsze efekty specjalne i fabułę, czasem tak nieciekawą, że zasypiał. Nigdy nie rozumiał, czemu Renata lubi je oglądać nawet, jeśli płacze w trakcie.

Teraz jednak, stojąc przed kamienną tablicą, czuł dziwny niepokój. Spoczywało tu kilkadziesiąt osób, które nie były żołnierzami. Nie zginęły w walce.

Mimowolnie próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby jutro nagle przyjechali tu obcy ludzie z bronią, gdyby powiedzieli, że teraz to ich ziemia, drogi i domy. Tak po prostu, z dnia na dzień. W poniedziałek mieszkańcy Sennowa i okolic irytowałiby się na pandemiczne obostrzenia, kłócili o noszenie maseczek i szczepionki. Prowadzili przy obiedzie niekończące się dyskusje, spierali się, czy chamami są ci przy korycie, czy ich poprzednicy i czy uda się w tym roku pojechać na wczasy do Chorwacji. We wtorek bum! Ludzie w mundurach, obcy język, i nagle nic już nie ma znaczenia.

Nowa, nieznana rzeczywistość. Czas, kiedy można wywlekać z domów zwykłych ludzi. Starych i młodych, kobiety i mężczyzn, nawet dzieci. Można wyciągnąć ich bez powodu, zagonić w jedno miejsce i zabić. W taki dzień jak dziś. Słoneczny i ciepły. Przypadkowo wybrane osoby. Z tej rodziny jedna, z tamtej dwie. Reszta patrzy. Karabiny terkoczą, zagłuszając krzyki. Albo tak jak tu, w czterdziestym trzecim, ludzie zamknięci w podpalonym domu smażą się żywcem...

Wyobrażenia Marcina zaprotestowała. Wydawało mu się to zupełnie nierealne, niemożliwe do zaistnienia, dlatego czuł przytłaczający dysonans, że jednak zaistniało. Ludzie gotowi innym ludziom uczynić tyle złego, by terror zmienić w wyzutą z emocji statystykę. Czy mogło być coś gorszego?

*

Powrót do domu powinien zająć Marcinowi jakieś pięćdziesiąt minut, gdyby szedł tą samą drogą, którą tu dotarł, a więc wzdłuż jezdni, tym razem w kierunku Sennowa, a potem ulicą Gajową, przez Bożą Wolę, aż pod dom. Mógłby

odrobinę skrócić dystans, skręcając wcześniej w Leśną, ale w obu przypadkach i tak mijałby warsztat Terwiczków.

Może już go zamknęli i pojechali do domu, a może nie. Marcin nie myślał już nawet o policji i plotkach, a bardziej o tym, że Terwicze mogliby go zauważyć po drodze i zaproponować podwózkę. Nie wypadałoby odmówić. Pewnie zatrzymałby się Rafał i Marcin znów musiałby udawać, że go lubi. Gdyby zabrał go ojciec, byłoby jeszcze gorzej, bo nawet nie wiedziałby, jak z nim rozmawiać. Kompletnie nie miał na to ochoty. Dlatego zdecydował, że pójdzie na przełaj, przez las. Do zmroku zostało jeszcze kilka godzin, pogoda była ładna i miał przy sobie telefon, więc nie obawiał się, że może zabłądzić, że zgubi drogę. Zresztą już jakiś czas temu planował zacząć penetrować leśne dukty. Maszerowanie wzdłuż drogi robiło się coraz nudniejsze, a zróżnicowany teren stanowił kolejne wyzwanie.

Przeszedł na drugą stronę ulicy, minął kilka domów i łąki, za którymi wznosiła się ściana drzew. Dopiero gdy do nich dotarł, gdy zostawił za plecami pierwsze smukłe pnie, uświadomił sobie, że to właśnie w tym lesie ktoś znalazł ciało Julii. Poczł ukłucie w piersi.

Policja nie zdradziła, gdzie odnaleziono zwłoki. Może w pobliżu, a może o wiele dalej, bo las ciągnął się kilometrami. Marcin nie był pewien, czy chciałby to wiedzieć. Już wystarczająco dziwnie się czuł, idąc ścieżką, którą ona mogła iść. Po raz ostatni w życiu. Ubrana w sylwestrową sukienkę. To było dziwne.

Mimowolnie wyobraził sobie postać Julii. Jej rozpuszczone włosy i smukłą sylwetkę, ale nie w sukience, a w legginsach i jasnej bluzce. Wyobraził ją sobie tak, jak była ubrana, kiedy widzieli się po raz ostatni. To było tuż przed jej wyjazdem. Dzień, może dwa wcześniej. Ostatni raz patrzyła mu w oczy i pytała, czy jest pewny swojej decyzji, a on kiwał głową.

– Tak, przepraszam. – Były to ostatnie słowa, które od niego usłyszała, nim odeszła. Może gdyby wtedy się nie bał i powiedział jej prawdę, teraz by żyła.

Myślał o tym wiele razy, obsesyjnie wracał do tamtego dnia i ostatniej wspólnej chwili. Wyobrażał sobie, co by się stało, gdyby pokonał strach i zaryzykował, gdyby postawił wszystko na jedną kartę. Tak, wtedy Majula by żyła, ale umarłoby wszystko inne. Marcin tego nie chciał. Wolał myśleć, że nawet gdyby zdobył się na odwagę, nic by się nie zmieniło. Też by wyjechała. W końcu mógł jej powiedzieć tylko, że wbiła się w jego serce jak pocisk i rozerwała je na strzępy, że przysłoniła cały świat, ale...

Ale nie mogą być razem, nie mogą poddać się temu uczuciu. Muszą je zdusić, póki wciąż jest to możliwe. To, co ich tak nagle połączyło, to był tylko impuls, zwykłe zauroczenie, krótkotrwałe szaleństwo, i nie można pozwolić, on nie może

pozwolić, by zagroziło miłości, jaka łączy go z Renatą. By zabiło to, co z takim trudem i poświęceniem budowali.

– Ona cię nie kocha! – Pamiętał, jak Majula wyszeptała to, głaskając go po twarzy. Jej ciepła dłoń i drżące palce wciąż płonęły w jego wspomnieniach. Płonęły słowa.

W jej głosie i spojrzeniu była pewność, jak gdyby miała dar zaglądania ludziom w serca, czytania z nich jak z otwartej książki. Wierzyła w to, że Renata go nie kocha, i wierzyła, że to coś zmieni. Ale nie zmieniło. Nie mogło, bo Marcin dobrze wiedział, że to tylko hormony, chemia produkowana przez organizm i przysłaniająca trzeźwość osądu. Stan, kiedy nie da się odróżnić marzeń od rzeczywistości.

Tym się różnili. On znał granice.

W innych okolicznościach, gdyby nie było Renaty, w innym miejscu i czasie pokochałby Majulę do szaleństwa. Ale było tu i teraz. I była Renata. Pierwsza osoba, którą zdołał obdarzyć uczuciem, która stała się jego rodziną. I choć to uczucie z czasem gdzieś się zawieruszyło, to Marcin nie chciał o nim zapominać, nie chciał go tracić.

To dlatego gdy do ich domu przyszła policja, spanikował i kłamał, że nie pamięta, jak brzmiało nazwisko Julii. Przeraziła go myśl, że oni pytają, bo wiedzą o romansie i potajemnych spotkaniach, że zmuszą go, by się przyznał przy Renacie. Ale nie wiedzieli, nie wydało się. Dopiero potem się dowiedział, że tamtego dnia chodzili po ludziach od rana i już wcześniej ustalili, że Julia wyszła z Marcinem w sylwestra. Niepotrzebnie się bał.

Teraz wyobrażał sobie Julię, jak prowadzi go ścieżką w las. Wyobrażał sobie każdy ruch jej zgrabnego ciała, falujące włosy i smukłe dłonie, ale w tych marzeniach nie pozwalał jej się odwrócić. Nie pozwalał, bo wiedział, że patrzyłaby na niego z wyrzutem. Nie pozwalał, ale ona próbowała. Coraz wyraźniej, coraz mocniej czuł, że stara się przejąć kontrolę nad jego fantazją, że chce ją zdominować. Zamknął oczy.

– Odejdź! – rozkazał jej w myślach, próbując uciec w ciemność pod powiekami, ale tam też była. Może obok, na wyciągnięcie ręki, a może tuż przed nim, bliżej. Nie widział jej, ale czuł zapach włosów, tak intensywny, że zakręciło mu się w głowie.

– Ona cię nie kocha! – Wiedział, że tak naprawdę nie słyszy tych słów, że są tylko echem jego wspomnień, ale i tak zacisnął mocniej powieki i pokręcił głową, próbując je strząsnąć, jak gdyby były owadami, rojem bezskrzydłych mrówek. Przez chwilę myślał, że mu się udało, ale potem poczuł je na ręce, brzuchu, nodze. Obłączyły go całego, czuł na skórze miliony małych, ruchliwych odnóży, atakujących wściekle drętwiące członki. Coś było nie tak.

Uświadomił sobie, że leży na ziemi. Niepotrzebnie dał się ponieść fantazji i zamknął oczy. Stracił przez to orientację, potknął się i upadł, chyba przed chwilą, choć nie mógł być tego pewny. Głupia sprawa, zupełnie niepotrzebna, ale to wszystko przez Julię, przez to, że ona nie żyje.

Nie, nie chodziło o to, że gdyby mógł cofnąć czas, zrobiłby co innego, że powiedziałby jej, co wtedy myślał. Chodziło o to, że lepiej by się czuł, mając świadomość, że Julia gdzieś tam jest i że gdyby kiedyś z Renatą wszystko się posypało, mógłby ją odnaleźć. Wyznałby prawdę, a wtedy może daliby sobie drugą szansę.

A nawet jeśli nigdy by do tego nie doszło, chciał mieć egoistyczną świadomość, że to mogło być możliwe. Mogło być alternatywą.

Było mu z tego powodu wstyd.

*

Głupia sprawa tak się potknąć i leżeć z twarzą wciśniętą w leśną ściółkę, jak najgorsza ofierma. Marcin wyobraził sobie, jak musi wyglądać z boku i co by o nim pomyśleli ludzie, z którymi kiedyś pracował, co by pomyśleli szefostwo i kontrahenci. Raczej nie doczekałby się kolejnego awansu. To go otrzeźwiło. Uśmiechnął się w duchu.

Znalazł się w obecnym położeniu dlatego, że zamiast twardo stąpać po ziemi, dał się ponieść urojeniom i złudnym emocjom. Wydało mu się to świetnym odzwierciedleniem jego życiowej sytuacji. Po raz kolejny upadł i trzeba było wstać. W lesie wydawało się to proste, ale w życiu... Marcin siedział w jakimś zaściankowym, depresyjnym gównie i nie widział szansy, by się z niego wygrzebać. Przed chwilą ta świadomość by go jeszcze bardziej zdołowała, ale teraz jakaś część jego osobowości, która właśnie się przebudziła, uwierzyła, że to tylko kwestia czasu.

Przewrócił się na plecy i odetchnął głęboko. Wysoko, pomiędzy baldachimami gałęzi, przebłyskiwało błękitne, późnopołudniowe niebo. To wydawało się kuszące, tak sobie po prostu poleżeć. Nic nie robić, nie myśleć o niczym. Świetne uczucie po minionych miesiącach, które poza krótkim okresem wytchnienia zdawały mu się grząskim bagnem niepokojów. Jeszcze w nim nie utonął, ale już czuł mdłości na myśl, że wkrótce to się stanie.

Tak bardzo chciał wierzyć, że Renata go z tego wyciągnie, że rozpalone między nimi niegdyś uczucie będzie płonąć coraz mocniej. Ale ono zaczęło przygasać jak ognisko, do którego dorzuca się zbyt mokre drewno. Nie chciał się przed sobą przyznać, że tak mocno to przeżywa, że widząc, jak szybko znów ją traci, jest bliski załamania. Uciekał od tego jak dziecko, które zatyka uszy

i zaciska powieki w nadziei, że dzięki temu niczego nie usłyszy i nie zobaczy, że problemy przestaną istnieć...

Zupełnie bez sensu.

Dopiero wtedy, leżąc w lesie, dostrzegł to tak wyraźnie.

Coś w nim pękło. Pękło, ale się nie złamało.

– Trzeba upaść, aby można było wstać – wymamrotał zaskoczony. Truizm, usłyszany od jakiegoś hipsterskiego kołcza, wydał się nagle naprawdę na miejscu.

Znów poczuł, że mimo niepowodzeń tli się w nim jakaś siła. Stara dobra przyjaciółka, która zawsze pozwalała mu przetrwać najgorsze. Znów poczuł się sobą.

Wtedy dotarło do niego, że bez względu na to, jak próbował to sobie wytłumaczyć, jego postawa nie tylko wobec Renaty, ale przede wszystkim wobec Majuli była błędem, zwykłym tchórzostwem. Bez względu na konsekwencje nie powinien jej odmawiać, nie powinien pozwolić, aby Julia odeszła, i nigdy nie powinien dopuścić do jej śmierci. Dotarło do niego, że cały czas to wypierał. Okłamywał się i próbował tłumaczyć przed samym sobą. Ale dość! Dłużej nie zamierzał tego robić. Poczł bużującą w sobie siłę, jakieś pieprzone katharsis. Zupełnie jak wtedy, wiele lat temu, gdy upadł w śmierzącym, ciemnym zaułku, a potem odbił się od dna.

Chciał wstać, zerwać się na nogi i ruszyć biegiem przez las. Nieważne w jakim kierunku, byle tylko rozpałić mięśnie, dojść do granicy wytrzymałości i w ten sposób rozładować emocje. Chciał ruszyć biegiem, ale nie ruszył. Zamarł w połowie wstawania.

Metr, może dwa przed nim na pniu drzewa wisiała pomalowana białą farbą blacha, na której ktoś ręcznie napisał: CZŁOWIEKU, DO JAKIEJ POTWORNOCI BYŁEŚ ZDOLNY? CO SPRAWIŁO, ŻE UPADŁEŚ TAK NISKO? Obok stał nieduży brzożowy krzyż.

ROZDZIAŁ 7

CZERWIEC 2020
MARCIN

Obok stał nieduży brzozy krzyż. Dwie gałęzie grubości nadgarstka, przycięte i zbite razem. Dalej majaczył kolejny i jeszcze jeden. Pod każdym stały wygasłe znicze.

Trochę dalej, na drzewie, wisiał kawałek blachy pomalowanej czarną farbą, a na niej biały odręczny napis. Imię i nazwisko nauczycielki z dopiskiem, że została zamordowana podczas wojny. Niżej przybito wyblakłe zdjęcie obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. I jeszcze jeden, mniejszy kawałek blachy.

Litery na nim układały się w słowa, które Marcin mimowolnie przeczytał na głos:

– *Uczyłam was pisać i czytać, a wy mnie zabiliście. Boże, zapytaj ich dlaczego.*
– Głos mu się załamał, gdy pod tabliczką dostrzegł coś jeszcze. Przymocowaną zardzewiałym drutem łuskę po naboju.

Rozejrzał się. Wszędzie, z każdej strony dostrzegał kolejne tabliczki, krzyże, święte obrazki, imiona i nazwiska. Proste, niemal prymitywne, niszczejące, ale wciąż odnawiane, jak gdyby ktoś toczył z czasem nierówną walkę o pamięć.

Nieco niżej, przy małym źródełku, piętrzył się nieduży kopiec usypany z kamieni, pomiędzy którymi poustawiano krzyżyki i figury świętych. Pomalowane na niebiesko Maryje, Jezus z rękami rozpostartymi na krzyżu, połączone aniołki. Między nimi blakły sztuczne kwiaty i stare znicze.

Marcin nie tyle usłyszał, co chyba bardziej wyczuł czyjąś obecność, zogniskowany na sobie wzrok. Odwrócił się na pięcie i spojrział wprost na starego

człowieka, który zatrzymał się na ścieżce kilkanaście metrów dalej, ledwo widoczny między drzewami. Nie widział go wyraźnie, ale niewysoka, zgarbiona postać i workowaty strój były aż nazbyt charakterystyczne. Nie mógł się pomylić. Patrzył na Partyzanta.

To była dziwna chwila, gdy tak stali nieruchomo. Dziwna, ale krótka, bo Partyzant odwrócił się i zniknął wśród zieleni.

Marcin wahał się tylko chwilę.

– Halo! – krzyknął i ruszył w tamtą stronę. Odruchowo, jak gdyby kierował nim jakiś atawistyczny instynkt drapieżcy, a starszy człowiek miał być jego ofiarą.

Po kilku krokach się zawahał, niepewny, czemu to robi, czemu chce stanąć twarzą w twarz z tym dziwnym starcem, a potem dotarło do niego, że to ta przebudzona nagle część jego osobowości każe mu się zmierzyć z lękiem. Z tym lękiem, który poczuł kilka miesięcy wcześniej, wyglądając przez okno na strychu, i który wciąż w nim był. Chciał stanąć z nim oko w oko. Tu i teraz, tym bardziej że las stanowił grunt neutralny, a spotkanie w tym dziwnym miejscu wydawało się świetnym pretekstem do konfrontacji.

– Halo, sąsiedzie!

Myślał, że szybko go dogoni, ale się przeliczył. Ścieżka wiła się w gęstwinie, meandrowała między kamienistymi wykrotami, a Partyzanta nigdzie nie było. Najwyraźniej pozory myliły i staruszek nie był tak niedołączny ani słaby, na jakiego wyglądał, lub po prostu skręcił w las i ukrył się za jakimś drzewem. Może w miejscu, gdzie leżała porzucona reklamówka z kilkoma wkładami do zniczy, przy której Marcin zwolnił, rozglądając się uważnie. A może gdzie indziej.

Szedł dalej. Dość szybko, ale nie na tyle, aby kogoś przestraszyć. Obawiał się, że gdyby biegł, stary mógłby dostać jakiejś palpacji serca albo czegoś, a nie chciał mieć go na sumieniu. Wystarczyło już, że dziadek uciekł i nie reagował na zawołania. Na rozwidleniu Marcin wybrał tę odnogę, która wydawała się prowadzić w stronę domu, na kolejnym również, choć w obu przypadkach nie był pewny swojej decyzji. Jeśli Partyzant wciąż szedł przed nim, to nie zostawił żadnych śladów, żadnej podpowiedzi.

W końcu Marcin dotarł do miejsca, gdzie krzyżowało się kilka traktów, z których część biegła mniej więcej we właściwym kierunku. Nasłuchiwał przez chwilę w nadziei, że może jednak usłyszy staruszka, a potem zrezygnowany wyciągnął telefon. Zasięg nie był najlepszy, więc chwilę zajęło, nim odnalazł swoją lokalizację na mapie. Okazało się, że instynkt go zawiódł. Gdyby nadal poruszał się w tym samym kierunku, to wyszedłby na granicy Sennowa i Bożej

Woli. Ale tu mógł jeszcze skręcić we właściwą ścieżkę, taką, która prowadziła dalej, w stronę domu.

Już się nie śpieszył, nie miał do czego. Renata po kłótni najczęściej nie odzywała się do niego dzień lub dwa, więc wieczór zapowiadał się mało ciekawy. W dodatku było mu głupio, że zadrwił z niego dziewięćdziesięcioletni staruszek, facet, który powinien już dawno gnić na cmentarzu. Tak jak reszta jego pokolenia.

Zrobiło mu się wstyd, że tak pomyślał.

Nie życzył nikomu niczego złego, a już na pewno nie śmierci, i zawsze na swój sposób czuł podziw i szacunek dla każdego, komu dane było się zestarzeć, nie tracąc wigoru. To tylko ten dziwny człowiek, ten Partyzant, tak na niego podziałał. Marcin czuł niesmak na myśl o tamtej chwili sprzed kilku miesięcy, gdy spanikował, wyglądając przez okno na strychu. Tym bardziej ta nieudolna pogoń przez las przygniatała jego męskie ego ciężarem porażki. Budziła frustrację, ale też jakiś rodzaj ciekawości, irracjonalnej fascynacji. Partyzant był jak nieznane zjawisko, które niepokoi, ale przyciąga.

Nie było sensu się dalej oszukiwać. Ten starszy człowiek stał się dla niego wyzwaniem i Marcin zamierzał zrobić wszystko, aby stanąć z nim twarzą w twarz, porozmawiać. Nie miało znaczenia, czy o tym dziwnym miejscu w lesie, czy o pogodzie. Liczyła się wyłącznie konfrontacja.

Jedynym problemem było to, że przez ostatnie kilka miesięcy widział go tylko dwa razy. Nie spodziewał się więc, by szybko nadarzyła się kolejna okazja.

Był w błędzie.

*

Szum samochodu precyzyjnie się między drzewami, dając wyraźny znak, że droga jest niemal na wyciągnięcie ręki, choć Marcin jej nie widział, bo ścieżka przed nim skręcała w tamtą stronę łagodnym łukiem. Przez jakiś czas musiała prowadzić wzdłuż asfaltu, a to znaczyło, że mógł już minąć swój dom. Mógł, ale nie musiał. Nie potrafił tego ocenić, bo jego myśli znów uciekły w przeszłość, jak gdyby czegoś w niej szukały.

Tym razem nie chodziło ani o Partyzanta, ani o Majulę i jej delikatne dłonie, a o Śląsk i chwilę, od której to wszystko się zaczęło. Siedział nad pozwem rozwodowym, gdy zadzwonił telefon. Ilu wyborów wtedy dokonał? Implikacją ilu z nich była jego obecność w tym miejscu? Tu i teraz, w lesie?

Do tej pory wydawało mu się, że to była jedna spontaniczna decyzja. Impuls, który kazał mu powiedzieć, że powinni się tu przeprowadzić, żeby ratować małżeństwo. Teraz jednak dostrzegał, że to nie była spontaniczność, a jedynie

konsekwencja. Konsekwencja drobnych wyborów, których dokonał chwilę wcześniej. Bo wcale nie musiał przerywać pisania pozwu, wcale nie musiał się wahać ani tym bardziej odbierać telefonu. Wiedział, że to ona dzwoni i że rozmowa nie będzie łatwa. Mógł odrzucić połączenie, a mimo to wybrał rozmowę, by potem wybrać sposób, w jaki będzie prowadzona. Drobne kroki dążące do finału.

Do tej pory wydawało mu się, że kierował się miłością, i choć starał się nie dopuszczać innej możliwości, to nagle gdzieś bardzo głęboko w sobie poczuł ukłucie niepokoju. Może sam siebie oszukiwał? Może to wcale nie było romantyczne uniesienie, a jedynie prozaiczne współczucie?

Nie, nie współczucie.

Marcin zrozumiał, że kierowało nim jeszcze coś innego, coś, do czego nigdy wcześniej nie chciał się przyznać. Liczył na to, że miłość, której się poświęcił, pozwoli mu pokonać przeciwności, że dzięki niej wszystko się jakoś ułoży. Był jednak w błędzie. Renata nie mogła albo nie chciała mu w tym pomóc.

Gdy umarła teściowa, popełnił błąd, wierząc, że ten związek ma przyszłość. Że on i Renata mogą żyć razem długo i szczęśliwie, że mogą być dla siebie tym, czym byli... Popełnił błąd, bo się bał.

Czuł strach przed ostatecznym rozwiązaniem, przed rozwodem, a więc przed przyznaniem się do porażki. Bo to by przecież była porażka, prawda? Przekreślenie wspólnych lat, wspólnych marzeń i planów. Tak, Marcin bał się i dlatego oszukiwał sam siebie, że można wszystko naprawić. Oszukiwał, że może być jak dawniej. Ale ani on, ani Renata nie byli już tymi samymi ludźmi, którzy poznali się na studiach. Potrzebowali czegoś innego. Powinien był napisać ten cholerny pozew.

Instynkt podpowiadał mu wtedy, że to jest słuszne rozwiązanie, ale nie rozumiał dlaczego. Zamiast racjonalnie ocenić sytuację, wystraszył się i pozwolił, by zawładnęły nim uczucia i sentymenty, by wzbudziły wyrzuty sumienia. Postanowił więc odpokutować, przekreślając wszystko, co osiągnął.

Charakterystyczny spróchniały pień przykuł jego uwagę. Wydawał się znajomy, a to znaczyło, że dom musiał być blisko.

– Stój! – Krzyk go zaskoczył.

Szelest i trzask łamanych gałęzi. Kolejne krzyki i nagle na ścieżce przed nim wyrósł kulejący Partyzant. Z rozpaloną, mokrą od potu twarzą, z szeroko otwartymi ustami, histerycznie łapiącymi powietrze haust za haustem, i wwiercającym się w czaszkę spojrzeniem zwierzyny przypartej do muru.

Przez jedną chwilę stali naprzeciw siebie. Blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Jedną chwilę, która rozciągnęła się irracjonalnie, by potem nagle przyspieszyć.

Nie wiadomo, skąd pojawił się komisarz Wargalski i powalił Partyzanta na ziemię.

*

Marcin stał przy bramie i patrzył na postać skuloną na tylnym siedzeniu radiowozu, przyciskającą do piersi podkurczoną dłoń. Nie widział jej wyraźnie, więc nie potrafił ocenić, czy Partyzant interesuje się tym, co Wargalski robi na jego posesji, czy nie. Choć biorąc pod uwagę bierność, z jaką staruszek dał się zaprowadzić do samochodu, stawiał na to drugie. Swoją drogą komisarz musiał być naprawdę zdrowo popieprzony, aby rzucać się na kogoś w tym wieku, ryzykując, że połamie mu kości lub skręci kark.

– Całe szczęście, że dziadkowi nic się nie stało – powiedziała cicho Kamila, przerzucając kartkę w notatniku. – Byłoby cholernie dużo papierków do wypełnienia.

Tym razem i ona, i Wargalski mieli na twarzach maseczki. Najwyraźniej ktoś u góry postanowił tego dopilnować.

– To żart? – spytała cierpko Renata.

Wyszła z domu zwabiona obecnością policji i widziała, jak Partyzant wyłonił się z lasu i jak na widok mundurowych zaczął uciekać. Dlatego teraz musiała o tym opowiadać, choć widać było, że wcale nie ma na to ochoty.

– Branżowy – przytaknęła policjantka. – No tak, dla kogoś spoza firmy to nie jest śmieszne.

– Zupełnie nie.

– Przepraszam. – Odchrząknęła z zakłopotaniem. – Proszę powiedzieć, co było dalej.

– Odwrócił się i pobiegł z powrotem w las, a wy za nim. To wszystko.

– Aha... – Zanotowała. – Domyśla się pani, dlaczego uciekał?

– Nie.

– A pan, panie Marcinie?

Marcin spojrział na nią zaskoczony.

– Słucham? – Nie spodziewał się tego pytania, a szczególnie sposobu, w jaki wypowiedziała jego imię. W służbowy ton wdarła się jakaś nuta, której nie powinno tam być, a mimo to ją usłyszał. W innej sytuacji by się uśmiechnął, ale teraz mógł to tylko zignorować.

– Może pan ma jakieś pomysły, dlaczego państwa sąsiad uciekał przed nami?

– Bo ucieka przed wszystkimi? – parsknął, zerkając ukradkiem na Renatę. – Facet musi mieć coś nie tak z głową.

– Czemu pan tak uważa?

– Jak to czemu? – zirytował się. – Przecież go pani widzi, jego i ten burdel, w którym mieszka. Czy tak wygląda normalność?

– Pozory czasem mogą mylić – powiedziała spokojnie Kamila, zamykając notes. – Dziękuję państwu.

Wargalski pojawił się przy aucie, machnął na nią ponagląco.

– Zabieracie go dlatego, że uciekał? – spytał Marcin, nim odeszła.

Kamila spojrzała na niego w taki sposób, że poczuł to niemal fizycznie. Nie potrafił tego jednak zinterpretować, nie potrafił ocenić, czy z jej strony było to umyślne, czy przypadkowe, tym bardziej że przez tę cholerną maseczkę nie widział, jaką miała minę. Zauważył jednak, że delikatnie pokręciła głową. A może mu się tylko wydawało?

– Nie mogę udzielać żadnych informacji – powiedziała. – Do widzenia.

Oboje z Renatą patrzyli, jak wsiada do radiowozu i jak policjanci odjeżdżają w kierunku Sennowa. Marcin westchnął i spojrzał na żonę.

– Przepraszam – powiedział. – Naprawdę nie chciałem, żebyśmy się kłócili.

– Rafał – odpowiedziała cicho.

– Co? – nie zrozumiał.

– Rafał tu idzie. – Mrugnęła porozumiewawczo i przytuliła się do niego, obejmując w pasie.

Marcin nie dał po sobie poznać, jak bardzo zaskoczył go ten gest. Renata należała do osób, które każdą kłótnię wieńczyły „cichymi dniami”, czasem sadomasochistycznego zawieszenia, który zawsze rozbijał go wewnątrz. Tym razem wydawało się, że mu tego oszczędzi.

– Niezła akcja, co? – Terwicz wyglądał na zadowolonego. – Ma chuj wycieczkę z atrakcjami, a jak dobrze pójdzie, to mu jeszcze tę rudere wyburzą.

– Czemu mieliby... – zaczął Marcin, ale Rafał go nie słuchał. Był wyraźnie podekscytowany.

– W końcu dostanie za swoje! – Pokazał środkowy palec w kierunku znikającego radiowozu. – Pierdolony oszczerca...

– Ty ich nasłałeś – domyśliła się Renata. – Pojebało cię do reszty?

– Ja tylko powiedziałem prawdę – obruszył się. – Pytali, czy ktoś mi groził i czy ma jakąś broń.

– Rafał, co ty pierdolisz?! – Renata puściła Marcina. Była wściekła. – Co ty, kurwa, pierdolisz?

– Przecież wiesz, że on ciągle... – Łypnął na Marcina i się zawahał. – No wiesz, o co chodzi.

– O co? – zainteresował się Marcin.

– Nie mówiła ci?

– Chodź! – Renata złapała Marcina za rękę i pociągnęła w stronę domu. – To debil!

– Zaraz! – Chciał ją zatrzymać, ale się nie dała. – Renata!
Nie odwróciła się. Wbiegła po schodach i trzasnęła drzwiami.

Terwicz rozłożył bezradnie ręce.

– Kobiety... – rzucił półgębkiem i chciał odejść.

– Chwila! – Marcin zastąpił mu drogę. – O co tu chodzi, co?

– Skąd mam wiedzieć? – Terwicz próbował go wyminąć. Bezskutecznie.

– Podpierdoliłeś niewinnego dziadka tak w ramach zabawy?

– Nic nie rozumiesz...

– To mi wyjaśnij.

– Nie twoja sprawa. – Znow chciał wyminąć Marcina, ale ten ponownie go nie puścił.

– Skończ z tą błazenadą i mów, o co chodzi!

– A weź spierdalaj! – Terwicz odepchnął go brutalnie. – Jebany przybłędo!

Marcin cofnął się, ale nie przewrócił. Skoczył do Terwicza i wyrznął mu w szczękę prawym prostym. Odruchowo, tak jak trzeba.

Tamten się nie spodziewał, nie zdążył zasłonić. Próbował zrobić unik, ale za późno. Cios był mocny na tyle, że nogi się pod nim ugięły i klapnął tyłkiem na asfalt.

Marcin stał chwilę w gotowości, na wypadek gdyby Terwicz chciał kontynuować, a widząc, że nie zamierza, splunął mu pod nogi, odwrócił się i odszedł.

*

– Dałem mu w ryj – powiedział, nie patrząc na Renatę. – On zaczął, ale ja skończyłem.

Nie odpowiedziała. Stała tyłem do niego i czekała, aż elektryczny czajnik zagrzeje wodę.

– Nie chciałem, to był odruch – przyznał. – Jak byłem dzieciakiem, tylko w taki sposób mogłem uniknąć roli popychadła. Starsza gówniarzeria zawsze szukała sobie kozła ofiarnego, nad którym mogła się bezkarnie znęcać, a ja nigdy nie chciałem być takim kozłem. Dlatego nauczyłem się oddawać. Od razu i bez zastanowienia. Odruchowo.

– Działo? – zainteresowała się, zalewając herbatę.

– W większości przypadków tak. Choć nie zawsze za pierwszym razem.

– Wiesz, że Rafał się teraz śmiertelnie obrazi?

– Ja też.

Podniósł na nią wzrok, gdy podeszła i postawiła przed nim kubek.

– Przepraszam, nie chciałem. – Starał się, aby zabrzmiało to szczerze, choć wcale takie nie było. Nie do końca. – To znaczy nie chciałem, aby przeze mnie ucierpiała wasza przyjaźń. Znacie się od dzieciaka i wiem...

– Daj spokój.

– Nie, poważnie, Renata! Tylko ze względu na ciebie chciałbym móc cofnąć czas i nie dać mu w pysk. Chociaż zasłużył...

– Dobrze zrobiłeś. – Usiadła naprzeciwko. – Znam go. Gdybyś mu nie oddał, to rzeczywiście zaczęłyby cię uważać za popychadło. – Uśmiechnęła się lekko. – Przez jakiś czas po prostu się unikajcie. Porozmawiam z nim, gdy będzie okazja, i zobaczymy. Jakoś się rozejdzie.

– W porządku. – Pomasował knykcie. Już niemal zapomniał, że mogą boleć w tak przyjemny, satysfakcjonujący sposób.

Upił łyk herbaty. Ostrożnie, bo była gorąca. A potem znów spojrzął na Renatę.

– To jak, wyjaśnisz mi w końcu, o co chodzi z Terwiczem i Partyzantem?

ROZDZIAŁ 8

CZERWIEC 2020
RENATA

Wiedziała, że Marcin o to zapyta, że będzie musiała opowiedzieć mu tę historię. Prędzej czy później, bo przecież zawsze mogła znów się z nim pokłócić i w ten sposób odsunąć na jakiś czas to, co wydawało się nieuniknione. Kusząca możliwość, ale zupełnie bezsensowna, bo wtedy rozmowa, prowadzona z perspektywy wstrzemięźliwego rozejmu podszytego podejrzeniami stałaby się trudniejsza. Marcin nie był głupi i świetnie by rozumiał, że Renata tylko gra na czas, a tym samym z każdym dniem stawałby się bardziej podejrzliwy, by na koniec zacząć drążyć temat. I zadawać pytania, które nie powinny zostać zadane. Dlatego Renata musiała wziąć się w garść.

Czuła, że coś takiego się stanie, gdy tylko zauważyła Terwicza. Już wcześniej łąpał zza ogrodzenia, a potem wyszedł na drogę, żeby pochwalić się tym, co zrobił. Skończony kretyn! Nie była już pewna, czy bardziej rozzłościło ją to, że będzie musiała grzebać w przeszłości i mówić Marcinowi o rzeczach, o których nie chciała mu nigdy wspominać, czy to, że Terwicz okazał się aż tak głupi.

– To jak, wyjaśnisz mi w końcu, o co chodzi z Terwiczem i Partyzantem?

Pokiwała głową i podmuchała w kubek. Ciemną tafłę herbaty zmarszczyły niewielkie fale. Kubek był kamionkowy i pękaty, w kolorze zboża. Otaczała go dłońmi, tak by czuć bijące od niego gorąco, ale się nie poparzyć. Nie za blisko i nie za daleko. Bezpiecznie. Tak samo zamierzała opowiedzieć o tym, co wydarzyło się przed laty. Zbliżyć się do prawdy na tyle, by wybrzmiała, ale nie aż tak bardzo, by stała się bolesna.

To nie było trudne, nie dla niej. Jako dziecko nauczyła się, jak bezpiecznie przedstawiać właściwe fragmenty prawdy, nie kłamiąc. To było ważne, bo matka zawsze powtarzała, że „kłamstwo ma krótkie nogi”, że „nie popłaca”. Renata w to uwierzyła, gdy po raz pierwszy przyłapano ją na tym, że nie powiedziała prawdy. Czy to było wtedy, gdy niechcący zrzuciła cukiernicę, czy może gdy wylała ojcu olej, tego już nie pamiętała. Zapamiętała jednak ból i gips, który później nosiła. Na początku biały i twardy, a potem szary i pomazany flamastrami. Po tamtym zdarzeniu jeszcze przez krótki czas próbowała mówić prawdę, ale to też nie kończyło się dobrze. Też bolało.

Dopiero matka nauczyła ją tej trudnej sztuki, tej ekwilibrystyki między „nie kłam” a „tego nikt nie musi wiedzieć”. Renacie nie przyszło to łatwo, ale miała wiele okazji do ćwiczeń. „Jak złamałaś rękę?”, „Czemu nie byłaś w szkole?”, „Skąd masz siniaki?”, „Jak się nazywasz?”, „Skąd masz tego misia?”, „Co robiłaś z Julią?”, „O co chodzi z...?”.

– To było, kiedy Rafał miał piętnaście lat. – Zmarszczyła czoło. – Piętnaście, a może już szesnaście, nieważne. Od dziecka ciągnęło go do samochodów i często siedział u ojca w warsztacie.

Ponownie podmuchała na herbatę. Nie lubiła gorącej.

– Najpierw podpatrywał, potem zaczął trochę pomagać. W końcu ojciec zaczął mu zlecać jakieś drobne roboty. Nic poważnego... – Zamyśliła się. – Nie wiem, czemu wtedy pozwolił mu robić hamulce albo czemu potem ich nie sprawdził. To w ogóle wyszło całkiem inaczej, bo nikt nie udowodnił, że coś było nie tak... Ojciec Rafała wziął to na siebie.

– Doszło do jakiegoś wypadku – domyślił się Marcin.

– Nie wiadomo. To znaczy... – Zawahała się. – Fakty są takie, że córka Partyzanta oddała samochód do naprawy, bo słabo hamował. Terwicz naprawił hamulce, ale dopisał do rachunku jeszcze kilka rzeczy, twierdząc, że wymagały wymiany. Wyszła kwota prawie dwa razy większa niż ta, na którą się umawiali. Córka Partyzanta nie chciała za to płacić, więc nie oddali jej samochodu. Partyzant wpadł do warsztatu i zrobił awanturę. Pobili się i przyjechała policja. Z samochodem nic jednak wtedy nie zwojował i Terwicze trzymali go dalej, kilka kolejnych dni. W końcu Partyzant odpuścił i dał córce pieniądze. Kiedy przyszła po odbiór, Terwicze skasowali ją jeszcze za zajmowanie miejsca na placu. Zapłaciła i zabrała auto, ale nie wróciła do domu. Zjeżdżając z Popielówki rozbiła się przed skrzyżowaniem w Gajową. Wjechała w latarnię i zginęła na miejscu.

– Jezu...

– Przy oględzinach wraku nie znaleziono jednoznacznych dowodów wskazujących, że hamulce nie działały. Biegli orzekli, że mogły zostać uszkodzone w wyniku zdarzenia. Przy okazji ustalili, że nic z tego, co tam

Terwicze dopisali do rachunku, nie było wymienione, ale nie wzięli pod uwagę oszustwa, bo nie wpływało na bezpieczeństwo. Ostatecznie sprawę umorzono.

– Zabili Partyzantowi córkę? – Marcin nie dowierzał.

– Nie mów tak. – Pokręciła głową. – Nikt im niczego nie udowodnił, a ojciec Rafała przysięgał przed wszystkimi w kościele, że to był wypadek, że nie przyłożył do tego ręki. Chciał się nawet pojednać publicznie z Partyzantem, ale tamten odmówił... Gdy Terwicze ufundowali wielki wieniec na grób, Partyzant go wyrzucił, krzycząc, że niczego nie chce od morderców swojej córki. Nigdy im tego nie wybaczył i oczerniał przy każdej okazji.

– Musisz przyznać, że nie wygląda to dobrze – zauważył Marcin. – Skoro była awantura, to Terwicze mogli coś zrobić po złości. Może nie chcieli, żeby aż tak to się skończyło, ale...

– Rozmawiałam o tym z Rafałem kilka razy – przerwała mu. – Wtedy i potem, i zawsze przysięgał, że wszystko było zrobione tak jak trzeba i że naprawdę nie mieli z tym nic wspólnego. Owszem, oszukali na te dodatkowe świece i filtry, ale hamulce zrobili dobrze... Wiesz, znałam go od dziecka, nie mógłby mnie okłamać, nawet gdyby chciał. Po nim zawsze było widać, kiedy kręci.

– Może to jego ojciec kłamał?

– Nie ma mowy. Przysięgał przy księdzu i wszystkich na rany Chrystusa. To musiał być nieszczęśliwy wypadek.

– Jeśli tak, to dlaczego po tylu latach Rafał nakłamał policji, żeby zabrali starego?

– Bo oni się od tamtej pory żarli. Mówię ci przecież, że Partyzant oczerniał Terwiczów przy każdej okazji. Potrafił chodzić nocą po Bożej Woli i Sennowie, krzycząc, że są mordercami. – Westchnęła. – Było z tego kilka awantur i przez pewien czas policja tu co kilka dni przyjeżdżała. No tak jest po prostu, że się nienawidzą i to dlatego...

Przez chwilę zastanawiała się, czy skończyć na tym, ale uznała, że Marcin i tak zapyta, więc zdecydowała się powiedzieć to, co wydawało się oczywiste. Lepiej brzmiało powiedziane od razu, niż wygrzebywane serią niebezpiecznych pytań.

– Oczywiście moja rodzina też była zamieszana w ten konflikt. Stanęli po stronie Terwiczów.

– Czemu?

Wzruszyła ramionami.

– Dobrze się dogadywali, a matka zawsze twierdziła, że Partyzant musi mieć diabła za skórą, bo nie chodzi na msze. Że pewnie Żyd. Chociaż to nieprawda – zreflektowała się. – Tylko tak gadała, bo przecież znali się z dziadkami od zawsze, odkąd tu na gospodarkę przyszli, i wiadomo było, że to normalni katolicy. Zresztą chodził na msze, póki córka żyła, przestał dopiero po jej

śmierci. Gdyby był Żydem, to by nie przeżył wojny, a przeżył i wcale się nie ukrywał. Jeszcze z granatem za pasem chodził, tak opowiadali... – Sięgnęła po herbatę. – Rafał wykorzystał po prostu okazję, żeby mu uprzykrzyć życie.

– Uważasz, że dobrze zrobił?

– A jak myślisz? – Wstała, zabierając kubek. – Uważam, że postąpił po chamsku.

Chciała wyjść z kuchni, ale zatrzymał ją, delikatnie łapiąc za rękę.

– Wiesz, co widziałem w lesie?

Fala niepokoju uderzyła ją nagle, odebrała dech. Spojrzała na niego przestraszona, w ostatniej chwili powstrzymując chęć ucieczki. Nie, nie mogła uciec, nie mogła dać po sobie poznać, że domyśla się, o co on chce zapytać.

– Nie – odpowiedziała beznamiętnie.

Przeszło jej przez myśl, że może w ogóle nie chodzić o to, że przecież prawdopodobieństwo, że Marcin polezie w las i trafi akurat tam, jest tak niskie, że...

– Jakieś groby z tabliczkami – powiedział. – Takie, wiesz... Dziwne, bo to nie cmentarz, tylko takie jakieś... Wiesz, o czym mówię?

– Nie – skłamała. – A nawet gdybym wiedziała, to i tak nie miałbyś co liczyć na rozmowę, bo cały czas jestem na ciebie obrażona. – Ostrożnie wysunęła rękę z jego dłoni. – Nie zapominaj, że się pokłóciliśmy.

– Myślałem, że już ci przeszło.

– Źle myślałeś. – Ruszyła do drzwi.

– Mieszkasz tu od dziecka, więc musiałaś tam być.

Odwróciła się na progu i spojrzała na niego z dobrze odegranym politowaniem.

– Ostatni raz poszłam na grzyby przed studiami, a potem... Sam wiesz, jak często nadarzała się okazja, żeby się tu pojawiać. – Parsknęła. – Nie mam pojęcia, kto i co tam zrobił.

– Nic nie wiesz o żadnym cmentarzu z czasów wojny?

– Wiem – przyznała. – Jest na Popielówce, przy parkingu. Powinieneś się tam kiedyś wybrać.

– Byłem, ale...

– Dość, Marcin! – uciszyła go. – Wciąż jestem na ciebie zła i teraz chcę tylko wziąć w spokoju kąpiel, rozumiesz?

Pokiwał głową.

– Świetnie – mruknęła i poszła na górę.

Na schodach przystanąła, nasłuchując, a gdy było już jasne, że za nią nie poszedł, odetchnęła z ulgą.

*

Woda była ciepła, z gęstą, pachnącą pianą. Zanim Renata się w niej zanurzyła, upewniła się, czy drzwi są zamknięte, a zamek przekręcony. Kolejne przyzwyczajenie z dzieciństwa.

Kiedyś próbowała z tym walczyć, przekonywać samą siebie, że jest już dorosła, że się przeprowadziła, że nie ma takiej potrzeby. Na próżno. Nawet gdy była sama, zawsze zamykała drzwi łazienki. Tylko wtedy mogła się odprężyć i poczuć naprawdę bezpiecznie.

Teraz jednak, gdy znów zamieszkała w tym domu, nawet drzwi zamknięte na klucz nie dawały jej poczucia pełnego bezpieczeństwa. Renata sama nie rozumiała dlaczego, ale bez względu na wszystko gdzieś głęboko pod skórą czuła jakieś napięcie, jakiś dziwny niepokój. Na początku myślała, że tylko jej się wydaje, potem, że to normalne w takiej sytuacji, gdy wraca się do rodzinnego domu, który jest zimny i cichy. W którym nie ma już kogo nazywać matką i ojcem. Myślała, że to minie z czasem, lecz nie minęło. Na całe szczęście również się nie nasilało. Po prostu czuła to każdego dnia. Jak bardzo ciche buczenie radia gdzieś za ścianą.

Odkręciła wodę i oparła głowę o brzeg wanny. Zamknęła oczy, wsłuchując się w kojący szum, który choć na chwilę zagłuszył jej myśli. Zagłuszył też cichy dźwięk wolno naciskanej klamki.

Drzwi nie ustąpiły. Klamka wróciła do poprzedniej pozycji.

*

Drzwi prowadzące do urzędu miejskiego w Kielcach tarasował strażnik w maseczce i lateksowych rękawiczkach. Po raz kolejny tego dnia tłumaczył komuś znużonym głosem, dlaczego nie może go wpuścić.

– Nie ma pana na liście, dlatego nie mogę. Ze względu na sytuację epidemiologiczną wszystkie sprawy załatwia się tylko po wcześniejszym umówieniu.

Ożywił się, widząc młodą kobietę, która wyszła właśnie z wielopoziomowego parkingu i zmierzała energicznie ku wejściu. Garsonka podkreślająca zgrabną figurę i mocny makijaż przyciągały uwagę.

– Byłam umówiona, proszę sprawdzić. Renata Bieńczuk. – Bezceremonialnie weszła przed zbulwersowanego człowieka ściskającego pod pachą tablice rejestracyjne. – Jestem?

– Chwileczkę... – Strażnik przerzucił kartkę w zeszycie, nie mogąc się powstrzymać przed mimowolnym zezowaniem na nogi Renaty. – Tak, proszę wejść, piętro...

– Wiem gdzie!

Jej obcasy zastukały, cichnąc wkrótce w głębi budynku.

Renata tak naprawdę nie do końca wiedziała, dokąd ma iść, bo była tu pierwszy raz w życiu. Znała jednak numer pokoju, a kierowniczka wytłumaczyła jej mniej więcej, gdzie on się znajduje. To wystarczyło, by dostarczyć dokumenty na właściwe biurko.

Godzinę później Renata była już na obrzeżach Kielc. Wolno wyjechała ze stacji paliw, kierując się w stronę wylotowej trasy. Tej samej, która prowadziła do Sennowa. Nie wróciła jednak od razu do domu. Za terenem elektrociepłowni skręciła w boczną drogę. Przejechała wzdłuż ogrodzenia i zagłębiła się w las. Droga była asfaltowa, ale wąska. Mało uczęszczana, bo prowadziła do kilkudziesięciu domów, które dawno temu stanowiły niedużą wioskę, by później zostać wchłonięte przez obszar administracyjny Kielc. Dzielnica, cicha i spokojna, wciąż skutecznie unikała ataku patodeweloperki.

Renata zwolniła, szukając właściwego miejsca. Niewielkiej polany, do której prowadził wąski, nieutwardzony zjazd. Stał tam już inny samochód.

– Spóźniłaś się – zauważył Rafał, gdy zaparkowała obok i wysiadła, poprawiając spódnicę.

– Jesteś idiotą, wiesz?

– Aha... – Pokiwał głową, wyciągając papierosa. – Cały tydzień nad tym myślałaś?

– Nie, po prostu wcześniej nie było okazji, żeby ci to powiedzieć.

– Mogłaś napisać, zamiast mnie tu ściągać, w końcu to nic odkrywczego. – Uśmiechnął się. – Ojciec powtarza mi to od dziecka. Co druga loszka też...

– Loszka, kurwa... – Renata przewróciła oczami.

– Tak mi się powiedziało – mruknął przepaszająco, mierząc ją wzrokiem. – Dziewczyna, lepiej?

– Słuchaj, Rafał, ja naprawdę... – Umilkła, słysząc nadjeżdżający samochód. Gdy ich minął, kontynuowała: – Ja naprawdę nie potrzebuję, żebyś odwalał takie akcje, dobrze o tym wiesz! Umawialiśmy się, rozmawialiśmy i miałeś się, kurwa, ogarnąć! – Wycelowała w niego palcem.

– Przepraszam, Renka, ale nie knij, bo to do ciebie naprawdę nie pasuje.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uciszył ją gestem.

– Jeśli chodzi ci o tę akcję z Partyzantem i twoim, to zawałem, przyznaję. Po prostu zapomniałem, że on nic nie wie, i tak mi się palnęło. Zresztą mogłaś mu powiedzieć, bo to nie ma związku z...

– Nie mów mi, co mogłam, a co nie, dobrze? – Spojrzała wyzywająco. – Wiesz, ile to wszystko mnie kosztuje? Wiesz, przez co ja przechodzę? Nie, nie

wiesz i masz to gdzieś, prawda?

– Nie przesadzaj.

Renata nie przesadzała, no, może trochę, ale nie czuła się winna. To wszystko, co się działo przez ostatnie miesiące, naprawdę okazało się trudniejsze i bardziej bolesne, zupełnie inne, niż się spodziewała. Niekiedy wydawało jej się, że jednak Marcin nie zasłużył na to, co chciała mu zrobić. Innym razem ogarniała ją chłodna pewność, że postępuje właściwie i musi odebrać mu to, co jej się należało. Te wahania coraz bardziej ją przytłaczały, coraz bardziej gubiła się we własnych uczuciach. Zanurzona po uszy w piwie, którego sama nawarzyła, miała wrażenie, że dotarła do momentu, gdy już niewiele brakuje, by je do końca wypić albo się w nim utopić.

Spojrzała na Rafała, zastanawiając się, czy dalej to roztrząsać. Chciała go przycisnąć, ale nie zdenerwować. Mieli się dogadać, a nie pokłócić. Dlatego zdecydowała się zmienić temat.

– Tak w ogóle to czemu nasłałeś psy na starego?

– Żeby miał za swoje.

– Nie o to mi chodzi. – Pokręciła głową. – Skąd ci to nagle przyszło do głowy, żeby ich ściągać?

– Ja ich nie ściągałem. – Spojrzał na nią zdziwiony. – Sami do nas do roboty przyjechali i zaczęli wypytywać. Wiadomo, że chodziło o Majulę, ale nie chcieli powiedzieć nic konkretnego. Ten komisarz się pruć, że dobro śledztwa i tak dalej.

– Myślisz, że coś znaleźli? Że mogą ustalić, kto ją zabił?

– Mam nadzieję. – Zacisnął zęby. – I niech zajebią gnoja!

Renata pokiwała głową, ale nic nie odpowiedziała. Nie potrafiła ocenić, czy Terwicz mówi szczerze, czy nie.

Marcinowi powiedziała, że czyta z Rafała jak z otwartej książki, ale to nie była prawda. Może gdy byli młodszy, gdy spędzali ze sobą więcej czasu, tak właśnie było, ale odkąd wyjechała na studia, Rafał się zmienił i ona też. Już nie było między nimi tej więzi i zrozumienia, co kiedyś. Nie było im już łatwo przejrzeć się nawzajem.

Dała Rafałowi jeszcze chwilę, a potem wróciła do tematu, który uważała za ważniejszy:

– Naprawdę niepotrzebnie wyskoczyłeś z tą akcją z Partyzantem przy Marcinie.

– Przecież przeprosiłem – obruszył się. – Po co drążysz?

– Bo obiecałeś pomóc, a utrudniasz! – Spojrzała na niego z wyrzutem. Już wiedziała, że Rafał nie utrzyma nerwów na wodzy, że zaraz zacznie kozaczyć.

– To był przypadek.

– Przypadkiem się pobiliście?

– To on mnie, kurwa, uderzył. I pożałuje! – burknął. – Tak mu mordę obiję, że...

– Nic nikomu nie będziesz obijał! – krzyknęła.

– Moment! – Zirytował się. – To sprawa między mną a nim. Nikt mnie nie będzie bezkarnie...

– Pogodźcie się!

– Chyba cię pojebało! – Rzucił papierosa. – Nie ma takiej opcji. Dostanie wpierdol przy pierwszej okazji!

Widziała, jak czerwieni się ze złości, jak na skroni uwypukła mu się pulsująca żyła, a dłonie bezwiednie zaciskają się w pięści. Poziom testosteronu wystrzelił mu ponad normę szybciej, niż się spodziewała. Aż się zdziwiła, że to takie proste...

To Marcin ją tego nauczył. Przez przypadek i zupełnie nieświadomie. Po prostu tłumaczył kiedyś, jak ważne w negocjacjach jest przejęcie kontroli nad sytuacją. Opowiadał o technice, którą stosował przy trudnych partnerach: trzeba najpierw wyprowadzić ich z równowagi, a później uspokoić. W ten sposób wzbudzał w nich podświadomą wdzięczność i sprawiał, że stawali się bardziej ulegli.

– Uspokój się, Rafał – poprosiła smutnym głosem i zrobiła minę, jak gdyby właśnie sprawił jej przykrość. – Naprawdę proszę cię, żebyś tego wszystkiego nie niszczył.

Podeszła i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Ta ekipa remontowa szybko pracuje. To już nie potrwa długo. Potem będę mogła w końcu to zrobić i wszystko... – uśmiechnęła się blado – wszystko będzie tak, jak trzeba. Przynajmniej mam taką nadzieję. Ale do tego potrzebuję twojego wsparcia, a nie gówniarskich przepychanek.

– Wiem – mruknął zdezorientowany.

– To dobrze, bo ja nie... – Oparła się o jego samochód.

– Co nie? – nie zrozumiał.

– Nie wiem, czy dobrze to wszystko... Czy powinnam.

– To twoje życie, Renata, już ci to mówiłem. – Wzruszył ramionami.

– Nie chcę nikogo skrzywdzić. Ani Marcina, ani siebie.

To była prawda. Owszem, Marcin opowiedział jej, jak przejąć kontrolę nad sytuacją, ale nie powiedział, co dalej, a ona nie miała wprawy. Musiała improwizować, co nie było łatwe, biorąc pod uwagę niepewność, z którą się mierzyła. Ona sama nie wiedziała, do czego powinno to wszystko prowadzić. Może tylko do tego, aby mogła liczyć na pomoc, albo chociaż na to, aby miała się z kim podzielić wątpliwościami? Bo już sama nie wiedziała, czego chce, a zwłaszcza czy to, co robi, ma sens.

Raz wydawało jej się, że wszystko świetnie zaplanowała i że postępuje słusznie, że każde działanie jest usprawiedliwione, a chwilę później czuła się zagubiona i przerażona tym, że to niemoralne i bardzo, bardzo niewłaściwe. Czuła, że nie powinna postępować w ten sposób, że zachowuje się jak własna matka... Od kilku miesięcy tonęła w toksycznym sosie emocjonalnego chaosu i niezdecydowania, a co gorsza przeskakiwała ze skrajności w skrajność. Dobrze – źle, dobrze – źle, tak – nie, tak – nie... To stawało się nie do zniesienia.

Rafał podsunął jej paczkę papierosów. Wzięła jednego.

– Czasami wydaje mi się, że to wszystko jest bez sensu – przyznała. – Może powinnam mu już wcześniej powiedzieć, jak jest, żeby się skończyło tak, jak pewnie by się skończyło, ale... No wiesz, ale wtedy...

– Obudziłabyś się z ręką w nocniku – podpowiedział.

– Pewnie tak.

– Chujowa perspektywa.

– Czasami myślę, czy nie lepsza.

– No weź, dziewczyno! – Szturchnął ją. – Życie to nie bajka, nie ma w nim miejsca na sentymenty. Albo zwyciężasz, albo przegrywasz. Nie ma nic pomiędzy.

– Ty najlepiej wiesz, prawda?

– Prawda! – Uśmiechnął się, wsuwając dłoń między jej uda. – Może skorzystamy z okazji?

– Może nie! – Odtrąciła jego rękę. Naprawdę nie miała na to ochoty. – Mówiłam ci już, żebyś sobie dał spokój, i wcale nie żartowałam.

– To silniejsze ode mnie. – Rozłożył ręce w przeproszającym geście.

– Trzeba zmienić definicję słabej płci – parsknęła, gasząc papierosa. Spojrzała na niego, unosząc brew. – Jadę, a ty...

– Dobra... – Pokiwał głową z rezygnacją. – Postaram się na razie odpuścić temu twojemu przybłędzie.

– Po prostu się unikajcie, to wystarczy. Pa!

Wsiadła do samochodu, wykręciła ostrożnie i wyjechała na drogę.

Mimo wszystko czuła satysfakcję.

ROZDZIAŁ 9

CZERWIEC 2020
MARCIN

Na zdjęciu Julia była uśmiechnięta, ale nie tym uśmiechem, który Marcin zapamiętał. Tamten był szczery, mocny i głęboki, zupełnie jak gdyby płynął z wnętrza, elektryzując jej całe ciało radosną energią. Na tym zdjęciu Julia uśmiechała się płytko, ledwie unosząc kąciki ust. Wyglądała pogodnie, ale w jakiś sposób smutno. Zupełnie jak gdyby zdawała sobie sprawę, że będzie tak spoglądać z własnego nagrobka.

Kwiatów było dużo. Nie tyle, co na pogrzebie, a jednak dość, by zasłaniać większą część granitowej płyty. Wśród nich paliło się kilka lampek, kilka innych już zgasło. Marcin zapalił kupiony przed wejściem na cmentarz znicz i postawił w miejscu, które uznał za najlepsze. Niedaleko zdjęcia Julii, jakby chciał, żeby go widziała.

– Dzień dobry.

Odwrócił się zaskoczony.

– Pani Kamila? – W pierwszej chwili nie był pewny, bo była po cywilnemu.

– Kamila. – Podała mu dłoń.

– Co pani tu robi?

Uniosła znicz.

– Przed chwilą dałam do zrozumienia, że powinniśmy przejść na ty. Chyba że pan nie chce?

– Przepraszam, oczywiście. – Zmieszał się i teraz on podał jej dłoń. – Marcin.

– Ogień.

– Słucham?

– Czy masz ogień, bo zapomniałam... Żeby podpalić znicz.

– Tak, jasne!

Miał wrażenie, że policjantka patrzy na niego tak, jak gdyby chciała sięgnąć głębiej, zobaczyć, co ma w środku. Poczuł się zakłopotany, ale nie był pewny, czy ma coś przeciwko.

– Kamila – powtórzył, podając zapalniczkę. – To imię pochodzi z łaciny i znaczy, że osoba je nosząca jest szlachetnie urodzona.

– Naprawdę? – Zdjęła metalową przykrywkę i zapaliła knot. – Interesuje cię geneza imion?

– Miałem kiedyś przyjaciela, Kamila. Chyba on mi o tym powiedział i zapamiętałem. Pochodzenia innych imion nie znam – dodał szybko.

– Szkoda, bo miałam zapytać o Gwidona. – Ustawiła świeczkę obok tej, którą przyniósł.

– Gwidon pochodzi pewnie od dupka.

Stłumiła śmiech. Przeżegnała się i pochyliła głowę. Po chwili wahania zrobił to samo.

*

Szli polną drogą w stronę zagajnika. Po lewej ciągnęło się jeszcze ogrodzenie miejskiego cmentarza, po prawej boisko. Puste, bo dzieciaki siedziały w domach. Może ze względu na pandemię, a może po prostu wolały grać w FIF-ę lub oglądać filmiki na TikToku. Kolorowe dachy domów błyszczały w słońcu za łąką, oddzielone od drogi falującym od gorąca powietrzem i bzyczeniem owadów.

Marcin nie rozumiał, czemu nie odmówił, gdy policjantka zaproponowała, aby się przeszli. Powinien to zrobić, nie tylko dlatego, że ktoś mógł ich zobaczyć i zacząć gadać, ale przede wszystkim dlatego, że czuł, jak bardzo to jest niestosowne. Nie mógł tylko zdecydować, czy bardziej wobec Renaty, czy Julii. Mimo to szli obok siebie, zupełnie jakby się dobrze znali i wybrali na spacer, by w ciszy kontemplować piękny, słoneczny dzień.

Milczeli oboje, ale Marcin domyślał się, że to nie potrwa długo. Tak, chyba właśnie to przecucie kazało mu przystać na propozycję Kamili. Poza tym był ciekaw, czego ona może chcieć. Bo że chciała, był pewny. Widział to w jej oczach. Zresztą nie pierwszy raz, co uświadomił sobie, gdy stali przy grobie. Dostrzegł to już wcześniej, wtedy gdy zabierali Partyzanta, i może też za pierwszym razem? Nie mógł sobie przypomnieć, ale kilka dni temu, po akcji

z łapaniem staruszka, na pewno patrzyła na niego w ten sam sposób. Chciał wiedzieć dlaczego.

– Julia Makowska została zamordowana – powiedziała policjantka, gdy dotarli do pierwszych drzew. – Ktoś ją zastrzelił.

– Jezu! – Marcin spojrzał na nią zaskoczony. – Czemu pani... Czemu mi to mówisz?

Nie odpowiedziała.

– Zastrzelona? Z broni? – Marcin pokręcił głową. – Z prawdziwej broni?

– Pocisk wszedł tuż obok kręgosłupa, z tyłu pod prawą łopatką. Wszedł przez klatkę piersiową, po drodze narobił bałaganu, ale nie zabił od razu. Dziewczyna umierała kilka godzin.

– Zwariowałaś? – Marcin podniósł głos. – Nie możesz mi mówić takich rzeczy!

– Zgadza się, nie mogę. – Skinęła głową. – Pocisku na razie nie udało się odnaleźć. Technicy będą go szukać, opierając się na ekspertyzie balistycznej. Może wtedy się uda. Na pewno pochodził z broni długiej. Zakładamy, że z myśliwskiej.

– Nie rozumiem...

– Wiem.

Marcin cofnął się, zdezorientowany. Obejrzał się, jak gdyby nie był pewien, czy za chwilę zza drzewa nie wyskoczy ktoś krzyczący, że to okrutny żart. Ale nikogo tam nie było. Nie zdołałby się schować za żadnym z chuderlawych pni.

– Jezu – powtórzył cicho i usiadł na trawie.

Kamila usiadła obok. Czekwała, aż przetrawi to, co usłyszał.

– Nie wiem, ja chyba nie wierzyłem, że coś takiego jest możliwe – powiedział po dłuższej chwili. – Myślałem, że to może jakiś wypadek, albo... Albo samobójstwo. Nie chciałem, żeby tak było, ale przeszło mi przez myśl, że ona sama mogła... Że z jakiegoś względu, może...

Starął się stłumić kalejdoskop wspomnień, który zawirował w jego głowie chaotycznymi urywkami obrazów, dźwięków i uczuć. Bolesnie rwaną kakofonię obracającą się wkoło postaci Majuli.

– Naprawdę ktoś ją zabił?

– Wszystko na to wskazuje. – Policjantka wyprostowała nogi, ryjąc podszewkami sneakersów w piasku. – Braliśmy pod uwagę, że mogła zostać postrzelona przypadkiem przez myśliwego, ale nikt tu nie polował w tym czasie. Sprawdzamy kłusowników, tych, o których wiemy, choć oni raczej zakładają wnyki, a nie strzelają.

– A co z Partyzantem? To ten starszy facet, co mieszka obok, ten, którego złapaliście – wyjaśnił na wszelki wypadek. – To w ogóle w związku z Julią?

– Aha – mruknęła niechętnie.

– Ale że on miałby ją zabić? – Marcin z trudem zachowywał spokój. To wszystko, cała ta sytuacja i rozmowa wydawały mu się absurdalne i nierzeczywiste do tego stopnia, że zaczynał się zastanawiać, czy przypadkiem mu się nie śni.

– Mamy w papierach, że kłusował i że rekwirowano mu długą broń... Dawno temu, po wojnie – dodała z przekąsem. – Teraz niby pojawił się motyw... Wszystko słabe, ale Wargalski uznał, że wystarczy.

– Motyw od Terwicza? – domyślił się.

Kamila pokiwała głową.

– Przeszukanie posesji niczego nie ujawniło, zatrzymany nie miał nic sensownego do powiedzenia, więc prokurator się wkurwił, że zmarnował czas na dojazd, i powiedział Wargalskiemu kilka ciepłych słów, a na koniec dziadek zasłabł i trzeba go było wieźć do szpitala. Nic mu nie jest – wyjaśniła, widząc, że Marcin drgnął. – Prawdę mówiąc, to szczęście w nieszczęściu, bo na badaniu wyszło, że ma guza jak pięść. Teraz jest już po operacji i wraca do siebie. Za jakiś czas go wypuszczą. W każdym razie to była popieprzona akcja. Wargalski się sady, ale jest kretynem. Wyobrażasz sobie, że jeszcze dwa dni później nie bardzo chciał wierzyć w to, że Terwicz z nas zakpił?

– Ty domyśliłaś się od razu?

– Pytasz, czy uwierzyłabym w zemstę po latach i w to, że dziewięćdziesięciolatek mógłby ganiać po lesie za młodą, zdrową dziewczyną, strzelając do niej? Kurwa, przecież on by się połamał, gdyby próbował podnieść miotłę, a co dopiero oddać strzał ze sztucera!

– No tak... – Marcin przez chwilę się zastanawiał, czy wspomnieć o tym, że nie dał rady dogonić Partyzanta w lesie, ale uznał, że to nie ma sensu. W końcu to nie była prawdziwa pogoń, tak naprawdę tylko za nim szedł i jeszcze tracił czas, zastanawiając się nad wyborem drogi. Wtedy wydawało mu się, że Partyzant przed nim ucieka, ale po prostu poszli innymi ścieżkami. On krótszą, a Marcin dłuższą, i stąd to wrażenie, że dziadek był szybszy. Nie, to nie było w tym momencie istotne.

– Czemu mi o tym mówisz? – Tym razem to on spojrzał na Kamilę z uwagą, zupełnie jakby chciał wyczytać odpowiedź z jej źrenic. – Poważnie, o co tu chodzi?

– Byliście z Julią blisko, więc uznałam, że powinieneś to wiedzieć. Zresztą prędzej czy później i tak ktoś się wygada i dowiesz się z plotek. Co za różnica? – Wzruszyła ramionami, ale nie odwróciła wzroku.

– Nie. – Pokręcił głową. – Chodzi o coś innego.

– Podobasz mi się – powiedziała to w taki sposób, że poczuł mrowienie na karku. – Sprawdzaliśmy historię połączeń i wiadomości z numeru ofiary, więc wiem, że z żoną ci się nie układa. W ten sposób chcę zwrócić twoją uwagę i sama nie wiem... – Uniosła brew.

– To bez sensu, te bajki... – Podniósł się zirytowany. – Odczep się ode mnie.

Pozwoliła, by odszedł kilka kroków.

– Dobra, wracaj, Bieńczyk! – powiedziała poważnie. – Przepraszam, ale chciałam się upewnić, że nie jesteś frajer i nie łykasz byle bajeru. Chcę, żebyś mi pomógł.

– Chcesz? – zatrzymał się i odwrócił.

– Chcę cię poprosić. – Skrzywiła się. – Obojgu nam chyba zależy, co?

Marcin czuł się skołowany. To, czego doświadczał, zupełnie nie mieściło się w granicach prawdopodobieństwa. Może śnił, a może majaczył. Ostatnio znów zaczął miewać zawroty głowy. Nie przyznawał się Renacie, ale kilka razy omal nie upadł, gdy pion i poziom postanowiły zamienić się miejscami. Zupełnie tak jak wtedy, gdy odwiedziła ich policja. „Mam coś zgłową?” – to pytanie coraz częściej wciskało się w jego myśli wraz z wizjami pulsującej tkanki rosnącej w mózgu, uciskającej i pożerającej tę właściwą i zdrową. Coraz częściej zastanawiał się, jakie ma szanse zdobyć skierowanie na rezonans i ile takie badanie kosztuje, bo przecież nie był ubezpieczony. Nie, duma nie pozwoliła mu się zarejestrować w urzędzie pracy, nie pozwoliła uwypuklić porażki.

A teraz stał na polnej drodze, patrzył na dziewczynę, która mogła być wytworem jego zaburzonej świadomości, jakąś popieprzoną maniaczką, albo rzeczywiście kimś, komu zależało.

– Dlaczego? – zapytał.

– Co dlaczego?

– Dlaczego ci zależy?

– To moja praca. – Odchyliła się do tyłu, opierając na łokciach, i spojrzała na niego wyzywająco. – Ale nie to chciałeś usłyszeć, prawda?

Pokręcił głową.

– W porządku, Marcin, wyjaśnię ci wszystko, już bez żadnych gier. Tylko siądź, nie stój jak wyrzut sumienia... Albo idź! – Machnęła ręką, widząc, że się waha. – Idź i nie wracaj!

– Mów. – Tym razem nie usiadł obok niej, a naprzeciwko, na kępie trawy wyrastającej ponad piaszczystą koleinę.

Kamila rozluźniła napięte mięśnie i odgarnęła włosy. Przez chwilę jej twarz wyglądała delikatnie i dziewczęco, a potem znów stężała.

– Wargalski to trep i nie ogarnia roboty tak, jak trzeba. Kręci się po omacku i już widzę, że po prostu uwali tę sprawę. Przeciagnie, ile się da, zrobi

papierologię, żeby nikt się nie mógł przypierdolić, a potem zamknie z powodu niewykrycia sprawcy. Mówię poważnie, Marcin. To się może skończyć tak, że nikt nigdy się nie dowie, kto zastrzelił tę dziewczynę i dlaczego. Sprawca nie poniesie żadnych konsekwencji, a ty będziesz mógł tylko zapalać znicz i patrzeć w tę śliczną twarzączkę z nagrobka. Z czasem jej ojciec umrze, ludzie zapomną i tyle... – Mówiła rzeczowo, tłumiąc emocje. – Ja tego nie chcę. Nie chcę, żeby to była kolejna sprawa utracona przez czyjąś niekompetencję. Chcę zrobić wszystko, co się da, rozumiesz?

Nie czekała na odpowiedź.

– I oczywiście nie zamierzam ukrywać, że to jest dla mnie szansa, aby się wybić. Że jeśli dzięki mnie uda się wykryć sprawcę, to będę mogła liczyć na profity i przeniesienie tam, gdzie chcę, z dala od takich fiutów jak Wargalski. Nie ukrywam tego, Marcin, ani tego, że jeśli naprawdę mi się uda, to zrobię to tak, aby mu jeszcze dokopać, bo nie po to wstąpiłam do policji, żeby mi takie chamy mówiły, co mam robić.

– Brzmi dobrze. – Pokiwał głową. – Mogłaś od tego zacząć.

– To nie wszystko, Marcin. Jest jeszcze inna kwestia... Taka bardziej osobista. – Po raz pierwszy zauważył, że spuściła wzrok. – Wychowałam się w Opolu, ale moja mama pochodzi stąd, mieszkały z babcią w Sumiennie. – Kiwnęła głową, wskazując kierunek. – Mama wyjechała do szkoły do Opolu, poznała mojego ojca i już nie wróciła. To znaczy nie na stałe, bo przyjeżdżaliśmy do babci, póki żyła. Spędzałam tu prawie każde wakacje, od dziecka. Z babcią, bo dziadek zginął na wojnie. Jak jest ten cmentarz na Popielówce, gdzie Niemcy spalili ludzi żywcem, to wtedy też, w tamten dzień go zabili. Dziadka zabrali z kilkoma innymi mężczyznami. Był młody, dopiero co się z babcią pobrali. Wiedział, że babcia jest w ciąży, i nie chciał jej zostawiać. Zeskoczył z wozu, którym Niemcy wieźli ich na Popielówkę, i próbował uciec do lasu. Nie dobiegł.

Kamila przerwała na chwilę.

– Nigdy go nie poznałam. Nie zostało po nim nawet zdjęcie. – Poprawiła kosmyk włosów. – Zostało za to zdjęcie siostry babci. Były na nim obie, stały przy studni na podwórku i się obejmowały. Dwie młode dziewczyny. Bogusia, bo tak miała na imię, była starsza od mojej babci o kilka lat i zawsze się nią opiekowała. Pamiętam to zdjęcie bardzo dobrze, bo zawsze wisiało w honorowym miejscu na ścianie. Jak byłam mała, bardzo lubiłam na nią patrzeć, bo Bogusia miała taki śliczny uśmiech, była piękną dziewczyną. – Westchnęła. – Babcia mało mówiła o dziadku, myślę, że z czasem prawie go zapomniała. Ale Bogusi nigdy. O niej mogła opowiadać godzinami. O tym, jak chodziły pasać krowę, jak ganiały się po lesie i jak łapały kurczątka. Pod koniec życia babcia

miała demencję. Zdarzało jej się, że nie poznawała ani mnie, ani mojej mamy, ale Bogusię zawsze.

Potrząsnęła głową i spojrzała na Marcina oczami, które błyszczały od powstrzymywanych łez.

– Wiesz, Bogusia zginęła kilkanaście dni przed dziadkiem, w czterdziestym trzecim, w maju. Poszła po krowę i już nie wróciła. Babcia opowiadała, że znaleźli ją następnego dnia w lesie, na samym skraju. Leżała w płytkim zagłębieniu, przykryta gałęziami... Ktoś ukradł krowę, a Bogusię wykorzystał i zabił, strzelając dwa razy w plecy. Rozumiesz, Marcin?

Nie wiedział, co powiedzieć. Tylko wolno skinął głową.

– Patrzę na sprawę Julii Makowskiej, ale widzę Bogusię z tamtego zdjęcia i ciągle o tym myślę. Nie potrafię przestać... Wtedy była okupacja, straszne czasy, i nikt nawet nie próbował znaleźć mordercy, nie było szans na sprawiedliwość. Ale teraz, kurwa, są! Rozumiesz, prawda?

– Tak.

– Dlatego mi zależy, Marcin, dlatego chcę zrobić wszystko, żeby tego nie olać... Pomożesz?

Znów spojrzała na niego tym przenikliwym wzrokiem, w którym teraz dostrzegł determinację i pasję. Zrozumiał i uwierzył.

– Tak – powtórzył. – Pomogę ci, Kamila, na tyle, na ile będę mógł.

– Świetnie! – Odetchnęła głęboko. – Bo nie chciałabym, żebyś zmusił mnie do gróźb.

– Słucham?

– Żartowałam! – parsknęła i wytarła nos. – Nie lubię się rozklejać, a ta historia zawsze tak na mnie działa. Dobra... Zaraz ci wyjaśnię, co i jak... Za chwilę, tylko wcześniej musisz mi powiedzieć, co was naprawdę łączyło. To znaczy ciebie i Julię Makowską. Czy wy... No wiesz... Albo dobra, Marcin, zapytam wprost, OK?

– Pytaj.

– Czy Julia była z tobą w ciąży?

– Jezu, nie! – Poderwał się na nogi. – To znaczy nic o tym nie wiem...

Poczuł, jak krew przyspiesza mu w żyłach, jak szturmuje aorty i bolesną falą przebija się do mózgu, napędzając kołowrót strachu, klatkując wspomnienia o Julii. Obrazy, urywki słów i emocji, naznaczone nowym stemplem przyprawiającego o mdłości podejrzenia. Zacisnął powieki.

– Naprawdę była? – spytał przez zaciśnięte gardło.

– Przepraszam, uspokój się. – Kiwnęła głową, żeby usiadł. – Nie była w ciąży, na pewno nie, bo by to wyszło podczas autopsji.

– To czemu, do cholery, zapytałaś?

– Zaraz wyjaśnię, tylko muszę ci zadać jeszcze jedno pytanie... Z tych delikatnych, jeśli pozwolisz?

– Tak delikatnych jak to przed chwilą?

Pokiwała głową.

Marcin odetchnął głęboko.

– Dobrze, pytaj.

– Od kiedy sypialiście ze sobą?

Nie odpowiedział od razu. Nie dlatego, że nie pamiętał, lecz przeciwnie. Dlatego, że wspomnienia były wciąż żywe i bolesne. Potrzebował chwili, by powstrzymać je przed

wylaniem się z tego miejsca w głowie, w którym je zamknął.

– Nie sypialiśmy ze sobą – powiedział powoli. – Kochaliśmy się tylko raz. Jeden raz, kilka dni przed jej wyjazdem.

– To dobrze. – Skinęła głową. – To było naprawdę ważne. Naprawdę – podkreśliła.

– Nie rozumiem.

– Mam trop i musiałam się upewnić, że jesteś poza podejrzeniem, że nie miałeś motywu.

– Że nie miała ze mną dziecka? – Zmarszczył czoło.

– Że nie usuwała twojego dziecka.

Marcin spojrzał na policjantkę, jak gdyby widział ją pierwszy raz. Zupełnie jakby jeszcze przed chwilą jej tu nie było i nagle się pojawiła. Nie ma i nagle bum, jest!

– Nie patrz tak na mnie – poprosiła. – Nie jestem pewna, ale podejrzewam. Już wszystko tłumaczę, tylko najpierw, nie wiem... Policz do dziesięciu, przejdź się czy coś. Potrzebuję, żebyś się skupił, rozumiesz?

– Przejdę się – zdecydował. – I tak muszę za potrzebą... – Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiegokolwiek drzewa, które mogłoby go zasłonić, ale jedyne, co było do dyspozycji, to cienkie pnie młodnika i oddalone nieco krzaki. Uznał, że wystarczą. Zresztą i tak nie chciało mu się tak bardzo. Potrzebował po prostu chwili, żeby poukładać myśli, z dala od Kamili.

Wszedł między krzaki i spojrzał na zegarek, zdziwiony, że już tak długo siedzą w tym lasku. Stracił rachubę czasu, ale wciąż było go dość. Kilka godzin, zanim Renata skończy pracę. Miał nadzieję, że wystarczająco, aby to wszystko zrozumieć.

– Makowska pracowała w aptece. Złożyła wypowiedzenie za porozumieniem stron i wyjechała. To wszyscy wiedzą, prawda? – Zaczęła policjantka, gdy tylko wrócił. – Tyle że nawet gdyby nie wyjechała, i tak musiałyby odejść z pracy, wiesz czemu? Bo oszukiwała.

– Ukradła pieniądze? – zdziwił się.

– Niezupełnie. To wyszło przypadkiem, bo właścicielka apteki wcześniej niczego nie podejrzewała. Uważała Julię za uczciwą i pracowitą dziewczynę, i dlatego przeżyła szok, gdy zaczęła dokładnie sprawdzać. Wychodzi na to, że uczciwa i pracowita Julia sprzedawała na lewo jakieś leki.

– To niemożliwe!

– Tak dobrze ją znasz? Naprawdę, Marcin, dasz sobie rękę uciąć?

– No nie... – Zmieszał się. – Ale...

– Ale była miłą dziewczyną, taką, której nigdy byś o to nie podejrzewał, wiem. To nic złego – zapewniła go. – Każdy by tak pomyślał. Aptekarka, ty, nawet ja... Mimo to zrobiła lewiznę na lekach, nie raz ani nie dwa. Właścicielka sprawdziła na razie ostatnie osiem miesięcy i wychodzi na to, że cyklicznie coś zniknęło. Nie ma mowy o pomyłce, tylko o przemyślanym działaniu – zapewniła. – Julia była sprytna. Składała ustalone z szefową zamówienie, a potem dodatkowo zamawiała to, co miało iść na lewo. Na osobny papier. Przychodziły dwie faktury, z których jedna zniknęła zaraz po dostarczeniu, razem z towarem. Banalnie proste, zwłaszcza że to Julia przyjmowała dostawy. Ostatecznie wszystko niby grało. Dostawa się zgadzała i chociaż u dostawcy w systemie oczywiście figurowały te dodatkowe rzeczy, właścicielka apteki nie miała powodów, aby to sprawdzać. Jeszcze nie wiem, czy Julia opłacała to osobno, czy później wyrównywała, ale saldo konta też nie wzbudzało podejrzeń.

– Co sprzedawała?

– Nie wiem – przyznała Kamila. – Właścicielka apteki nie chciała powiedzieć konkretnie. Wykręcała się, że to nie ma znaczenia, że Julia nie żyje, a ona nie będzie tego rozgrzebywać. Cisnęłam, ale stwierdziła, że nie powie i już...

– Bez sensu, skoro sama przyznała, że coś takiego miało miejsce.

– Właśnie! I dlatego podejrzewam, że po prostu bała się kontroli. Może te leki szły na jakieś lewe recepty albo w ogóle bez nich. Nie wiem. Zakładam, że mogłoby to jej narobić niezłego smrodu i dlatego nie chce zdradzać szczegółów. Ale posłuchaj, jak się w ogóle zorientowała. – Kamila zmieniła pozycję na wygodniejszą. – Przez przypadek przyjechała w trakcie dostawy i zobaczyła, jak Julia coś chowa. Złapała ją na gorącym uczynku. Zrobiła awanturę i kazała jej wysypać na stół zawartość torebki. Lewe leki to nie wszystko, wiesz, co tam jeszcze było?

Pokręcił głową.

– Tabletki wczesnoporonne. Julia twierdziła, że przywiozła je z Kielc, z jakiejś organizacji wspierającej kobiety. To działo się w styczniu. Zaraz po nowym roku. Dlatego pytałam, kiedy wy... No wiesz...

– Wiem – wyszeptał, trąc bezwiednie czoło. – Tylko zupełnie nie rozumiem... Nic mi nie powiedziała.

Kamila dała mu czas.

– Czyli Julia mogła zajść z Terwiczem... – wymamrotał po dłuższej chwili. – Usunęła ciążę i pewnie dlatego się rozeszli... A ja mogłem być dla niej tylko... – Nie bardzo wiedział kim.

– Pocieszycielem – podpowiedziała. – A może nie, może naprawdę, no wiesz... Może po prostu trafiliście na siebie w złym momencie.

Marcin mimowolnie się uśmiechnął, słysząc, jak stara się podnieść go na duchu. Doceniał to, tym bardziej że przecież nie musiała myśleć o jego uczuciach. Spojrzał na nią z mieszaniną wdzięczności i wstydu.

– Dzięki – powiedział.

Chrząknęła, wyraźnie zakłopotana, co tylko dodało jej uroku.

– Ale z tą ciążą trafiłeś, to znaczy w tym sensie, że o tym samym pomyślałam, Marcin. – Skierowała rozmowę na właściwe tory. To też docenił.

– Mogła zginąć z powodu ciąży?

– Właśnie tak! – Kamila energicznie pokiwała głową. – Albo dlatego, że zaszła, albo dlatego, że usunęła. Nie wiem. Ale sam widzisz, że to dobry trop.

– Albo dlatego, że nie usunęła... – Zamyślił się. – Nie, przepraszam, mówiłaś, że nie była w ciąży.

– Autopsja jej nie wykazała, ale może... – Poderwała się na nogi i zaczęła chodzić w tę i z powrotem. – Może biegły dał ciała albo... albo nie była w ciąży, ale myślała, że jest! No nie patrz tak! – Machnęła ręką. – Może zrobiła test i pokazał fałszywie dodatni wynik, to się czasem zdarza.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, aby taki powód...

– Nie znasz ludzi, nie wiesz, do czego są zdolni. Taki powód niejednemu by wystarczył, nawet urojony. Ale to na razie tylko punkt zaczepienia, tylko ślad, którym muszę... musimy podążyć, bo do tego potrzebna jest twoja pomoc. Kucnęła przy Marcinie. – Dwa tropy, jeden to ciąża, a drugi ta lewizna z apteki. Stawiam, że nie sprzedawała tego sama, bo czegoś takiego nie udałooby się utrzymać w tajemnicy. Prędzej czy później całe Sennowo by wiedziało. Albo więc znalazła sobie pośrednika, albo... – wycelowała w niego palcem – i to uważam za bardziej prawdopodobne, wykonywała polecenia, pracowała dla jakiegoś dilerka. Nie wymyśliła tego sama, tylko została wciągnięta. Rozumiesz?

– Tak, ale...

– Ale nie wiadomo dla kogo, tak. – Nie pozwoliła mu skończyć. – O to chodzi, Marcin, żeby się tego dowiedzieć. Potwierdzić albo odrzucić. Może przy okazji znaleźć kolejny ślad, albo ten właściwy. Cokolwiek... W tym celu powinnam przetrzepać tego młodego Terwicza. Przycisnąć go tak, żeby puścił soki... Byli ze sobą kilka lat, więc to mało prawdopodobne, żeby nie wiedział. Zgadzasz się?

Pokiwał głową.

– I tu właśnie jest problem – przyznała. – Nie mam żadnych podstaw, by go przycisnąć. Z właścicielką apteki rozmawiałam bez Wargalskiego. Nie mam nic na piśmie, co było warunkiem, że w ogóle cokolwiek mi powiedziała. Jeśli spróbuję ją teraz rozpytać na papier, wszystkiego się wyprze, a Wargalski dostanie kurwicy, że mu robię lewiznę, i po prostu mnie udupi.

Odetchnęła głęboko i wycelowała palec w Marcina.

– Dlatego potrzebuję ciebie. Potrzebuję, żebyś się zbliżył do Terwicza, postawił mu wódkę, zabrał na ryby... Nie wiem, cokolwiek, co pozwoli go wybadać. Bo o to chodzi, Marcin, że muszę mieć kogoś, kto pociągnie typa za język, komu on się wygada o tej ciąży i lekach. Kogoś, kto nie będzie go krył. Kto mi to poda oficjalnie na notatkę, a w razie potrzeby zezna, że typ mówił to i tamto, rozumiesz?

– Nie ma mowy!

– Marcin, kurwa, to jedyna możliwość. Obiecuję, że spróbuję to tak ogarnąć, abyś nie musiał zeznawać, bo jeśli dasz mi punkt zaczepienia, to go oficjalnie zgarniemy i postaramy się, żeby sam się przyznał. Nie będzie potrzeba świadków. Zresztą, jeśli puści farbę, to potem możemy przycisnąć jego znajomych i któryś w końcu się wygada, ale ktoś musi zrobić ten pierwszy krok. Przede wszystkim potrzebujemy zyskać pewność, że naprawdę coś jest na rzeczy, bo inaczej będzie pozamiatane, rozumiesz?

– Rozumiem, ale nie mogę tego zrobić.

Pokręciła głową.

– Tylko ty możesz to zrobić. – Złapała i ścisnęła jego dłoń, jakby się bała, że wstanie i odejdzie. – On ma kilkunastu bliskich znajomych. Może wiedzą wszyscy, może tylko kilkoro, ale nikt nic nie powie, bo znają się od lat, odkąd przestali srać w pieluszkę. Dobrze wiesz, jak to działa. Ty jesteś nowy, ale swój, bo ożeniłeś się z Renatą.

– Kamila. – Uwolnił rękę z jej uścisku. – Nie mogę, bo jesteśmy skłóceni. Dałem mu w ryj, rozumiesz?

– To nawet lepiej! – Oczy jej błyszczały. – Pójdiesz do niego z wódką i się pogodzicie. Będzie okazja. Może nie za pierwszym razem – zreflektowała się. – Ale wiesz, o co chodzi. Wypijecie kilka razy, zaprzyjaźnisz się z nim i jakoś samo wyjdzie, jak to wśród facetów.

– Ja naprawdę...

– Kurwa, Marcin, to nie chodzi ani o mnie, ani o ciebie, tylko o nią! – Pokazała ręką w kierunku cmentarza, który majaczył w dali. – O Julię i o sprawiedliwość. Chyba są warte trochę poświęcenia, co?

– Jasne, że są – przyznał niechętnie. – Po prostu potrzebuję czasu, żeby to przetrwać... Dobrze, spróbuję, oczywiście, że spróbuję. – Pokiwał głową. – Nie obiecuję, że się uda, ale spróbuję.

– No wreszcie! – parsknęła. – Już się bałam, że wiedząc, jak mi zależy, będziesz negocjował w zamian dymanko albo loda.

– Żartujesz?

– A jak myślisz? – Mrugnęła i wstała. Otrzepała legginsy. – Zapisz sobie mój numer telefonu i dzwoń, gdy będziesz coś miał.

ROZDZIAŁ 10

CZERWIEC 2020
RENATA

Renata stała w drzwiach i patrzyła na świeżo położone panele, których kolor świetnie współgrał z gładkimi, pachnącymi farbą ścianami. Ekipa, którą wynajął Marcin, nie była tania, ale naprawdę wiedziała, co robi. Parter był niemal skończony. Niemal, ponieważ kuchnia musiała poczekać, aż stolarz wykona zabudowę. Miało to potrwać co najmniej miesiąc, więc na razie nie było sensu tam nic ruszać. Ekipa przeniosła się na piętro i zabrała za puste pokoje. Sypialnię i łazienkę zostawili na koniec.

Teoretycznie Renata z Marcinem mogli się już przenieść na dół, ale w łazience na parterze brakowało jeszcze kabiny i umywalki. Z powodu pandemii i zamkniętych granic wszystkie dostawy się opóźniały, więc Renata zaproponowała, żeby zostali na górze tak długo, jak się da. Marcin się zgodził, nie domyślając się zupełnie, że to nie brak prysznicza był głównym powodem.

Tak naprawdę Renata tylko na górze czuła się bezpiecznie. Parter domu, poza kuchnią, wciąż był dla niej przestrzenią pełną niepokoju. Nawet teraz, gdy wszystkie meble, obrazy, ubrania i to, co kryło się w zakamarkach szafek, zalegało w odrapanym stalowym kontenerze ustawionym na podwórku, gdy ściany pokryto gładzią i farbą w pastelowych, przyjemnych kolorach, gdy zniknęło linoleum, a stare parkiety przykryły eleganckie panele, Renata wciąż czuła się tu nieswojo.

Gdy zaczęli remont, miała nadzieję, że usuną z tego domu przeszłość, że go oczyszczą, ale to się nie udało. Trauma wciąż w nim były. Zamaskowane, lecz

obecne. Renata czuła je za każdym razem, gdy zamykała oczy, gdy wstrzymywała oddech. Dom nasiąkł nimi do fundamentów, pełzały pod warstwami świeżej farby i wyzierały z kątów. Poczucie winy, ból i strach przed karą. Złe wspomnienia. Wszystko, przed czym uciekła na Śląsk.

*

Tamtego dnia matka Renaty zrozumiała, że umrze. To musiało być wtedy, bo inaczej nigdy nie zdobyłaby się na tę rozmowę. Chyba pierwszą i ostatnią tak bardzo szczerą.

Tak bardzo niepotrzebną.

Matka leżała na łóżku, w pokoju na dole. Telewizor gadał bezsensownymi dialogami jakiegoś tasiemca. Obok łóżka, na taborecie, stała opróżniona szklanka i talerzyk z łuskami słonecznika. Trochę ich było też na pościeli, trochę na wyblakłej koszuli nocnej pod brodą starej kobiety. Renata pomyślała wtedy, że powinna je usunąć, ale nie zrobiła tego. Sięgnęła za to po szklankę, domyślając się, że po to została zawołana.

– Usiądź, dziecko! – Matka starała się ściszyć telewizor, ale słabe baterie utrudniały to zadanie, zmuszając ją do celowania i mocnego przyciskania guzików pilota. – Dobrze wiesz, że zawsze chciałam dla ciebie jak najlepiej. – Głos miała słaby. Od tygodni gasła w oczach. – Nawet kiedy musiałam być surowa, to dlatego, żebyś wiedziała, że nie wolno grzeszyć... Żebyś nigdy nie stała się złym człowiekiem. Bo Pan Bóg wszystko widzi i trzeba go błagać, aby się nie gniewał i wybaczał, moje dziecko... Córeczko... – Uniosła nieco dłoń, jakby chciała sięgnąć ku Renacie, ale opuściła ją szybko. Albo rozmyśliła się w trakcie, albo zdała sobie sprawę z tego, że dziewczyna siedzi za daleko.

Renata nie zauważyła tego gestu. Wbiła wzrok w podłogę i słuchała głosu matki. Głosu, ale nie słów, bo te zlewały się w jedną starczą litanie nieokazywanych uczuć, zapomnianych krzywd i wymówek, które miały wystarczyć za te wszystkie lata.

– Próbujesz się usprawiedliwić? – mogła zapytać, ale nie zapytała.

Renata nigdy tak naprawdę nie powiedziała matce, co myśli o tym, że nie broniła jej przed ojcem, że pozwalała, by bił i upokarzał, że dawała mu na to przyzwolenie i zmuszała Renatę do milczenia, nawet gdy on dotykał jej tak, jak nigdy nie powinien. Nie wygarnęła jej za traumy i cały ból, jaki w sobie nosiła. Nie zrobiła tego ani kiedy była dzieckiem, ani jako nastolatka.

Zawsze obiecywała sobie, że kiedyś to zrobi, że wyrzuci z siebie tę zgniliznę, choćby potem miał spłonąć świat. Wiele razy wyobrażała sobie tę chwilę: jak wykrzykuje wszystko prosto w twarz ojcu i matce, nie pozwalając, by jej

przerwali, dopóki nie skończy. Dopóki nie poczuje satysfakcji. Zawsze czekała na najlepszy moment. Ten, który nie nadszedł, ani gdy była dzieckiem, ani gdy była nastolatką. Nie nadszedł też, gdy stała się dorosła.

Owszem, tamtego dnia Renata mogła stanąć nad przygwożdżoną do łóżka staruszką, przerwać rzewny monolog i wrzeszczeć, póki starczyłoby jej tchu. Tylko po co?

Dobrze wiedziała, że nawet jeśli to zrobi, nikt jej nie odda straconego dzieciństwa, nikt nie odpłaci za krzywdy. Co gorsza, wiedziała, że nie poczułaby nawet satysfakcji. Ojciec nie żył, a matce nie zostało wiele czasu. Zbyt mało, aby mogła przemyśleć wyrządzone krzywdy i zacząć ich żałować. Nie, to już zupełnie nie miało sensu.

Powinna się na to zdobyć wcześniej, gdy oboje rodzice byli jeszcze w pełni sił. Na przykład gdy wyjeżdżała na studia albo gdy wychodziła za Marcina i zdecydowała, że przeprowadza się na stałe na Śląsk. Ale jak zwykle zmarnowała wszystkie dobre momenty, każdą okazję.

Przez większość życia myślała, że jest tchórzem, że nie potrafi zadbać o swoje ani o nic walczyć, ale nie miała racji. Dopiero gdy odcięła pępowinę, gdy zmieniła otoczenie, powoli zaczęło do niej docierać, że to nieprawda, że została po prostu stłamszona, wciśnięta w jakieś patologiczne życie, na które wcale nie zasłużyła. Potrzebowała jednak kilku lat, by to zrozumieć.

– Twój ojciec nie był złym człowiekiem, córeczko...

Renatę przeszedł dreszcz. Nie wierzyła w to, co słyszy.

– Nie był zły tylko... tylko chory.

– Nienawidził mnie – powiedziała przez zaciśnięte zęby. Nie mogła się przed tym powstrzymać. – Nienawidził i bił za wszystko. Nie tylko bił, do cholery, dobrze wiesz!

– Nie, nie. – Kobieta pokręciła głową, jak gdyby w ten sposób mogła zmienić przeszłość. – To nie tak, nie. Ty byłaś mała, nie rozumiałaś, nie mogłaś... Ojciec był chory, widział i słyszał różne rzeczy, bał się... To dlatego nie wchodził nigdy na górę, bo myślał, że tam na niego czekają, że chcą mu coś zrobić, a ty... Boże przenajświętszy! Jemu się wydawało, że jesteś z nimi w zмовie, że im donosisz... To nie on cię krzywdził, tylko choroba, córeczko, straszna choroba. Ja...

– Ty nic nie robiłaś, tylko go usprawiedliwiałaś, wtedy i teraz! – Renata nie potrafiła zapanować nad głosem. – Całe życie to robisz!

– Boże, Boże, Boże... Ja nigdy nie chciałam, żebyś... żeby to się działo. Modliłam się każdego dnia, żeby on wyzdrowiał. Nic więcej nie mogłam...

– Mogłaś kazać mu iść do lekarza!

– Dziecko...

Jej spazmatyczny oddech nie pozwolił, by dokończyła od razu. Dopiero po dłuższej chwili uspokoił się na tyle, że znów mogła wydusić z siebie słowa.

– To były takie czasy, że ludzie... gadaliby i nie dali żyć. Nam i tobie... Byłaś za mała, żeby to zrozumieć, a ja... ja nigdy bym cię na to nie skazała.

– Za to skazałaś mnie na to, żeby lał mnie, aż traciłam przytomność, żeby mnie dotykał...

– Zmienił się! Dobrze wiesz, że wtedy, tam w zakładzie, go badali i dali leki. Dobrze wiesz, że jak zaczął je brać, to już nigdy więcej... Już cię nie krzywdził, córeczko... Były dobre momenty, przecież pamiętasz. Może był surowy, ale już cię nie bił, jak byłaś starsza, bo on cię kochał, na swój sposób. Kochał, tylko był chory...

– Wiesz co?

W pierwszej chwili Renata chciała rzucić się na matkę za te słowa, ale nagle coś w niej pękło. Poczowała, że nawet teraz, gdy została sprowokowana, nie ma sensu, by próbowała wykrzyknąć ten gigantyczny żal. Nie ma słów, jakie mogłyby go wyrazić. Dlatego zamiast krzyknąć, powiedziała tylko:

– Daj spokój.

Matka zamarła z półotwartymi ustami. Ta nagła zmiana zupełnie ją dezorientowała. Nie mogła pojąć, co się stało.

– Pamiętasz, jak byłaś mała? – spytała po dłuższej chwili. – Jak chodziłyśmy razem do kościółka, a ty tak ślicznie się modliłaś? Boże! Jak wtedy wszyscy patrzyli z zazdrością, że mam taką córeczkę. Ja byłam wtedy...

Słowa płynęły, ale Renata ich już nie słuchała. Siedziała bez ruchu, zastanawiając się, jak by wyglądało jej życie, gdyby ojciec był zdrowy. Gdyby matka była inna. Tak dużo dobrego mogłoby się wtedy wydarzyć, tak wiele scenariuszy. Każdy z nich byłby lepszy od tego, jaki znała.

Ocknęła się z zadumy. Wychwyciła w monologu matki słowa, które były istotne, na które czekała.

– Powtórz, mamó – poprosiła.

– Dom... Ten dom, córeczko... – Zmęczenie dławiło jej głos. – Jutro zadzwoń do notariusza... Zapiszę wam dom jako darowiznę... Zapiszę tobie i Marcinowi, żebyście zrobili z nim, co chcecie.

– Nie, mamó – powiedziała spokojnie. – Nie zapisuj go nam.

Przysunęła się i ujęła pomarszczoną, zimną dłoń.

– Mamó, zapisz go tylko mnie.

Renata kazała wyrzucić wszystkie rzeczy po rodzicach. Trafiły do wielkiego kontenera stojącego na podwórku. Była przy tym, jak go przywieziono, i wskazała miejsce, gdzie powinien stanąć. Patrzyła, jak ciężarówka wtacza się tyłem, piszcząc irytująco, jak hydrauliczne ramie spycha stalowe, pordzewiałe cielsko z naczepy, by w akompaniamencie metalicznych zgrzytów i jęków zaryło w ziemi, a potem odwróciła się i odeszła.

Nie chciała przeglądać szafek i szuflad, przebierać rzeczy, nie chciała w ogóle na nie patrzeć. Chciała, by wszystkie bez wyjątku trafiły do kontenera. Meble, ubrania, zdjęcia. Wszystko.

– Jezu, Renata! – Marcin wydawał się tak zdezorientowany, że o mało nie parsknęła śmiechem, widząc jego minę. – Naprawdę nie zostawisz sobie żadnych pamiątek? Zupełnie nic?

– A ty masz pamiątki po swoich?

– Wiesz, że nie... – W pierwszej chwili się zmieszał, ale potem spojrzał na nią ze współczuciem. – Ale bardzo chciałbym mieć.

Renata westchnęła. Przez chwilę rozważała, czy mu wytłumaczyć, że dobrze to przemyślała i że wbrew temu, co mu się wydaje, wcale nie działa pod wpływem emocji. I że to nie żadne wyparcie czy co tam jeszcze mógłby chrzanić psycholog, a decyzja podjęta już dawno i na chłodno. Decyzja, której nie będzie żałować ani za tydzień, ani za dziesięć lat, i on nie musi próbować jej przed tym wymaginowanym żalem obronić. Tyle że gdyby to powiedziała, on chciałby wyjaśnień, a to nie wchodziło w grę.

Jej westchnienie i milczenie Marcin uznał za wahanie.

– Zostawimy ten kontener na kilka dni – zdecydował. – Jeśli zmienisz zdanie, będziesz mogła z niego wyciągnąć to, co chcesz. Do końca tygodnia, a potem go zabiorą. Dobrze?

– Dobrze. – Skinęła głową i odeszła.

Gdy robotnicy opróżniali meble, pakowali i wynosili kolejne skrzynie, których zawartość ładowała w kontenerze, Renata oglądała film. Dość głośno, by zagłuszyć dźwięk wpadającej do śmietnika przeszłości.

Od tamtej chwili minął niemal tydzień, a ona po raz pierwszy podeszła do okna i spojrzała na piętrzące się w pojemniku graty. Częściowo rozebrane meble, łóżko i fotele wynurzające się z góry innych, mniejszych lub większych przedmiotów. Stół i krzesła już się nie zmieściły. Stały obok.

Przez kilka dni udawała, że ich nie ma. W ogóle nie wychodziła za dom ani nie wyglądała na tę stronę, a teraz, gdy się w końcu odważyła, odetchnęła z ulgą. W głębi duszy obawiała się, że gdy to zrobi, gdy zobaczy te wszystkie rzeczy, coś w niej pęknie i będzie chciała zachować chociaż albumy ze zdjęciami, biżuterię

matki lub cokolwiek innego, co pozwoli o niej pamiętać. O niej i o ojcu, o nich obojgu.

Pamiętać o ludziach, którzy dali jej życie i sprawili, że stało się piekłem. Ale nic nie pękło i myślała tylko o tym, czy śmieciarze zdołają zabrać wszystko na jeden raz, czy będą musieli wrócić po te cholerne krzesła i stół.

Była wolna.

Prawie.

*

Kochała Marcina, była o tym przekonana. Gdy się poznali, gdy zamieszkali razem i wzięli ślub. Wtedy go kochała. Tyle że wtedy i teraz to dwa różne światy. Teraz sama nie wiedziała, co czuje.

Na pewno była mu wdzięczna, że rozbudził w niej uczucia, bo do momentu, gdy się poznali, Renata była przekonana, że nie potrafi kochać. Nikt jej tego nigdy nie nauczył.

Nie, zanim poznała Marcina, miłość była dla niej tylko pustym słowem, takim, jakie rzuca się na odczepnego albo którym tłumaczy się wszystko, co jest jej przeciwieństwem. „Mamusia chce dla ciebie jak najlepiej, bo cię kocha”, „Pan Bóg cię kocha i dlatego wystawia na próbę”, „Ojciec cię kocha i dlatego musisz mu wybaczyć”. Tym dla Renaty była miłość.

Ale Marcin to zmienił. Marcin sprawił, że poczuła się, jak gdyby wypełniały ją kolorowe motyle, jak gdyby świat mógł być piękny, a oni oboje żyć wiecznie. Jak gdyby nic, co złe, już się nie liczyło. Uwierzyła w to i była szczęśliwa. Przez dwa, może trzy lata. Później wszystko zaczęło powoli powzednieć i obracać się przeciwko niej.

Skończyli studia, wzięli ślub. Marcin znalazł pracę, potem kolejną, piął się po szczeblach kariery i coraz lepiej zarabiał. Renata na początku znalazła kiepską posadę na pół etatu, ale nie była zadowolona, chciała znaleźć coś lepszego i na stałe. To znajdowanie nie bardzo jej szło, a do tego Marcin powtarzał, że przecież nie musi pracować, że on bez problemu utrzyma ich oboje. To była prawda, tyle że żadne z nich nie przewidziało konsekwencji.

Renata rzuciła posadę i zdecydowała, że przez miesiąc odpocznie od szukania lepszej pracy. Potem zrobiły się z tego dwa miesiące, pół roku, rok. W tym czasie tych kilka koleżanek z uczelni, z którymi jeszcze utrzymywała kontakt, rozpiechło się po świecie, więc mogła już tylko siedzieć w mieszkaniu i czekać, aż Marcin wróci. Może po ośmiu, może po czternastu godzinach. W dobrym lub złym humorze. Na pewno zbyt zmęczony, aby mogli gdzieś wyjść lub rozmawiać o czymś innym niż o jego pracy.

Te rozmowy, słowa rzucone między kuchnią a pokojem, nudziły ją tak samo jak telewizja i internet, ale wyznaczały przynajmniej jakiś rytm, zmuszały do jakiejś aktywności i sygnalizowały zbliżający się wieczór, czas, gdy zamknie oczy i na kilka godzin ucieknie w niebyt. Były jak lekka zmarszczka na jeziorze marazmu, w którym bezwolnie się zanurzała. Powtarzała sobie, że jest dobrze, że ta monotonia i spokój są jej potrzebne po tym wszystkim, co przeszła w życiu. Że po zwichniętym dzieciństwie wreszcie znalazła bezpieczne schronienie i uczucia. Powtarzała to sobie jak pacierz przed snem i chciała w to wierzyć.

Ale tak się nie da.

Pewnego dnia obudziła się wcześniej i spojrzała na męża, jak gdyby był zupełnie obcym człowiekiem. Jego skóra, włosy i zapach wydały jej się odpychające. Była zszokowana i miała ochotę uciec, ale bała się, że go obudzi. Wtedy przez chwilę było jej tak źle w tym łóżku, domu, mieście i małżeństwie, że z trudem się powstrzymała, by nie wybuchnąć płaczem. Przez chwilę, bo zaraz to uczucie przeminęło i obok znów leżał jej Marcin, ten, w którym się zakochała.

Miałam zły sen, pomyślała.

To był styczeń, za oknem sypał śnieg i Renata poczuła, że powinna być wdzięczna, że nie musi wychodzić na dwór ani pracować, a przede wszystkim, że nie musi być na łasce rodziców. Marcin się o nią troszczy i spędza tyle godzin w firmie, aby było im obojgu jak najlepiej. Wtedy zrobiło jej się wstyd, delikatnie przysunęła się do męża, objęła go i przytuliła. Zamknęła oczy, wsłuchując się w bicie jego serca. Gdy je otworzyła, był już luty. Marzec, lipiec, grudzień...

Czas płynął i nawet nie zauważyła, kiedy wszystko się zmieniło, kiedy jej mąż stał się obcym człowiekiem, z którym dzieliła beznamiętne noce, wieczory i poranki. Przed którym z coraz mniejszym przekonaniem odgrywała swoją rolę, nie starając się już nawet udawać, że wszystko jest w porządku, że dobrze się z tym czuje.

Długo nie dopuszczała do siebie świadomości, że coś w niej umierało. Każdego dnia po kawałku, drobnymi okruchami sypało się pod nogi i zostawało w tyle, choć przecież donikąd nie szła. Tkwiła w miejscu. Zamknięta w dusznym mieszkaniu, w bagnie coraz częstszych pretensji i kłótni. Przygnieciona bezcelowością i brakiem perspektyw, coraz bardziej zdeorientowana i nieszczęśliwa.

Wytrzymała jeszcze jakiś czas, aż wreszcie któregoś dnia, gdy Marcin wyszedł do pracy, wyjęła z szafki leki nasenne, połknęła wszystkie i przykryła się kołdrą. Nie chciała się już oszukiwać.

Renata przeszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Sprawdziła godzinę na telefonie i wzięła taboret. Marcin był na jednym z tych swoich marszów, miała więc czas, aby się upewnić, czy nie grzebał w szafce i czy dwie małe buteleczki są wciąż na miejscu. Jedna pusta, a druga opróżniona w połowie.

Tak, chciała się zabić. Wtedy, bo teraz już przecież nie. Ale tam, na Śląsku, kilka miesięcy wcześniej, wzięła wszystkie leki, jakie zostały w opakowaniu, i usnęła, wierząc, że już się nie obudzi, że tak będzie lepiej.

Nie miała racji.

Może uratowało ją to, że pastylek było za mało, a może to, że większość z nich zwymiotowała przez sen.

Gdy obudziła się późnym popołudniem, wciąż była sama w mieszkaniu. Marcin jeszcze nie wrócił z pracy, a nawet nie dzwonił. Uznała, że dobrze się złożyło.

Działała jak w transie. Sprzątnęła wymiociny, otworzyła okno, żeby przewietrzyć, zdjęła poszewki i nastawiła pranie. Potem umyła twarz, zacierając ostatnie ślady swojej klęski, i spojrzała w lustro zawieszzone nad umywalką. Patrzyła na nieszczęśliwą Renatę, która była tak żałosna, że nawet nie dała rady się zabić. Na jej rozczochrane włosy, podkrążone oczy i krople wody spływające po napuchniętych policzkach. Uznała, że tamta Renata jest obrzydliwa, a mimo to czuła satysfakcję, bo wiedziała, że nadszedł moment pożegnania.

Uśmiechnęła się, patrząc, jak ta żałosna istota z drugiej strony lustra nieporadnie powieliła ten grymas, a w jej oczach błyszczy strach. Obie dobrze już rozumiały, że widzą się po raz ostatni, że za kilka chwil ta przegrana wersja jej samej zniknie na zawsze. Gdy tylko się odwróci, gdy wyjdzie i zgasi światło. Zamknie za sobą drzwi.

Tamtego dnia Marcin wrócił z pracy późno. Nie zauważył, że coś się zmieniło.

*

Marcin nie zauważył zmiany ani tamtego dnia, ani przez kolejne tygodnie. Był zbyt skupiony na swojej karierze, obowiązkach i awansach. Renacie to wcale nie przeszkadzało, a nawet było na rękę, bo dzięki temu miała czas, aby wszystko przemyśleć, żeby sobie poukładać w głowie.

To było ważne, bo przez wszystkie lata, jakie miała za sobą, to inni decydowali o tym, co robi i czego pragnie. Nawet jeśli nie bezpośrednio, to przecież całe jej wychowanie, cały bagaż, który wyniosła z domu, odbijały się piętnem na każdym jej wyborze i czasami miała wrażenie, że strach przed wyrzutami sumienia, przed niezadowoleniem, jakie może wywołać, jest po tysiackroć silniejszy od jej własnych, skrytych głęboko pragnień. Renata z trudem wyciągała je teraz na

powierzchnię, zdziwiona, że są niby oczywiste, a zarazem dalekie od tego, co ją otaczało.

Ale to należało już do przeszłości. Nie było istotne. Liczyła się tylko przyszłość, którą miała przed sobą, i choć nie wiedziała, co ona przyniesie, jednego była pewna. Musi wkroczyć w nią sama.

Sama, bo uczucie, którym darzyła Marcina, było martwe od wielu miesięcy. Dlatego musiała go zostawić, odejść i ułożyć sobie życie na nowo. Musiała to zrobić nawet mimo świadomości, że gdy się rozstaną, gdy od niego odejdzie, nie będzie miała zupełnie nic. To jednak się dla niej nie liczyło. Po prostu czuła, że musi wyrwać się z tej śląskiej pułapki bez względu na wszystko.

Kilka razy przeszło jej przez myśl, że mogłaby poczekać, aż Marcin pójdzie do pracy, ubrać się, zostawić na stole klucze i telefon, a potem po prostu wyjść, wyjechać, zniknąć na zawsze. Ale Renata nie chciała odchodzić bez słowa, nie chciała kończyć małżeństwa w ten sposób.

Ostateczną decyzję podjęła we wtorek, pamiętała to dobrze, bo po raz pierwszy od dawna poczuła się pogodzona z sobą i uznała, że od tej chwili wtorek będzie jej szczęśliwym dniem. Zdecydowała, że porozmawia z Marcinem w nadchodzący weekend, krótko i zwięźle, aby obeszło się bez dramatów.

Była gotowa to zrobić, ale nie zdążyła. W środę odebrała polecony list, a dzień później zadzwoniła matka z informacją, że ojciec jest w szpitalu.

ROZDZIAŁ 11

CZERWIEC 2020
RENATA

Renata miała otwarte oczy. Leżała na boku i patrzyła na pogrążonego we śnie męża. Na jego profil, na czoło, nos i półotwarte usta, które podświetlone widmowym blaskiem księżyca wydawały się nienaturalne, jak gdyby ulepione z wosku. Nigdy nie rozumiała, jak on może spać w ten sposób, leżąc płasko na plecach, bo sama nie potrafiła zasnąć w takiej pozycji. Próbowwała, ale nigdy jej się nie udało.

Renata miała tylko jedną ulubioną pozycję, w której sen przychodził szybko. Na prawym boku, z podciągniętymi nogami, z jedną dłonią trzymającą kołdrę tuż przy twarzy, a drugą wciśniętą pod poduszkę. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał wbiec do sypialni, by bić ją pasem, żeby nie mógł jednym szarpnięciem zabrać jej ochrony. Czasem myślała, że to głupie, że przecież nikt tego już nie zrobi, i próbowała nauczyć się zasypiać inaczej. Na drugim boku, w innej pozycji, z nogami tak albo inaczej i czasem nawet się udawało. Częściej jednak męczyła się, zapadając co najwyżej w półsen, w czujną drzemkę, do chwili gdy nie skapitulowała i nie ułożyła się jak zwykle. Wtedy sen przychodził szybko.

Ale i tak miała powody do satysfakcji, bo choć wcześniej zasypiała i budziła się tak samo, od kilku lat poranki witała w różnych pozycjach, a to znaczyło, że w nocy zmienia ułożenie ciała, że powoli leczy się z lęków.

Leżała na boku i patrzyła na Marcina, zastanawiając się, co do niego czuje. Od nieudanej próby samobójczej była pewna, że go nie kocha, ale czasami...

Czasami coś w niej rozpałało się jakąś smętną iskrą wygasłego żaru, taką, która w sprzyjających okolicznościach mogłaby rozniecić mały ogieniek.

Może mogłaby, a może nie. Renata wołała nie sprawdzać.

Wystarczyło jej, że odkąd się tu sprowadzili, już dwa czy trzy razy miała słabszy okres. Taki, kiedy cieszyła się, że Marcin jest obok. Że razem jedzą śniadanie, oglądają filmy i uprawiają seks. Taki, kiedy było jej z nim dobrze, a przynajmniej lepiej niż bez niego. Ale potem zawsze miała do siebie żal, że nie jest konsekwentna, że okazuje słabość. Ten żal czasem przeradzał się w złość. Była zła, że nie ocknęła się dużo wcześniej, bo po tylu latach razem to nie było łatwe, nie było prostym „kocham” albo „nie kocham”, „lubię” lub „nienawidzę”. To było wiele „tak” i wiele „nie” – odpowiedzi na pytania, których nawet nie potrafiła właściwie sformułować, ale które kotłowały się w jej głowie, sprawiając, że się wahała, że czuła się źle.

To ją martwiło, bo dobrze wiedziała, że powoli zbliża się czas, gdy będzie musiała zrobić coś, od czego już nie będzie odwrotu.

*

Wtedy, zanim przyszedł polecony i zadzwoniła matka z informacją o ojcu, Renata nie chciała od Marcina nic poza tym, by nie utrudniał jej odejścia. Owszem, zdawała sobie sprawę, że zostanie bez pieniędzy, ale liczyła, że wszystko jakoś się ułoży. Planowała na jakiś czas wrócić do rodzinnego domu. Ta perspektywa jej nie cieszyła, ale uważała, że ma już w sobie dość siły, by stawić jej czoła.

W Sennowie miała znajomych, a w dodatku blisko były Kielce i dwa inne miasta, więc liczyła, że tu czy tam szybko znajdzie pracę i coś wynajmie, że znów zdoła uciec od matki i ojca. To było realne.

Gdy jechali z Marcinem do ojca do szpitala, planowała, że z nim porozmawia, ale tydzień, dwa później, żeby nie komplikować dodatkowo sytuacji. Potem, gdy okazało się, że matka już nie domaga i trzeba pomagać w domu, nie bardzo miała do tego głowę, ale wciąż chciała, naprawdę chciała to zrobić. Chciała, ale nie zrobiła.

To nie było takie proste, bo przecież Renata nie była z kamienia i choć nagle odkryła w sobie uśpioną siłę, to w zderzeniu z problemami, z koniecznością ciągłych dojazdów i opiekowania się rodzicami, potrzebowała wsparcia. Tym bardziej że każda chwila spędzona z nimi oznaczała dla niej walkę pomiędzy wszystkimi zaszłościąmi a zwykłym ludzkim odruchem niesienia pomocy. Walkę nie zawsze wygraną.

Poza tym było jeszcze coś. Był ten cholerny polecony list, który z czasem coraz mocniej wciskał się w jej myśli, nie dawał spokoju. Powinna oddać go Marcinowi od razu, ale było jej głupio, bo nie wiedziałyby, jak się wytłumaczyć, co powiedzieć, gdyby zapytał, czemu go otworzyła. Dlatego uznała, że lepiej będzie listu nie oddawać. Nie mówić, że w ogóle przyszedł. To zresztą nie było trudne, bo Marcin wcale nie spodziewał się tej przesyłki ani na nią nie czekał.

Nosiła list kilka dni, a potem spaliła. Białą firmową kopertę i przysłane w niej pismo, które kazało Renacie inaczej spojrzeć na związek z Marcinem i na to, co byli sobie winni.

*

Gdy Renata wróciła z pracy, furgonetka ekipy remontowej stała na podwórku, ale bramę blokował inny samochód, uniemożliwiając wjazd i zmuszając ją, by zaparkowała przy ogrodzeniu. Wysiadła poirytowana i dopiero wtedy zauważyła, że dwóch mężczyzn kręci się po dachu, zupełnie jak gdyby czegoś szukali.

Marcina znalazła na piętrze, przy schodach na strych.

– Wezwałem fachowców, żeby obejrzeni i pomierzyli dach – powiedział na jej widok. – Zrobią wycenę i zobaczymy, czy budżet to udźwignie.

– Przecież mieliśmy to odłożyć na przyszły rok – przypomniała. – To za duży wydatek.

– Pomyślałem, że może się uda od razu, żeby nie robić znowu zamieszania. Obiad gotowy, idziemy?

Od jakiegoś czasu starał się, by miała co zjeść po pracy, by nie musiała o tym myśleć. Różnie mu szło, czasem tak sobie, a czasem gorzej. Nie chciała go jednak zniechęcać, więc nie krytykowała.

– W razie czego sprzedamy mieszkanie na Śląsku – powiedział, zdejmując pokrywkę z garnka. – Ceny wszystkiego idą w górę i raczej taniej nie będzie. Rozmawiałem z tymi, co robią pokoje, i mówią, że lepiej jak najszybciej, bo rynek zwariował. Nikt nie wie, czego się spodziewać w przyszłym roku.

– Może wszystko wróci do normy?

– Raczej nie bardzo, bo z tym wirusem to chyba jednak poważna sprawa – przyznał niechętnie. – Jeśli to prawda, co mówią z tymi zgonami i w ogóle, bo może to spisek. Sam już nie wiem, jak jest.

– Marcin...

– Ale tak czy inaczej budowlanka z ceny nie zejdzie, a przynajmniej nie tak bardzo i nie od razu. Podobno stare ceny nie wracają, a teraz rosą i będą rosnąć, dopóki to wszystko się nie uspokoi. – Postawił przed nią talerz i położył sztućce. – Nie wiadomo kiedy, więc lepiej załatwić to szybko.

– Marcin – powtórzyła. – Nie chcę, żebyś sprzedawał tamto mieszkanie. Umówiliśmy się przecież, że pójdzie na wynajem. Nie zmieniaj tego.

– Zobaczymy w ogóle, jak wycenią, i wtedy pomyślimy. – Nałożył jej makaron. – Tyle wystarczy? Sos wyszedł mi trochę rzadki, ale chyba dobry.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na butelkę wódki, której rano na pewno nie było, a teraz stała w pobliżu suszarki.

– Co to? – zapytała.

Podążył za jej wzrokiem i wzruszył ramionami.

– Flaszka. Jak zjemy, to zaniosę ją Terwiczowi w ramach przeprosin. Głupio to wszystko wyszło.

– Marcin, to nie jest dobry pomysł.

Powiedziała to spokojnie, ale tak naprawdę miała ochotę zakląć. Od kilku dni obserwowała Marcina i widziała, że bywa nieobecny, że coś go męczy. Założyła, że chodzi o tę dziewczynę, z którą widziano go na cmentarzu. Myślała, że dręczą go wyrzuty sumienia. Nie obraziłaby się, gdyby tak było, choć nie chciała, aby Marcin się do tego przyznał. Nie było jej to na rękę. Wolała, by trzymał tę schadzki w tajemnicy, żeby nie musieli o tym rozmawiać i sobie „wybaczać”. Renaty nie interesowało, kim była tamta dziewczyna, miała tylko nadzieję, że znajoma, która ich wtedy widziała, zapamięta datę i czas. Tak na wszelki wypadek.

Pomysł na godzenie się z Terwiczem zupełnie ją zaskoczył. To nie było w stylu Marcina, nie pasowało do jego charakteru, na ile go знаła. Wydawało jej się, że Marcin jest przewidywalny, że będzie się zachowywał i robił to, czego się po nim spodziewała, i dlatego wszystko uda się tak, jak powinno. Teraz jednak przestraszyła się, że może nie mieć racji.

– Jesteśmy sąsiadami. Wy się znacie od lat, więc nie chcę, żeby przeze mnie były jakieś kwasy – wyjaśnił. Wybełtał makaron w sosie i podniósł do ust. – Załatwimy to jak faceci i będzie po sprawie.

Kalkulowała przez chwilę, a potem skinęła głową. Ta rozmowa była zakończona.

Marcin zapytał, jak było w pracy, więc opowiedziała mu cokolwiek, co i tak nikogo nie interesowało. Potem pozwoliła, by mówił o postępach w remoncie. W pewnym momencie przeprosiła i poszła do toalety. Po drodze zabrała z torebki telefon. Nie kryła się z tym, że go bierze, bo oboje często to robili, żeby się nie nudzić na sedesie. Zwykła rzecz.

Zamknęła za sobą drzwi i napisała wiadomość do Rafała. Miała nadzieję, że zdąży ją przeczytać. Posiedziała chwilę, zanim spuściła wodę. Umyła ręce i wróciła.

Gdy zjedli, odstawiła naczynia do zmywarki i nastawiła wodę. Zapytała Marcina, czy napije się z nią kawy, ale odmówił. Stwierdził, że chce to już mieć z głowy. Wszedł razem z facetami od dachu. Ci pracujący na piętrze jeszcze coś kończyli.

Renata miała ochotę na kąpiel, ale nie zamierzała wchodzić do wanny, gdy w domu byli obcy mężczyźni. Dlatego usiadła przy stole w kuchni i wolno mieszając kawę, próbowała zgadnąć, czy da się jeszcze bardziej skomplikować sytuację.

*

Na początku te powroty w rodzinne strony całkowicie Renatę rozbiły. Choroba i niedołężność, zrzedliwa starość i wypierane wspomnienia zamieszały w jej głowie, grożąc nawrotem depresji. Wkrótce jednak poczuła, że zaczyna panować nad emocjami, że mimo ciężaru, jaki spadł na jej barki, każdy dzień spędzony z dala od Śląska jest przyjemny jak haust świeżego powietrza.

Nie wiedziała, czy bardziej pomogło jej odnowienie starych znajomości, czy odległość, jaka dzieliła ją od Marcina, ale czuła się coraz lepiej. Im mocniej odcinała się od ich śląskiego więzienia, tym silniej zdawała sobie sprawę, że nie powinna rezygnować z tego, co jej się należało. Z tego, co Marcin był jej winny.

– Zwariowałaś, dziewczyno? Facet kazał ci siedzieć w domu, nie mieć życia, i ty masz za to płacić, masz zostać z niczym? – zapytała kiedyś Julia, gdy wyszły na taras domu Terwiczów, by nocne powietrze trochę je otrzeźwiło.

Zza szklanych drzwi wylewała się muzyka, ktoś się śmiał, ktoś inny próbował śpiewać. Renata przez cały wieczór się oszczędzała, była podpiita, ale nie pijana. Może dlatego słowa Majuli wcisnęły się w jej głowę z taką siłą.

Jeszcze przed chwilą Renata żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat, że nie utrzymała języka za zębami i zaczęła się żalić. Zrozumiała jednak, że nie ma czego żałować, że ktoś musiał jej w końcu przemówić do rozsądku, mówiąc to, co przecież tak naprawdę sama dobrze wiedziała, tylko nie chciała do siebie dopuścić.

– Masz rację! – Zacisnęła dłonie na chłodnej barierce. – Coś mi się należy za te lata.

– Chłopy nas zawsze wyruchają, tacy są, mała. – Julia odchyliła głowę i spojrzała w gwiazdy. W przeciwieństwie do Renaty ledwo trzymała się na nogach. – Dlatego zawsze ciśnij ich jak cytrynę. Ciśnij, ile możesz... z życia... I z chłopa!

Pijany Rafał otworzył zamasyście drzwi i rzucił się na Majulę, złapał ją w pól i poderwał do góry, aż zapiszczała.

– Tu się schowałaś! – Zatoczył się, ale zdołał postawić ją, zanim oboje upadli.
– Chcę cię teraz...

– No to już! – Roześmiała się i chciała wepchnąć go do domu, ale chwycił ją za rękę, więc do środka wtoczyli się oboje i przewrócili ze śmiechem. Majula pozbiierała się pierwsza i nim dała się pociągnąć w głąb imprezy, odwróciła się do Renaty i powtórzyła:

– Jak cytrynę, mała!

Ta myśl kołatała w głowie Renaty przez kilka kolejnych dni. Nie była taka jak Julia, nie chciała „wyciskać Marcina jak cytryny”. Chciała jednak mieć coś na rozpoczęcie nowego życia. Środki, o które nie musiałyby się martwić, gdyby tylko miała je z czego odłożyć, gdyby nie dała się Marcinowi namówić na siedzenie w domu. Zdawała sobie sprawę, że to, o czym myśli, jest w pewien sposób niemoralne, ale uznała, że na pewno bardziej niemoralne byłoby, gdyby miała zostać na lodzie. Tym bardziej że nie chciała dużo.

On miał pracę, karierę i dobre zarobki, a ona musiała wszystko zaczynać od początku, od cholernego zera. Dlatego uznała, że będzie sprawiedliwie, jeśli Marcin ze swoich oszczędności wyremontuje dom jej rodziców. Nie dlatego, że chciałaby w nim mieszkać, bo to w ogóle nie wchodziło w grę, ale dlatego, żeby łatwiej było go sprzedać. I za większe pieniądze. Najlepiej takie, które pozwoliłyby kupić mieszkanie albo mały domek. W innym miejscu, z dala od przeszłości.

– Będziesz musiała mi pomóc – powiedziała Renata, gdy pojechały z Julią do Kielc na zakupy i usiadły przy kawiarnianym stoliku w galerii. Miały za sobą już kilka sklepów, a kolejne planowały odwiedzić. – Z Marcinem i tym... No wiesz...

– Jasne – zgodziła się Majula, wsypując do filiżanki drugą torebkę cukru. – Co tylko chcesz, mała.

Ta „mała” drażniła Renatę od początku, od chwili, gdy zmierzono je w szkole i okazało się, że Julia jest o centymetr wyższa. Kiedy wyszły z pokoju higienistki i Julia krzyknęła na cały korytarz: „Renia jest mała”, popełniła błąd. Pewnie gdyby nie dała po sobie poznać, że ją to irytuje, gdyby to zignorowała, to po kilku godzinach lub dniach nie byłoby tematu, ale Renata się zezłościła. I zaczęła się klócić, że to nieprawda. Julia się śmiała i powtarzała tę „małą” w kółko, jakby ją szatan zapętlili. Jakby wypalił to słowo na czole Renaty rozżarzone żelazem, naznaczył na wieczność.

– Bo myślałam o tym, co mi mówiłaś. Masz rację, że coś mi się od niego należy... – Renata ściszyła głos, choć i tak raczej nikt nie mógłby ich usłyszeć. Stolik obok był pusty, a od dalszych oddzielone były muzyką i gwarem. – Tylko

muszę zrobić to tak, żeby wyłożył kasę i nie chciał jej z powrotem po rozwodzie, żeby mnie nie ciągał po sądach. Wiesz, o co chodzi?

– Mnie się pytasz? – Roześmiała się. – Mała, zrób tak, żeby była jego wina, i po kłopotcie. Nie będzie chciał się spowiadać. Wiesz, męska duma i tak dalej.

Renata skinęła głową.

– Dlatego będę potrzebowała twojej pomocy.

Tę rozmowę odbyły kilka tygodni przed śmiercią matki, zanim Renata zdołała jakimś cudem przekonać Marcina, by rzucił wszystko i tu przyjechał. Do dziury zagubionej w lesie pod Sennowem. Sama nie wierzyła, że to się uda, że jest jeszcze możliwe. Domyślała się, że on tak samo jak ona zastanawia się nad rozstaniem i że to tylko kwestia czasu, gdy stanie się ono faktem. To była ostatnia chwila, ostatni dzwonek, aby go od tego odwieść, aby jeszcze na jakiś czas uwierzył, że mają szansę. Dlatego postawiła wszystko na jedną kartę.

Nie, wcale go wtedy nie okłamała. Naprawdę było jej przykro i czuła się rozbita. Naprawdę potrzebowała ramienia, na którym będzie się mogła wypłakać. Nie tłumila tego w rozmowie, po prostu pozwoliła, by jej uczucia zagrały na jego uczuciach, a potem poprosiła Rafała, żeby ją podwiózł na Śląsk, gdzie mogła wcielić się w taką Renatę, jakiej Marcin pragnął. W niewinną, pogrążoną w żalu żonę i czułą kochankę.

Na początku było jej trudno, ale wkrótce weszła w rolę, nie musiała nawet przesadnie udawać.

*

W swoją rolę weszła też Julia i Renata musiała przyznać, że dobrze jej poszło. Nawet aż za dobrze, ale tego zaczęła się domyślać dopiero na końcu, gdy sprawy już się popieprzyły.

Na początku wszystko wydawało się proste. Uzgodnili plan we trójkę, w domu Rafała. On, Julia i Renata. Oczywiście to Renata wszystko wymyśliła, a tych dwoje miało tylko pomagać w imię przyjaźni i jakiejś drobnej gratyfikacji po sprzedaży domu. Na wszelki wypadek Renata wyraźnie zaznaczyła, że naprawdę będzie drobna. Owszem, znali się od lat, przyjaźnili, ale wolała, żeby nie było później niedomówień.

To był idealny moment, bo Rafał z Julią mieli się rozstać. Od jakiegoś czasu układało im się coraz gorzej i zdecydowali, że każde pójdzie swoją drogą. Nie zerwali jednak oficjalnie, więc mogli jeszcze trochę poudawać. To było ważne, bo nadawało całej historii odpowiedniej pikanterii i Marcin mógł się poczuć jak zdobywca. Renata wiedziała, że w ten sposób łatwiej ulegnie.

Zgodnie z planem mieli się z Julią poznać na imprezie, a potem ona odwiedziłaby go na Śląsku, uwiodła i dostarczyła później dowody zdrady, które Renata mogłaby wykorzystać jako argument przy rozwodzie. Uznała, że w ten sposób załatwią sprawę szybko i bez zbędnych komplikacji, bo wątpiła, aby Marcin chciał słuchać publicznie, przed sądem, historii o załamanej po śmierci rodziców żonie, której mąż sypia z jej najlepszą przyjaciółką, narzeczoną sąsiada. Renata liczyła na to, że sama przez dwa, trzy miesiące przypilnuje remontu, a on ze względu na pracę zostanie na Śląsku i będzie tylko przyjeżdżał w weekendy. Oczywiście o ile nie będzie wolał w tym czasie gzić się z Majulą. Potem się rozejdą i tyle. Nie przewidziała, że Marcin rzuci dla niej pracę i od razu się tu przeprowadzi.

To trochę namieszało w planie i w głowie Renaty, ale nie zamierzała rezygnować. Znała stan konta Marcina i po konsultacji z Rafałem doszła do wniosku, że zostanie mu dość pieniędzy, aby mógł spokojnie szukać nowej pracy. Zresztą Marcin był na tyle dobry, że powinni przyjąć go z powrotem w starej, w dodatku z otwartymi ramionami. Tak więc bez względu na wszystko była pewna, że on spadnie na przysłowiowe cztery łapy, a ona nie miała powodu, by dręczyć się wyrzutami sumienia.

Wszystko szło dobrze do momentu, gdy Renata zauważyła zmiany w zachowaniu Julii i zaczęła podejrzewać, że przyjaciółka naprawdę zaczęła coś do Marcina czuć i zaangażowała się na serio. Przez kilka dni obserwowała ją uważniej, żeby się upewnić, a później poszła do Rafała.

Oboje zdecydowali wtedy, że muszą z Majulą poważnie porozmawiać.

ROZDZIAŁ 12

SIERPIEŃ 2020
MARCIN

Marcin czuł satysfakcję. Miał do tego prawo. Nie tylko udało mu się zakończyć konflikt z Rafałem bez zbędnych komplikacji, ale odnosił wrażenie, że coraz lepiej się dogadują. Terwicz powoli zaczynał czuć się w jego obecności swobodnie, może nawet mu ufać. Problemem było tylko to, że pili coraz częściej. Czasami dwa, trzy razy w tygodniu, co dla Marcina było męczarnią, bo nie tylko nie lubił alkoholu w takich ilościach, ale przede wszystkim nie znosił Terwicza. Wiedział jednak, że musi się poświęcić, że to jedyne, co może zrobić dla Julii.

Julii i Kamili, bo coraz częściej myślał o policjantce. Czasem nawet o niej śnił. Bronił się przed tym jak mógł, ale działało się samo, mimowolnie.

Renata miała w tym swój udział. Jej oschłość i niezadowolenie, które okazywała za każdym razem, gdy wracał od Terwicza pijany albo tylko podpity, i ciągłe pretensje o byle co znów wpychały go w emocjonalny dołek. Kilukrotnie był bliski, by powiedzieć Renacie, dlaczego spotyka się z Rafałem, ale ostatecznie rezygnował. Bał się, że ona mu nie uwierzy, i co gorsza powie o tym, a wtedy będzie po wszystkim. Dlatego zaciskał zęby i bronił się „męskimi sprawami”, tłumaczył, że niby znaleźli wspólny język, że się kumplują i Renata powinna się z tego cieszyć, bo to lepsze niż lanie się po pyskach. Ale ona się nie cieszyła.

W ogóle miał wrażenie, że między nim a Renatą wszystko już na dobre się sypie. Rankami znów udawał, że śpi, gdy ona wstawała i szykowała się do pracy, a potem, gdy już wyszła, potrafił leżeć i gapić się w sufit, dopóki pełny pęcherz

nie wyciągnął go z łóżka. Gdy Renata wracała z pracy, starał się okazywać jej jakieś uczucia, ale przyjmowała to biernie. Coraz wyraźniej dostrzegał, że dzieje się z nią coś dziwnego, że może przez tę pracę w urzędzie albo ciągłe straszenie covidem, a może z powodu śmierci rodziców staje się jakąś... „zimną suką”. Trudno mu było się z tym pogodzić, ale właśnie to określenie coraz częściej wciskało się w jego myśli.

W ten sposób myślał już w przeszłości o kilku kobietach, z którymi miał do czynienia zawodowo, i cieszył się, że nie musi mieć prywatnie. Zawsze cenił to, że Renata była inna, w oczach Marcina o wiele lepsza, aż nagle uświadomił sobie, że był w błędzie. Zupełnie przeoczył, kiedy zaczęła się zmieniać, naiwnie to zignorował i dlatego przeżył szok, gdy pokazała się z takiej strony.

To było wtedy, gdy pokłócili się o dach.

Rozmawiali o tym dachu kilka razy. Marcin przekonywał Renatę, że rachunki mu się zepną, że wystarczy pieniędzy, a poszycie trzeba wymienić, ale Renata nie chciała. Była też głucha na argumenty o rosnących cenach i problemach z dostępnością materiałów. Cały czas powtarzała, że nie chce nowego dachu, nie chce, aby Marcin wydał wszystkie swoje oszczędności. Powtarzała, że może zmienią go za rok czy dwa, jak on znajdzie pracę i wspólnie coś odłożą. Marcina irytował ten bezsensowny upór, bo wolał to mieć już z głowy.

W jakimś sensie chyba chciał w ten sposób pokazać Renacie, że mu zależy. Liczył na to, że ona doceni jego starania i znów zacznie być taka jak kiedyś. Jak te dwa miesiące wcześniej, gdy przez krótki czas czuł się, jak gdyby znów się w sobie zakochali. Mimo wszystko nie był jeszcze gotowy, aby ostatecznie przyznać się przed samym sobą, że to może już nie mieć sensu. Niby czuł to gdzieś w środku, ale równocześnie żywił irracjonalną nadzieję, że dach wszystko naprawi.

Dlatego próbował postawić na swoim.

Umówił dekarzy na pomiar, żeby zrobili ostateczny kosztorys do umowy. Dwóch facetów z firmy, która już oglądała ten dach i zaproponowała wtedy rozsądną cenę. Wtedy, bo teraz trudno było powiedzieć, jak to wyjdzie. Chciał, żeby skończyli pomiary przed powrotem Renaty, ale się nie udało. Faceci spóźnili się kilka godzin i wciąż byli na dachu, gdy wróciła. I wpadła w furję. Marcin nigdy wcześniej nie widział jej tak agresywnej. Wrzeszczała i wyzywała od najgorszych jego i tych biednych ludzi. Prawie siłą ściągnęła ich z dachu, bezceremonialnie wyrzuciła za drzwi. Nie odzywała się potem do Marcina przez dwa dni. Najgorsze było jednak co innego. Najgorsza była ulewa, która przeszła tamtej nocy po kłótni, i wejście na dach, którego ani w trakcie awantury, ani po niej nikt nie zamknął.

Gdy Marcin otworzył oczy kolejnego ranka, zobaczył szarobrązową plamę, której ciemne, nieregularne brzegi wgryzały się w sufit ponad jego głową, zabijając kojącą biel.

*

Tego dnia las był szary i nieprzyjemny, przygnieciony ciężkimi chmurami zwiastującymi nadchodzący deszcz.

– Nie wiedziałam o tym miejscu. Naprawdę, to... To jest... Tak bardzo... – Kamila dotknęła palcami łuski po pocisku, zawieszanej na drzewie pod białą tabliczką. – Ania... – Przeczytała na głos imię. Nazwisko i datę śmierci już tylko wyszeptwała.

– Miała szesnaście lat – powiedział Marcin.

Żałował, że nie zabrał bluzy albo kurtki, bo było chłodniej, niż myślał. To nie był dobry dzień na taką wycieczkę, ale wcale jej nie planował. W ogóle nie spodziewał się, że spotka się z Kamilą, to wyszło przypadkiem.

Poprzedniego wieczora znów pił z Terwiczem i tym razem tamtemu poluzował się język, powiedział kilka słów więcej niż zwykle. Marcin chciał to przekazać policjantce przez telefon, ale nie bardzo było jak, bo Renata wzięła tego dnia wolne i czekała na projektanta kuchni, który w końcu miał przyjechać, żeby ustalić szczegóły zabudowy. Marcin miał więc ograniczoną możliwość swobodnego rozmawiania. Kamila tym bardziej, bo była w pracy.

Dlatego, gdy kilka razy dzwonił i oddzwanił w niewłaściwym momencie, zaproponowała, aby spotkali się wieczorem. Marcin się zgodził, nie tylko dlatego, że informacje, które uzyskał, mogły być ważne, ale też dlatego, że musiał się wyrwać z tego domu i odpocząć od Renaty. Ostatnio znów powróciły zawroty głowy, raz czy dwa o mało nie upadł i plątały mu się myśli, znów miał problemy z zasypianiem. Do tego ta kłótnia i zalany strych.

Od kilku dni myślał, że powinien wrócić do swoich marszy, a to była dobra okazja. Dlatego zaproponował parking na Popielówce. Chciał sprawdzić, jaki będzie miał czas po przerwie w chodzeniu.

Dopiero gdy tam szedł, przypomniał sobie, o czym opowiadała mu Kamila, i pomyślał, że powinien pokazać jej to dziwne miejsce w lesie, gdzie ktoś upamiętnił ofiary tajemniczej zbrodni. Zastanawiał się, czy znajdą tam tabliczkę z nazwiskiem kogoś z jej rodziny.

– Tam jest Stefania, nauczycielka. – Marcin wskazał kierunek. – Tam dalej Piotr, bohater odznaczony medalami, na lewo Jan, a dalej kilkunastoletni chłopiec z tej samej miejscowości, gdzie mieszkała twoja babcia. – Odwrócił

wzrok, gdy spojrzała na niego zaskoczona. – Są też inni i wszyscy zginęli w tym samym roku.

– W tym samym roku co Bogusia... W tym samym miesiącu... – Przeszła do kolejnej tabliczki.

– Na wszystkich tabliczkach jest ten sam rok.

– Nie rozumiem... Co to za miejsce, Marcin, kto to wszystko pozawieszał?

– Nie wiem, nie miałem kogo zapytać – przyznał. – Myślałem, że może ty wiesz, bo twoja rodzina stąd pochodzi.

Pokręciła głową.

– Ani matka, ani babcia nigdy nie chciały mówić o tym, kto i dlaczego zabił Bogusię. Twierdziły, że nie wiedzą albo że jestem za mała, żeby zrozumieć. Ale... Po latach dowiedziałam się przez przypadek, że Bogusia nie była jedyna, że inni też ginęli w dziwnych okolicznościach.

– Ci tutaj?

– Może, nie wiem... Kiedy spytałam, matka była na mnie zła. Powiedziała, że to już nieważne, że życia nie wróci... Więcej nie wracaliśmy do tematu.

– Myślisz, że wszystkich mógł zamordować ten sam człowiek, co tych tu i twoją...

– Dziękuję, Marcinie, że pokazałeś mi to miejsce – przerwała mu. – Porozmawiam z miejscowymi, ktoś na pewno będzie wiedział, o co tu chodzi.

Starła się przybrać rzeczowy ton, dzięki któremu ludzie odbierali ją jako twardą i pewną siebie policjantkę. Marcin bardzo dobrze to rozumiał, wiedział, jak ważne jest eksponowanie odpowiednich cech i robienie właściwego wrażenia.

Kamila naprawdę była twardą policjantką, co do tego Marcin nie miał wątpliwości, ale miała też w sobie delikatność, której już nie potrafiła przed nim ukryć. Niezależnie jak się starała, on ją widział. I teraz, i wtedy, gdy rozmawiali w lasku za boiskiem, a może widział od samego początku, od pierwszej chwili, gdy ich spojrzenia się spotkały. Może dlatego wydawało mu się, że... Nie! Nie chciał myśleć w ten sposób. To nie był czas ani miejsce. To nie było właściwe.

– Jeśli czegoś się dowiesz, daj mi znać – poprosił.

– Oczywiście – zgodziła się. – Tym cmentarzem musi się ktoś opiekować cały czas, bo widać, że te napisy są odnawiane. Robi to raczej jedna osoba. Zauważyłeś, że wszędzie jest ten sam charakter pisma?

– Zauważyłem i na pewno w Sennowie wiedzą, kto to. Planowałem nawet sam popytać, ale przez to, że mieszkamy w zaszranym lesie na zadupiu, nie miałem zbyt wielu okazji – mruknął niechętnie.

– W porządku, rozumiem. – Spojrzała na zegarek w telefonie. – Wracamy?

Przytaknął i wskazał kierunek. Ten sam, z którego przyszli. Gdy Kamila ruszyła przodem, Marcin rozejrzał się czujnie. Od pewnego czasu czuł mrowienie

na karku, był niemal pewien, że ktoś im się przygląda, ale w tym świetle wszystko wyglądało tak samo szaro. Nikogo nie widział.

– Powtórz mi jeszcze raz, co mówił Terwicz – poprosiła Kamila, gdy odnaleźli właściwą ścieżkę, a między drzewami zaczęła majaczyć otwarta przestrzeń.

– Po prostu potwierdził, że Julia wynosiła leki.

– Nie wymienił żadnych nazwisk ani nie powiedział, co dokładnie?

Marcin domyślał się, że Kamila będzie go wypytywać, że nie zadowoli się ogólnikami. Nie był jednak pewny, czy chce wyjawić coś więcej.

Za pierwszym razem, gdy szli od strony parkingu, opowiedział jej o wczorajszym wieczorze i o tym, co uznał za najważniejsze. Terwicz potwierdził to, co mówiła właścicielka apteki. Koniec i kropka. Kamila musiała jednak wyczuć, że to nie było wszystko. Może tak jak on ją, tak i ona przejrzała jego.

– Nie wdawał się w szczegóły, a ja nie chciałem naciskać, żeby się nie zorientował.

Zabrzmiało to wiarygodnie, a jednak miał wrażenie, że Kamila czeka na ciąg dalszy.

W normalnych warunkach Marcin nic by sobie z tego nie robił, bo przecież potrafił zachować zimną krew i blefować. Nie bez powodu zlecano mu w pracy najtrudniejsze negocjacje. Tyle że to nie były normalne warunki i im dłużej trzymał język za zębami, tym gorzej się czuł. Z jednej strony nie chciał zdradzać Kamili nic osobistego, a z drugiej nie chciał jej zawieść.

– Ojciec Renaty brał jakieś psychotropy – poddał się w końcu. – Do wczoraj nic o tym nie wiedziałem, ale podobno coś mu tam stwierdzono, chyba schizofrenię, Terwicz nie był pewien. W ogóle zaskoczyło go, że Renata nic mi nie mówiła, ale ja się nie dziwię, bo sam bym nie chciał nikomu mówić takich rzeczy.

– Takie leki przepisuje lekarz, więc jeśli był chory, to dlaczego mieliby je kupować na lewo? – zdziwiła się.

– Bo to było dawno temu, to znaczy stwierdzono mu chorobę jeszcze w PRL-u. Pracował wtedy gdzieś w Polsce, a jak wrócił, nie chciał się przyznawać, żeby tutejsi ludzie nie gadali. Przez długi czas jeździł do Kielc po te prochy, miał tam jakiegoś znajomego lekarza. Potem, jak się zaczęły reformy służby zdrowia, ten znajomy poszedł na emeryturę, ale wcześniej wystawił mu papier, że niby jest zdrowy. Terwicz twierdzi, że ojciec Renaty za ten papier zapłacił, ale jak było naprawdę, to cholera wie. Na pewno wiele lat był spokojny i choroba wróciła dopiero na starość. Oczywiście nie chciał iść do żadnego lekarza, ale wtedy akurat Julia zaczęła pracę w aptece i Renata się z nią dogadała, żeby te leki jakoś załatwiła.

– No tak... – Kamila pokiwała głową. – Nielegalne, ale logiczne rozwiązanie problemu.

– Terwicz twierdzi, że tak to się zaczęło, a potem namówił ją i od czasu do czasu załatwiali znajomym różne rzeczy, ale że to nie było na dużą skalę.

– Pytałeś o te środki poronne?

– Nie mogłem, bo wtedy domyśliłby się, że coś jest nie tak. Sam się o tym nie zająknął.

– Fakt, masz rację – przyznała. – Świetna robota, Marcin.

Przez chwilę oboje wydawali się zaskoczeni, że ich spojrzenia się spotkały, i nie bardzo wiedzieli, co z tym zrobić. Oboje zauważyli też wzajemne zakłopotanie i uśmiechnęli się, nim każde znów popatrzyło przed siebie.

Potem przez jakiś czas szli w milczeniu.

– Zamierzasz z nią o tym porozmawiać? – spytała Kamila, gdy przebiegli przez jezdnię niedaleko miejsca, gdzie zaparkowała samochód.

– O czym? – Nie zrozumiał, wyrwany z zadumy.

– O jej ojcu i tych lekach.

– Nie, chyba nie... Ostatnio między nami jest naprawdę źle, a to by był gwóźdź do trumny.

– Myślałeś o tym, czy to w ogóle ma sens?

– Chyba nie, bo raczej nie powiedziałyby mi więcej niż Terwicz, skoro przez tyle lat ani słowa...

– Nie to miałam na myśli.

– Aha...

Oboje poczuli się nagle skrępowani.

– Przepraszam, nie powinnam w ogóle pytać o takie rzeczy. Nie było tematu!

– Nie, w porządku, po prostu... Z Renatą... Czasem myślę, że coś jeszcze jest, a innym razem, że już dawno zdechło, ale nie potrafię... Sam nie wiem... – Rzeczywiście, sam nie wiedział, po jaką cholerę jej to mówi.

– Nie było tematu! – powtórzyła, ratując sytuację.

– Wybacz. – Otrząsnął się. – Następnym razem ty musisz coś palnąć, żebyśmy byli kwita.

– Pomyślę, a teraz wsiadaj, to cię podwiozę gdzieś bliżej domu.

– Nie, nie trzeba! – Cofnął się. – Przejdę się.

– Marcin, to nie problem.

– Dziękuję, ale naprawdę chciałbym się jeszcze przejść. Muszę pomyśleć, jak mam dalej podpuszczać Terwicza. – Uśmiechnął się wymuszenie. – Dzięki za dziś i jesteśmy w kontakcie.

– Jasne, tylko uważaj na siebie!

*

Minęło kilka dni, a Marcin czuł coraz większą satysfakcję.

Po pierwsze dlatego, że jego wysiłki nie poszły na marne i że udało mu się wyciągnąć z Rafała historię o lekach. Od tamtej pory pili dwa razy, ale Marcin nie wracał do tematu ani o nic nie wypytywał. Nie chciał wzbudzać żadnych podejrzeń. Wolał cierpliwie poczekać na kolejną okazję, gdy Terwicz sam rzuci coś mimochodem, i wtedy go cisnąć. Wyciągnąć informacje, przekazać je Kamili i rzucić to wszystko w diabły. Definitywnie!

To był drugi powód satysfakcji. Myśl o tej chwili i o minach, jakie zrobią Terwicz i Renata, gdy pokaże im środkowy palec... Gdyby pokazał, bo tak naprawdę już wcale nie czuł potrzeby, by cokolwiek manifestować. Nie było to nic warte.

Niespodziewanie dla siebie samego Marcin się zmienił. Zmieniło się wszystko.

Może stało się to wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczył ten paskudnie zalany sufit, gdy poczuł, jakby zabrano mu ostatnią dobrą rzecz, a może wtedy, gdy wracał pieszo z parkingu, tuż po spotkaniu z Kamilą, i myślał o minionych miesiącach, o tym, co zrobił ze swoim życiem.

Wtedy coś w nim pękło. Bez żadnego głośnego huku, wielkiego tąpnięcia czy afery. Ot tak.

Marcin uświadomił sobie po prostu, że to, jak postrzegał Julię Makowską i co do niej czuł, nigdy nie było prawdziwe. Majula nie była wspaniałą, cudowną dziewczyną, którą mógłby pokochać całym sercem, a jedynie awatarem wszystkich jego fantazji i pragnień, uczuć, których potrzebował, a na które nie było już miejsca w jego małżeństwie. Być może w jakimś sensie wykorzystał ją, by poradzić sobie z bólem i frustracją, ale nie miał wyrzutów sumienia. Julia potraktowała go tak samo.

Tym mocniej uświadomił sobie, że Renata też nie była tą osobą, za jaką ją uważał. Marcin przez całe życie wierzył w miłość i chciał się jej poświęcić bez reszty. Chciał kochać i być kochany, i dlatego, gdy poznał Renatę, tak usilnie ignorował wszystko, co nie pasowało do idealnego obrazu, aż w końcu się w tym pogubił tak bardzo, że ostatecznie wylądował na tym cholernym zadupiu w lesie, w paskudnym domu, który należało zrównać z ziemią, zamiast remontować, a przede wszystkim wylądował tu z niezrównoważoną psychicznie żoną.

Ta myśl była jak kubeł zimnej wody.

Renata była niezrównoważona. Jeszcze na studiach miała jakieś dziwne momenty, wpadała w gniew, kiedy indziej potrafiła popłakać się na ulicy, zupełnie bez powodu. Na początku znajomości zdarzało się to częściej, rzadziej gdy zamieszkali razem i wzięli ślub. Marcin za każdym razem usprawiedliwiał ją

różnymi czynnikami, najczęściej zrzucał winę na PMS lub po prostu udawał, że nie widzi.

A teraz nie było już żadnych wymówek.

Teraz patrzył na to zupełnie inaczej i może powinien się przejmować, że zmarnował z nią tyle lat, że rzucił świetną pracę i roztrwonił oszczędności, ale... Pyk! Pękła bańka ułudy i nagle było mu już wszystko jedno. Ba! Nawet się ucieszył.

Renata miała ten dom, ale on na Śląsku wciąż miał mieszkanie, którego nie zdążył nikomu wynająć i mógł tam w każdej chwili wrócić, wypełnić papiery rozwodowe i zacząć życie na nowo. Po raz kolejny wziąć się w garść i odbić od dna.

Po długim okresie marazmu i frustracji ta perspektywa naprawdę go ekscytowała.

Musiał tylko skończyć z Terwiczem. To było ważne, bo im dłużej Marcin o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że Rafał musiał mieć coś wspólnego ze śmiercią Julii. Dlatego nie zamierzał odpuszczać. Planował dokończyć to, co zaczął, i zdobyć informacje, które pomogą Kamili wymierzyć sprawiedliwość, dobrać się temu chujkowi do tyłka. Marcin chciał tego nie tylko ze względu na pamięć Julii, na sprawiedliwość i sympatię do policjantki. Nie chodziło też o wyzwanie. Była to sprawa osobista.

Może Julia różniła się od dziewczyny, którą chciał w niej widzieć, i może nie była z nim we wszystkim szczerą, ale wiedział, kiedy na pewno mówiła prawdę. Rozstała się z Rafałem, bo on przeleciał Renatę, gdy przyjeżdżała do chorych rodziców. Julia wyznała to Marcinowi kilka dni przed wyjazdem. Dlatego poszli do łóżka.

Wet za wet.

Oczywiście Marcin nie próbował się oszukiwać, był pewny, że nawet bez tej wiedzy prawdopodobnie by to zrobili, ale w ten sposób było łatwiej. Pozbył się wyrzutów sumienia i żalu do Renaty. Z nią był kwita.

Z Terwiczem nie.

*

Noc była ciemna. Szczególnie na nieoświetlonej drodze, ponad którą zamykały się konary drzew, wyławiane z mroku blaskiem reflektorów samotnego samochodu. Ktoś jechał od strony Bożej Woli. Nie za szybko, zapewne w obawie przed zwierzyną, która mogłaby mu wyskoczyć przed koła, ale też nie przesadnie wolno. Zwyczajnie.

Snop długich świateł prześlizgiwał się po pniach drzew i krzakach. Błysnął na siatce ogrodzenia i sięgnął stojącego przy drodze domu, odbijając się w ciemnych szybach. Tylko przez chwilę, bo zaraz przeskoczył na kolejną posesję, gdzie z zaniebanych krzaków przeciskających się przez płot powyciągał upiorne cienie, jak mroczne macki cofające się przed światłem. Wreszcie rozbłysnął w bieli ogrodowych rzeźb i zdobiących dom kolumn, oślepił mężczyznę przy furcie i znów zanurzył się w las.

– Pięknie... – mruknął Marcin, gdy blask wbił się w jego czaszkę i zatrzepotał kolorowymi skrzydłami.

Na szczęście trzymał się furtki, bo inaczej mogłoby się to źle skończyć. Choć prawdę mówiąc, był w takim stanie, że nawet furka nie gwarantowała, że zaraz nie wyrznie na ziemię. Był zalany w trupa. Zalany, ale zadowolony, bo przepił Terwicza, który zasnął na podłodze w drodze do łazienki. Zasnął, ale wcześniej powiedział coś takiego, że...

– Mamy cię, chuju – wybełkotał i ruszył chwiejnie wzdłuż ogrodzenia, trzymając się go, jakby od tego zależało jego życie. Nie uszedł daleko, bo po kilku krokach żołądek zastrajkował i wyrzucił z siebie zawartość. W dodatku nie poprzestał na jednym razie.

Przez jakiś czas Marcinem szarpały torsje, aż nie miał już czego zwracać. Przetarł usta wierzchem dłoni i ruszył dalej w mrok.

– Mamy cię... – zanucił cicho i przystanął. Ogrodzenie się skończyło i dalej nie było się czego złapać. – Po lewej most... Po prawej... Kurwa... – Dopiero wtedy się zorientował, że idzie nie w tę stronę, że od Terwiczów powinien skręcić w prawo, a nie w lewo. To był problem, bo zmarnował dużo dobrych kroków, to znaczy takich, które pozwoliły mu nie upaść, i nie bardzo wierzył, że powtórzy ten wyczyn. – Wyzwanie, kurwa!

Czknął i odwrócił się ostrożnie, z szeroko rozstawionymi nogami, jak gdyby miał pod nimi nie ziemię, a lodowisko. Gdzieś w jego upojonej alkoholem głowie kołatało się, że lepiej by zrobił, kładąc się u Terwicza i śpiąc do rana, ale nie chciał tego robić. Nie chciał spędzać w jego towarzystwie ani minuty dłużej.

Zataczając się, brnął znów wzdłuż ogrodzenia, tym razem we właściwą stronę. Minał furtkę i podązał dalej. Na końcu ogrodzenia zatrzymał się i próbował złapać równowagę bez podpierania. Miał przed sobą najtrudniejszy kawałek drogi, wzdłuż zarośniętego płotu Partyzanta, gdzie nie mógł liczyć na podparcie. Przez chwilę rozważał, czy nie pokonać tego odcinka na czworaka, ale uznał, że da radę. Albo chociaż spróbuje.

Postąpił krok, potem drugi. Z szeroko rozstawionymi rękami, po omacku, przesuwając stopy po ziemi, chwiejąc się, ale nie przewracając. Krok za krokiem, szurnięcie za szurnięciem.

– Jestem... – Nie dokończył, bo ktoś walnął go w głowę. Na tyle mocno, że Marcin padł na ziemię jak lalka, której wyczerpały się baterie. Padł i znieruchomiał.

*

Noc była ciemna, więc nikt nie zobaczył postaci, która wyciąga ciało na drogę i układa na asfalcie w taki sposób, by trudno je było ominąć. Nikt nie zobaczył, jak ten ktoś wykonuje znak krzyża i odchodzi.

ROZDZIAŁ 13

SIERPIEŃ 2020 PARTYZANT

Mężczyzna trzymał nóż i w skupieniu przesuwał nim po skórzanym pasie przywiązany do kuchennego krzesła. Ostrzył tak, jak nauczył go ojciec i jak robił to przez całe życie, najpierw na kamiennej osełce, a potem pasku, długimi pociągnięciami. Skutecznie, choć już wolniej, dużo wolniej. Jego dłonie nie były tak sprawne jak kiedyś. Nie miały pewnego chwytu ani krzepy. Drżały.

Pomieszczenie wypełniał zapach palonego drewna i sadzy z dawno nieczyszczonego komina. Na żelaznej płycie starego kaflowego pieca stał poobijany aluminiowy czajnik. Kilka zniszczonych, niedoczyszczonych garnków piętrzyło się na stołku obok. Z kranu zawieszzonego nad żeliwną, zbrązowiałą od zacieków umywalką miarowo kapała woda. Spękane, brudne ściany pomieszczenia zdawały się pochylać pod brzemieniem opadającego miejscami stropu. Goła żarówka świeciła nad pokrytym zniszczoną ceratą stołem, na którym stały wyszczerbione kubki i metalowa, pordzewiała po brzegach puszka.

Starszy mężczyzna przesuwał ostrzem po skórze, stojąc plecami do pozbawionej drzwi, odrapanej framugi, oddzielającej kuchnię od niedużej, ciemnej izby ze stołem, tapczanem i ciałem leżącym między nimi. Ciałem, które poruszyło dłoń.

Nie zwrócił na to uwagi, był zbyt pochłonięty swoim zajęciem, które przerwał dopiero, gdy z wąskiej szyjki czajnika zaczęły wydobywać się kłęby pary. Podszedł i chwycił za rączkę, ale nie podniósł, tylko zmarszczył czoło i przechylił głowę. Nasłuchiwał.

Myślał, że będzie miał więcej czasu, lecz stłumiony dźwięk dobiegający z izby ostrzegł go, że to już, że leżący na podłodze człowiek zaczyna się budzić. Dlatego musiał zmienić plany. Przetawił ostrożnie czajnik na brzeg płyty, wyprostował się i ściskając w dłoni nóż, ruszył w tamtą stronę.

*

Partyzant myślał o tym od lat. Śnił nocami, a czasem na jawie, tak intensywnie, że niemal czuł pod opuszkami palców chłód broni, jej kształt i zapach. Niemał wyobrażał sobie, jak przeładowuje, mierzy i pociąga za spust. Te wizje go prześladowały. Przed laty, gdy był jeszcze młody i silny, dawały się tłumić z łatwością. Potem jednak czas robił swoje. Jego mięśnie traciły sprężystość, skóra marszczyła się i wiotczała, coraz silniej ujawniały się dawne kontuzje, pogarszał wzrok. Potem zaczęli odchodzić bliscy. Najpierw córka, a potem żona, aż wreszcie została tylko słabość i samotność.

I te myśli.

A on nie chciał im ulegać, chciał się przed nimi bronić. Walczyć za wszelką cenę, bo to, o czym myślał, było złe. Czasem wydawało mu się, że było gorsze nawet od tego, co robił w młodości, a czasem że wcale nie, że w ten sposób tylko by sobie pomógł, ulżył w cierpieniu.

Myślał tak coraz częściej i to było dla niego najbardziej wyczerpujące, bo musiał zbierać w sobie całą odwagę i resztki sił, jakie mu jeszcze zostały. Powtarzać na głos, że nie chce tego robić, że nie może wziąć łopaty i wydobyć skrzynki spoczywającej pod ziemią za domem. Nie chce użyć jej zawartości.

Czasem pomagała modlitwa, ale częściej nikt w niebie go nie słuchał. Wtedy po prostu pił. Brał w drżącą dłoń butelkę wódki i wlewał w siebie tyle, ile mógł. Z gwinta, łapczywie, żeby fala otępienia jak najszybciej zalała jego głowę i ubezwłasnowolniła członki. Żeby zasnął i zapomniał. To działało za każdym razem.

O ile miał w domu alkohol.

Temu wszystkiemu była winna jego żona, bo przecież mieli umowę. Obiecał jej, że nigdy tego nie zrobi, że nigdy więcej nie będzie próbował i, Bóg mu świadkiem, dotrzymał słowa. Tak miało być do końca, ale ona umarła. Umowa przestała obowiązywać. Zostały tylko cierpienie i ciągła walka z piekłem, które sięgało po niego z przeszłości.

Przez wiele lat wykopywał broń raz, dwa razy w roku, siadał z nią przy stole w kuchni, czyścił i smarował. Czasami zajmowało mu to godzinę, a czasem schodziło do późnej nocy. Wtedy z pietyzmem rozbierał i składał element po elemencie. Robił to kilka razy, jak gdyby chciał się upewnić, czy o niczym nie

zapomniał. Składał i rozkładał, przeliczał naboje albo tylko siedział, trzymając dłoń na kolbie, palcem głaskał spust i odpływał w inne miejsce i czas. To go uspokajało.

Żona nigdy mu nie przeszkadzała, wiedziała, jakie to jest ważne. Dla niego i dla niej też, w sensie, który wymykał się zdrowemu rozsądkowi. Wiedziała, że tak po prostu musiało być. Musiało i było.

Robił to przez wiele lat, aż do momentu, kiedy zginęła córka. Wtedy przestał. Przestał, bo bał się, że nie będzie miał tak silnej woli, aby dalej się powstrzymywać, że zrobi coś, czego nie powinien. Obiecał sobie, że nigdy więcej nie wykopie i nie weźmie do ręki broni. Dopiero gdy odeszła żona, zrozumiał, że to jedna z tych obietnic, których nie sposób dotrzymać.

*

Tamten dzień, kilka miesięcy wcześniej, był najgorszy. Starzec był zmęczony, niemal bliski obłądu. Od jakiegoś czasu prawie nie sypiał, bo wszystkie obrazy i głosy, jakie kłębiły się w zakamarkach jego głowy, wpełzały, ledwo zamknął oczy. Były jak stado wygłodniałych szczurów, które tylko czekają, by zgasło światło, żeby mogły zaatakować. Próbował pokutować, próbował się modlić, ale słowa gubiły się i plątały. Wódka się skończyła.

Tamtego dnia się poddał, wziął łopatę i poszedł za dom. Już się nie bronił, nie miał siły. Było mu wszystko jedno. Zaczął kopać, ale wtedy wydarzył się cud. Okno na strychu otworzyło się i pokazała się w nim wystraszona twarz młodego człowieka. To go otrzeźwiło. W jakiś dziwny sposób dodało sił. Sprawilo, że odłożył łopatę i wrócił do domu. Po raz pierwszy od wielu dni zasnął bez strachu.

Śniła mu się żona. Taka jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. To było w czterdziestym trzecim, kiedy las cuchnął fetorem wojny i okupacji, ludzkiego upodlenia. Kiedy nadzieje i błagania tonęły w tym, co pozostało w ludziach po obdarciu z człowieczeństwa, w braku złudzeń. Wtedy ją zobaczył pośród drzew. Była sama. Młoda i tak piękna jak anioł z obrazu w kościele, który spłonął nocą. Patrzył zafascynowany z ukrycia, bojąc się poruszyć lub głośniejsz odetchnąć, żeby jej nie spłoszyć, żeby nie zniszczyć tej iskry cudowności, jakiej był świadkiem. Iskry, która rozbłysła w pogorzeliści jego świadomości odłamkiem nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone, że może kiedyś będzie można budzić się bez trwogi, że istnieje nie tylko grzech.

Chciał się wycofać, odejść, póki dziewczyna go nie dostrzegła, póki się nie przestraszyła. Chciał, ale nie mógł. Nie był sam.

Byli we trzech, jak zawsze gdy szli do wsi po jedzenie. On zostawał na czatach, a tamci chodzili po chałupach. Czasem szło szybko, czasem dłużej, bo

była bieda, ludzie nie mieli czym się dzielić. Nie mieli, ale musieli. Tamci dwaj byli dużo starsi i znali się na robocie. Tak jak i reszta, która siedziała w bezpiecznym miejscu w lesie. On był najmłodszy, nie miał nic do gadania.

Dlatego nie próbował ich powstrzymać, gdy zobaczyli dziewczynę, nie próbował prosić, aby zostawili ją w spokoju, pozwolili jej odejść. Nie zrobiłby tego, nawet gdyby miał prawo głosu, bo był przy tym, gdy Tadek im się postawił, gdy chciał, żeby zostawili w spokoju tamtą nauczycielkę, pozwolili jej wrócić do domu. A potem musiał zakopać ich oboje.

Dlatego nie odezwał się ani słowem, gdy ruszyli w stronę dziewczyny, ani wtedy, gdy krzyknęła na ich widok. Nie odezwał się, tylko wyciągnął parabelkę. Tę, którą znalazł przy martwym Niemcu i którą od tygodnia ukrywał przed wszystkimi.

Dwa strzały, dwie kolejne iskry nadziei.

*

Czasami ręce mu słabły, szczególnie lewa. Tracił w niej czucie i upuszczał przedmioty, dlatego musiał się na chwilę zatrzymać, wesprzeć na blacie, póki wszystko nie wróci do normy. Końcówka długiego noża poruszała się w rytm bicia jego serca. Odmierzała czas.

Spod stołu dobiegł stłumiony jęk, potem szuranie. Ponad blat wysunęła się oblepiona zaschniętą krwią głowa, zamrugały wystraszone oczy i nim starzec zdążył zareagować, zniknęły z bełkotliwym przekleństwem.

– Wyłaź! – warknął, waląc trzonkiem noża w stół.

– Jezu... To pan! – Bieńczyk rozglądał się nieprzytomnie. – To jest... Co się...

– Siadł! – Partyzant sięgnął po chleb, ukroił dwie pajdy i położył na obitym talerzu obok kawałka suchej kiełbasy.

– Zje! – burknął i wolno wrócił do kuchni.

Każdy krok sprawiał mu ból. Rana po operacji ciągle nie chciała się zagoić. Zmieniali mu już szwy, kazali pryskać jakimś środkiem i brać antybiotyk. Przede wszystkim mało się ruszać, nie męczyć. Ostatnio było trochę lepiej, ropa przestała płynąć, krew prawie też. Ale w nocy musiał zaciągnąć Bieńczyka do domu i coś tam pękło. Może strup, a może szew. Wolał nie sprawdzać, nie odwinął bandaży, ale wiedział, że nasiąkły krwią. Bardziej bolało. Dużo bardziej.

Bolało nawet wtedy, gdy podnosił czajnik, gdy zalewał herbatę. Do dwóch trzecich, a może trzech czwartych? Nigdy nie był dobry z matematyki. Zalał jednak tylko, żeby móc przenieść bez rozlewania. Żeby nie poparzyć drżących rąk.

– Cukru nie ma – mruknął, stawiając kubek obok pustego talerza.

Marcin siedział na tapczanie, na który starzec nie zdołał go w nocy wciągnąć, i kończył jeść. Patrzył na Partyzanta takim wzrokiem, że ten poczuł się w obowiązku coś powiedzieć.

– Popiło się, co? – spytał z wahaniem, bo odzwyczaił się już od takich zwykłych rozmów, od czyjejś obecności w tym domu. – Rozbiło się głowę i leżało na drodze...

W pierwszej chwili uznał, że tyle tłumaczeń wystarczy, że nie ma sensu tracić czasu. Miał do powiedzenia coś ważniejszego, więc chciał oszczędzać słowa. Tyle że Bieńczuk nie wyglądał na kogoś, kto jest gotowy, aby go wysłuchać. Nie wyglądał nawet na kogoś, kto rozumie, gdzie jest.

– Na drodze samochód mógł przejechać i nie zauważyć – dodał wolniej. – Ciebie przejechać – sprecyzował, celując w niego palcem.

– Pan mnie zabrał... – Bieńczuk pokiwał głową i skrzywił się, gdy zabolą. – Dziękuję...

– No...

– Moja głowa!

– Klina? – spytał starzec, odwracając się do kredensu, który miał za plecami.

Pamiętał, że schował tam małą butelkę, tak zwaną małpkę, którą kupił jeszcze przed wypisem ze szpitala. Nie do picia, a do przemywania rany, zanim mu wyjaśnili, żeby wódką tego nie robił, że są lepsze środki. Te lepsze środki nie piekły i nie śmierdziały, więc na początku nie wiedział, czy może im ufać. Potem się przyzwyczaił. Pomagały i to było ważne. Najważniejsze.

– Klina? – powtórzył, otwierając przeszkłone drzwiczki.

– Jezu, nie!

Starzec odstawił małpkę i sięgnął głębiej, po krzywo zakręcony słoik.

– Miód. – Podsunął go Bieńczukowi, pokazując palcem łyżeczkę zanurzoną w herbacie. – Też dobry na kaca.

– Wie pan, to trochę dziwna sytuacja, to znaczy dziękuję, ale nie rozumiem... Nie wiem, co się wczoraj stało. – Sięgnął do kieszeni i zaklął cicho na widok uszkodzonego telefonu. Musiał na niego upaść, bo ekran był pokryty pajęczyną pęknięć i nie chciał się włączyć. – Chyba powinienem zawiadomić żonę...

– Musimy pogadać – powiedział starzec dobitnie.

Nie chciał, żeby Bieńczuk wychodził, bo nie miał żadnej gwarancji, że wróci. A naprawdę musieli porozmawiać, a raczej Partyzant musiał mu opowiedzieć to wszystko, co wymagało opowiedzenia. Póki jeszcze mógł.

Ból chwilami słabł, chwilami się nasilał, ale nie ustępował. Przynosił uczucie chłodu i dreszcze. Pojawiło się coś, czego wcześniej nie było, a co było jasnym sygnałem, że powinien zadzwonić do lekarza, może nawet wezwać karetkę. Powinien, ale nie zamierzał. Nie mógł stracić tej okazji.

– Musimy pogadać o tamtym miejscu w lesie – dodał, widząc, że Bieńczuk się waha. – Tamci ludzie... Ta dziewczyna od młodego... – Odruchowo kiwnął głową w kierunku, gdzie stał dom Terwiczów, jak gdyby gość w ogóle orientował się, co jest za ścianami i co kryją chaszczce napierające na okna izby.

– Ma pan dar przekonywania. – Bieńczuk spojrzał na niego z zainteresowaniem. – Czy mogę najpierw gdzieś umyć twarz?

Partyzant wskazał mu wejście do kuchni.

Bieńczuk powoli podniósł się z tapczanu i ruszył w tamtym kierunku, ale nie doszedł. Mijając starca, zwrócił się w jego stronę tak nagle, że tamten cofnął się odruchowo.

– Marcin! – Wyciągnął dłoń. – Przepraszam, że dopiero teraz, bo powinniśmy już dawno temu to zrobić... Bardzo panu dziękuję za pomoc i gościnę.

Partyzant skinął niepewnie głową i podał mu rękę. Nie odezwał się jednak, bo to nie miało znaczenia. Żadne uprzejmości ani podziękowania nie były ważne, w ogóle go nie obchodziły. Obchodził go tylko nieuchronnie mijający czas i coraz bliższy koniec. I to, co musiał opowiedzieć.

Gdy Bieńczuk mył się w kuchni, starzec starał się jakoś ułożyć w głowie słowa, przypomnieć, od czego powinien zacząć. Co powiedzieć, a co przemilczeć. Próbował przygotować się do rozmowy, którą przeprowadzał już wielokrotnie we własnych myślach i snach. Ale to był próżny trud, jałowe działania. Nie można się było przygotować, ani by to przeżyć, by brać w tym wszystkim udział, ani by się z tego wypowiadać.

ROZDZIAŁ 14

SIERPIEŃ 2020
MARCIN

Marcin po raz kolejny polał głowę zimną wodą. Gdyby tylko mógł, wsadziłby ją pod kran i trzymał tam tak długo, aż ten kołowrót w czaszce by się zatrzymał. Ale to nie było możliwe, ponieważ w umywalce stało kilka naczyń, a kran zawieszony był za nisko. Dlatego tylko polewał i przecierał głowę, unikając nacisku z tyłu, tam gdzie między włosami wyrósł pokaźny guz.

Zupełnie nie pamiętał, że się przewrócił, że uderzył o asfalt. W ogóle cała noc wydawała mu się jakimiś rozsypanymi puzzlami, które co prawda widział osobno, ale nie potrafił ułożyć w sensowny obraz. W jego pamięci dryfowały fragmenty gubiące chronologię, jak rozbitkowie z zatopionego okrętu, niektórzy z pewnością skazani na utonięcie. Jednak zaginione wspomnienia wydawały się nieistotne, bo najważniejsze, czyli to, co minionej nocy mówił Rafał Terwicz, Marcin pamiętał doskonale. To było zbyt ważne i zbyt mocno wryło się w jego głowę.

W pierwszej chwili chciał jak najszybciej znaleźć się we własnym domu, żeby zadzwonić do Kamili i powiedzieć jej o tym, czego się dowiedział. Tyle że to nie był najlepszy pomysł, bo musiałby prosić Renatę, żeby pożyczyła mu swój telefon, albo szukać w pudłach starego, który na pewno gdzieś był. Albo tu, albo na Śląsku... Ostatecznie mógłby wziąć samochód i jechać na komisariat, żeby spotkać się z Kamilą osobiście, albo poprosić, żeby ktoś stamtąd do niej zadzwonił i pozwolił mu porozmawiać.

Dopiero gdy orzeźwiający chłód wody przedarł się przez alkoholowe otumanienie, Marcin zrozumiał, że to zły pomysł. Było jeszcze za wcześnie. Nie tylko dlatego, że ledwo trzymał się na nogach, ale przede wszystkim ze względu na Partyzanta.

Marcin nigdy nie zastanawiał się, czy życiem rządzą przypadki, czy może ludzki los zapisany jest gdzieś w gwiazdach albo czy odbywa się wedle jakiegoś planu, ale wtedy, w tej starej kuchni był pewny, że nie znalazł się tam bez powodu. Był pewny, że to, co ma do powiedzenia ten stary człowiek, okaże się ważne.

Dlatego bardzo chciał go wysłuchać, ale wcześniej musiał znaleźć jakąś ścierkę.

– Wytrze się w to. – W głosie starca słyhać było zniecierpliwienie.

Stał, opierając się o szafkę, ubrany w wyciągnięty bury sweter i bezkształtne spodnie. W chudej dłoni trzymał ręcznik, z którego dawno sprął się kolor. Marcin miał wrażenie, że w tym domu kolor sprął się ze wszystkiego, że jedyne, co zostało, to szarobure przemijanie.

Wytał się ostrożnie, starając ominąć pulsującego guza.

– Ma pan może kawę? – zapytał z nadzieją.

Partyzant przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, wyraźnie niezadowolony, ale w końcu skinął głową.

Dopiero tam, w kuchni, Marcin zauważył, w jak złej kondycji jest starzec. Nagle zrozumiał, że nic nie zostało z człowieka, który dwa miesiące wcześniej zdołał go przegonić.

Wtedy, gdy widział go po raz pierwszy ze strychu, i potem w lesie i radiowozie, wydawało mu się, że Partyzant wygląda źle, ale teraz czuł ciarki za każdym razem, gdy spoglądał z bliska na jego zapadnięte ciało obleczone pomarszczoną, pergaminową skórą, na niedogolone, zwisające policzki i wciśnięte w głąb oczodołów wodniste oczy. Było mu wstyd, że nie potrafi wytrzymać tego widoku, że odwraca wzrok.

*

Gdy znów usiedli przy stole w pokoju, zapach kawy na trochę stłumił woń kurzu i starości. Partyzant z ulgą opadł na krzesło i podparł głowę dłońmi. Przez dłuższą chwilę odpoczywał.

– Tamto miejsce w lesie. – Marcin przestraszył się, że starzec zasnął. – To pan te krzyże zrobił i pozawieszał tablice?

– Nie, nie... – Partyzant podniósł głowę i zamrugał. – Nie ja... Tam leżą ludzie. W lesie, w wielu miejscach... – Słowa dobierał ostrożnie, jak gdyby

każde z nich dużo ważyło, a on nie był pewien, czy zdoła je unieść. – Tam dokładnie... Tam jednego człowieka... Starego Piotra, który dostał od Piłsudskiego medale... Dobrym człowiekiem był, bohaterem, a oni tam mu w plecy strzelili, bo... bo prosił, żeby dali ludziom spokój, żeby się opamiętali... Dlatego jego syn krzyż postawił i napisał na tablicy, a potem... On potem i innym robił, tym, co też ich zabili, co tam leżą wkoło. On dba, żeby inni nie zapomnieli... Żebym ja też nie zapomniał...

– Nie rozumiem. Czy tych ludzi zabi...

– Słucha! – przerwał mu Partyzant. – Ja to od początku wszystko, ale słucha i nie przerywa.

Marcin kiwnął głową.

Partyzant odetchnął głęboko. Przez chwilę spoglądał gdzieś w bok, a potem zaczął mówić. Na początku powoli i cicho, a potem już normalnie, zwykłym, nieco drżącym głosem starszego człowieka. Nie patrzył jednak na Marcina. Uciekał wzrokiem.

– Jak wojna wybuchła, to ja dziecko byłem. Miałem jedenaście... prawie dwanaście lat. Ojciec w mobilizację poszedł i już nie wrócił. Podobno gdzieś pod Warszawą leży w zbiorowej mogile, ale o tym tośmy się długo po wojnie dowiedzieli, z Czerwonego Krzyża... A jak ta wojna przyszła i Niemce przyjechały, to ja chciałem jak ojciec, żeby walczyć z nimi... Taki smark, wiesz pan?

Napił się herbaty.

– Chciałem bić szwabów, jak ci, co jeszcze broni nie złożyli. Młody byłem, to za Polskę i za ojca chciałem, bo matka jeszcze myślała, że wróci, ale ja już czułem, że nie... Z domu uciekłem i próbowałem do tego majora na koniu iść, o którym się wszędzie szeptało... – Cień uśmiechu rozpalił się na moment na jego twarzy.

– Hubala? – domyślił się Marcin.

Partyzant pokiwał głową.

– Nie wyszło... Pytałem ludzi, ale nikt nie brał mnie na poważnie, nie chcieli powiedzieć, gdzie szukać, tylko do matki wyganiali, taki granatowy policjant siłą doprowadził. Lanie było, że do dziś pamiętam... O tym majorze to każdy mówi, cichcem, żeby jakie konfidenty nie słuchały, a potem już tylko gadali, że Niemce go tropią jak psy i że prędzej czy później dopadną. I dopadli... – Spoważniał. – Dopiero potem, w czterdziestym trzecim, jak skończyłem piętnaście lat, znów matkę zacząłem męczyć o partyzantkę. Wiesz pan, może myślała, że Niemcy mnie zabiorą na front albo roboty, więc się zgodziła i poszedłem.

O matkę się nie bałem, że sobie nie poradzi, bo brat jej żył. Kulał, to go na front nie wzięli, ale zwierzęta oporzędał i w polu robił... Tam było, gdzie teraz

las. – Machnął ręką. – Tam koło żydowskiego cmentarza, co go po wojnie zaorali. Tu za domem też kawałek był, ale mizerny, tam więcej... Bo my tu w pięć domów byli. Tak jak te stoją, ale wszystkie takie drewniane wtedy... A za drogą jeszcze dwa. Jeden to starej takiej, co umarła zaraz, jak wojna przyszła, a w drugim to żydowska rodzina mieszkała... Niemce ich zabrały w czterdziestym drugim i żadne nie wróciło.

Znów sięgnął po szklanę, ale nie napił się, tylko chwilę ją potrzymał, nim zrezygnował.

– Poszedłem do lasu... Młody byłem, smark głupi, panie... Nie wiedziałem, że źle robię.

– Nie rozumiem.

– Bo tu u nas duża partyzantka była. Różne grupy działały i dobrą robotę robiły. Bili szwabów i konfidentów, ludzi uwalniali, ale mądrze! – podkreślił. – Tu po wsiach albo w lesie siedzieli, a na akcję daleko szli, zawsze tak, żeby na okolicę gniewu Niemców nie ściągać, żeby nikt tu nie ucierpiał... Różne grupy były, panie, a ja o tym nie wiedziałem, bo skąd... Dlatego poszedłem do lasu, bo słyszałem, że tam leśni chłopcy, i ta nazwa mi się podobała. Myślałem, że każdy partyzant Niemca chce bić, że oni wszyscy to za Polskę i Polaków, ale różne grupy były, jedni dobrzy, a drudzy... inni.

– Jacy inni?

– No... – Zawahał się. – Tam w lesie już partyzancka chata była zbudowana i dobrze ukryta, bunkrem ją nazywali. Ludzie gadali, że tam siedzą, to poszedłem... Do partyzantów, panie, chciałem, a to łobuzy byli i złodzieje. Wiesz pan, zakały takie najgorsze, co własną matkę by za kilka groszy ubili... Ale ja nie wiedziałem wtedy, że to oni tę partyzantkę tam robili, jak przyszedłem.

– Czyli to już nie byli partyzanci?

– Broń mieli, na szwabów pluli, to skąd miałem wiedzieć, podejrzewać, że może to nie wszystko? Ciągłe powtarzali, że są partyzanty i że Niemca bić będą, ale nie bili... Może jak poszli z takimi z innych grup, raz czy dwa... Może wtedy jaką porządną robotę zrobili, nie wiem. – Zamyślił się. – Ja za młody byłem, broni nie dostałem, nie brali mnie na takie akcje. To znaczy jak z innymi szli, to nie brali, bo tak to na czatach stałem, na początku, a potem to już i resztę też... Ale to nie na Niemców roboty były, nie na konfidentów czy innych. Za to po wsiach się chodziło i od ludzi brało, co dawali. Wiesz pan, na partyzantów dawali, ale to albo na alkohol szło, albo na handel... A jak się jeden z drugim gospodarze połapali i nie chcieli dawać, to już siłą było brane...

Odetchnął głęboko.

– Była taka chwila, na początku, że wróciłem do domu, bo to wszystko inaczej było, niż myślałem, ale... ale nas tu trzech młodych mieszkało. To znaczy ja,

Jasiek Terwicz i Wiesiek... Oni byli ode mnie starsi i zawsze na ich było, a mnie to czasem po złościwości różne takie rzeczy robili. Wiesz pan, jak to jest, jak kto najśłabszy. Ale jak przyszedłem do domu, a oni wiedzieli, że z lasu, to... to tak na mnie patrzyli... Wiesz pan, dziecku to imponowało, że mnie za partyzanta mają... I oni prosili, żebym ich zabrał z sobą do partyzantki. To co, ja miałem zostać, żeby znów być tym gorszym?

Marcin nie odpowiedział.

– Zaprowadziłem i razem ześmy w lesie zostali... Tam z Kielc, z podziemia łącznik przychodził, meldunki były, jakieś rozkazy, ale tak naprawdę to myśmy... Oni... – Nie bardzo wiedział, jak mówić. – Myśmy wcale Niemców nie bili. Rzeźnik umówiony pod lasem mieszkał. Całe to bydło i trzodę, cośmy rekwirowali, to on dzielił, część dla nas zostawała, a resztę taki jeden woził na handel tam, gdzie lepiej się sprzedawało... Panie, w Warszawie, w getcie, to złotem za to mięso płacili, wiesz pan? To się normalnie narobić musieli, żeby tego mięsa zdobyć, żeby złotko było...

– Nie rozumiem, to co w ogóle...

– To, panie, bandyci byli! – Staruszek zadrżał. – Na ludzi napadali, rozumiesz pan? Myśmy napadali – dodał ciszej. – Na każdego, co się dało. Jak Żydzi uciekali, to zawsze mieli pieniądze poukrywane, trzeba było wiedzieć, gdzie szukać. Tak samo ci, co towary na handel wozili albo chcieli kupić... Próbowali jakoś żyć, a do domu nie wracali. Zawsze z nich gotówka jaka była i towar na sprzedaż, bo wszystko braliśmy. Ale najlepiej to jak się trafili tacy, co gdzieś z całym majątkiem... Wiesz pan, do rodziny się przenosili, uciekali czy coś, bo przez Sennowo drogą często jechali i łatwo ich było... Była taka rodzina. Na dwa wozy jechali i tu im nocować przyszło, w Sennowie. To ich, panie, w biały dzień, rano pod las zaciągnęli i wszystkich pozabijali. Rodziców i dzieci... A ta nauczycielka, co tu w szkole uczyła i ją do tego bunkra zabrali? Wiesz pan, najpierw to ją tydzień albo i dłużej... Codziennie, czasem po kolei... A potem ją zabili. To przy niej Tadzio taki nie wytrzymał. Drań był, ale sumienie go ruszyło, bo lekcje u niej brał. Dlatego chciał ratować, żeby do domu wróciła, to jego też ubili... Po pijaku, z rozkazu dowódcy, że niby zdrajca... Mnie kazali zakopać oboje, ale nie razem. A wiesz pan, za co ją? Bo w niej się taki jeden kochał, co ważny był, i z nimi... nami z lasu trzymał i oni razem tam długo byli, z tą nauczycielką, ale potem ona go już nie chciała, to się tak zemścił... Ją też o donosicielstwo oskarżyli i kula w głowę... I innych, jak się temu naszemu uwidziało... Jak któryś gospodarz dawać nie chciał albo jak krzywo spojrzął. W tym lesie, panie, to kilkadziesiąt osób leży... Niektórzy potem już nie chcieli tego wykonywać. Jedni nie chcieli, a inni robili. Jasiek to bardzo lubił.

– Ludzie nie próbowali was... Ich powstrzymać?

– Jak mieli, skoro ten, co nam szefował, to tam się dobrze znał, z wójtem trzymał i z innymi. Nawet przy kontyngentach dla Niemców pomagał i pieniądze za to brał... Tu przed wojną kilku takich było ważniejszych i we wojnę też się trzymali. Klika taka... Dlatego strach był, że jak kto się odezwie, to albo Niemców naślą, albo w nocy przyjdą i gospodarstwo spalą, ludzi pomordują. Wszyscy wiedzieli, że są do tego zdolni. Po wojnie dopiero się dowiedziałem, że stąd pisali do komendy partyzantki do Kielc, żeby nas z lasu rozwiązać, żeby w diabły rozgonić za to, cośmy robili, ale nikt nie rozgonił...

Po raz pierwszy od rozpoczęcia rozmowy odważył się spojrzeć na Marcina.

– Panie! Dzieciaka ze wsi zmusili, żeby im krowę przyprowadził, bo sama iść nie chciała, i go za nic zastrzelili... W moim wieku był, a tam leży... Dziewczynkę taką małą, to panie całą noc najpierw... A potem... – Oczy mu się zaszklily. – Lekarza zastrzelili, bo niemieckie nazwisko miał, więc niby że dla Niemców pracował, a to, panie, porządny człowiek był, wszyscy wiedzieli... A jak się inny odważył im powiedzieć, żeby się trochę uspokoił, to kulkę w plecy dostał. A to, panie, nie byle kto był, tylko szanowany człowiek, bohater wojenny, i jeszcze go przecież dobrze znali, bo nieraz wspólnie wódkę pili i nieraz im po dobroci jeść dawał... A zastrzelili jak obcego... To pomyśl pan, czy byś się odezwał? Tak było. Ludziom Niemce terror niosły, ale i myśmy swoich nie oszczędzali...

Widziałeś pan ten cmentarz na Popielówce? To przecież przez nas. Przez tego naszego dowódcę, bo on kazał na samochód pocztowy napaść. Myślał chyba, że pieniądze wiezie, ale Jasiek z Wieśkiem mi potem mówili, że tam listy tylko... Rozumiesz pan? Kazał napaść przy domach na Popielówce i dlatego później Niemce przyjechały i niewinnych ludzi pomordowały. A on z kilkoma naszymi w krzakach siedział i się temu wszystkiemu przyglądał. Nic nie zrobił, żeby pomóc, żeby ludzi ratować...

Marcin pokręcił z niedowierzaniem głową.

– W końcu Niemcy do tego naszego bunkra przyszli, ktoś im musiał wskazać drogę. Rozwalili wszystko granatami, a tych, co byli w środku, załatwili... – Starzec spojrzał na Bieńczuka, jak gdyby chciał się upewnić, czy słucha. – Ale kilku tylko, bo reszta na Zielone Świątki do domu wróciła, to ich nie było... A szkoda... Tam, panie, kilkadziesiąt osób leży. Tyle na sumieniu mają Polaków i Żydów, a Niemca ani jednego... A po wojnie to wielkie bohaterzy, nawet do ZBoWiD-u się zapisali.

– Pan żartuje?

Staruszek pokręcił głową.

– Tamten, co dowodził, to się wyprowadził, uciekł, bo się ludzi bał, ale z tych, co nie zginęli, to reszta została, jak i ja... Ja się nigdzie nie zapisywałem, ale inni

tak, i każdemu mówili, że to nie oni pociągali za spust, że byli przeciwni... Tylu ludzi pozabijali, a włos im z głowy nie spadł... Byli tacy, co chcieli po wojnie milicję zawiadomić, ale co pan myślisz? Dowodów żadnych nie było, milicja co innego na głowie miała, a oni trzymali pochowaną broń i nie wahali się wcale. Jak kto krzywo spojrział, to mu chałupa potem płonęła albo do domu nie wracał. To chciałbyś pan tak wojnę przeżyć, żeby pana po wyzwoleniu załatwili? Ludzie mieli dość, woleli siedzieć cicho, a prawo pięści wtedy rządziło... Potem jednego sumienie wzięło i się powiesił, inny wyjechał, któregoś zamknęli, bo krowę ukradł, i tyle sprawiedliwości było. Porozchodziło się w końcu, jak wszędzie... Bo co pan myślisz? Że gdzie indziej to inaczej było? Was w szkole to uczą teraz, że wszystkie partyzanty to takie bohaterzy, a gówno prawda, bo człowiek jest tylko człowiekiem... Jeden dobry, a inny zły, a jeszcze inny raz taki, raz taki... Mieliliśmy tu bohaterów w lasach, ale mieliśmy też bandytów... Ja byłem jednym z nich... I zostałem, bo reszta już poumieraa... Poczekaj pan!

Odwrócił się, krzywiąc z bólu, i przez chwilę siłował się z szufladą. Gdy ustąpiła, wyciągnął z niej pistolet i położył na stole. Marcin cofnął się odruchowo.

– Nie boi się, nie ma czego. – Starzec uśmiechnął się smutno. – Ta parabelka już nie wystrzeli. Za długo w ziemi leżała.

Dopiero wtedy Marcin zauważył, że broń miejscami jest pordzewiała i nie wygląda najlepiej.

– Ale jeszcze kilkanaście lat temu można z niej było... – Partyzant pogładził rękojeść. – Co jakiś czas ją czyściłem, dbałem... Ale potem już wolałem nie. Była za domem, w ziemi.

– Pan naprawdę...

– Zobacz coś jeszcze! – Ostrożnie wyciągnął nieduży arkusz starego papieru. Czarno-białe, wypłowiałe zdjęcie. Trzech młodych chłopców, już nie dzieci, ale jeszcze nie dorośli. Jeden trzymał karabin, drugi granat, a trzeci bagnet. Wszyscy pozujący z hardymi minami, a za nimi trzy drewniane domy.

– Te domy... – Marcin przyjrzał się uważnie. – Ten jest pana, a...

– Tu teraz mieszka. – Partyzant pokazał palcem. – A to stary dom Terwiczów. To Terwicz, a to Wiesiek.

– Dziadek Renaty?

Kiwnął głową.

– My we trzech niedługo po tym, jak do lasu poszli... Ja to tam mniej, ale oni byli starsi, to się lepiej z dowódcą i resztą dogadywali. Terwicz szczególnie, bo on sumienia nie miał... Złote zęby to rwał, nawet jak kto jeszcze do końca nie umarł... Palce też obcinał, jak obrączka zejść nie chciała albo pierścionek, wcale się dzielić nie chciał... – Zaczął znów drzeć. – Ja tego nie robiłem, ale byłem

przy tym, widziałem i... i pomagałem, panie, tak było... Nie kłamię, że nie... Ale ja się na tym nie dorobiłem, nie mogłem... Wiesiek co miał, to w pierwsze lata po wojnie na krowę i motur wydał, i na księdza, co mu ludzie... – Zakrztusił się. – Ale Terwicz to, panie, warsztat za to złoto postawił, dom wybudował, auto kupił i jeszcze mu zostało...

Rozkaszłał się na dłużej.

– Wiesiek też ziemię chciał dokupić, chciał się budować, ale przez tego Żyda nic mu się nie udało.

– Dziadek Renaty? – upewnił się Marcin.

– Tak, to była taka przykra sprawa. Tam w Sennowie mieszkała rodzina, oni Żyda przez całą wojnę przetrzymali. To jakiś znajomy był tego tam... Jak mu... Makowskiego – przypomniał sobie. – Tak... Starszego, bo dwóch braci było. Oni się z tym Żydem gdzieś poznali przed wojną i ten Makowski ukrył go w takim schowku za ścianą w piwnicy. Od tego Żyda coś tam na jedzenie brał, ale uczciwie. Całą wojnę u nich przesiedział, a jak ruskie przysły, to chciał iść. Makowski bał się, że to jeszcze bezpiecznie nie jest, i namówił, żeby tamten zaczekał. Wtedy ten Żyd już zaczął częściej wychodzić, nie tylko w nocy, i Wiesiek go przywazył. Poszedł do tego Makowskiego, żeby mu Żyda wydał. Strasznie się pokłócili, ale Makowski nie popuścił i Wieśka wygonił... Wiedział, z kim ma do czynienia, i dlatego powiedział temu Żydowi, że musi uciekać, że nocą go wyprowadzi za Sennowo... Dobrze po zmroku ruszyli, ale do drogi nie doszli. Wiesiek już na nich w krzakach czekał i najpierw tego Żyda zastrzelił, a potem... potem Makowskiego. Mówił, że przypadkiem, w szarpaninie... Noc była i myślał, że nikt nie widział, ale widzieli ludzie, jak strzelał i jak kapotę Żydowi pruć, co tam zaszyte było po kieszeniach pakował. Szybko się rozniosło, że żadnej szarpaniny nie było, tylko Makowskiemu od razu w twarz strzelił. Awantura się narobiła i Wiesiek nie wiedział, czy z rodziną nie uciekać, ale w końcu do księdza poszedł, na remont kościoła dał, to go ksiądz proboszcz od ludzi wybronił. Zostali tu, ale przez to wszystko mało co mu zostało... Na motur i jałówkę chudą tylko. Nie to, co Terwiczowi. Ten to długo po wojnie jeszcze się przechwalał przy wódce, że dzieciom i wnukom starczy. Myślę, że może on komu jeszcze podebrał, nie tylko to, co sam... Może podpatrzył, gdzie kto chowa i potem... Nie wiem... Ale ona to wiedziała...

– Ona? – Marcin drgnął.

– Ta młoda, co ją teraz zastrzeloną znaleźli... Może przez to zginęła... – Staruszek był już wyraźnie zmęczony, mówił z coraz większym trudem. – Słyszałem kiedyś, jak się kłócili... Ona wybiegła przed dom, na piechotę na Bożą Wolę szła, do Sennowa... On, ten młody, ją dogonił i nie chciał puścić, ale puścił, jak mu zagroziła, że wszystkim rozpowie, że złoto po Żydach mają... Tak

wrzeszczała, że w domu słyszałem... A potem to ją w tym lesie znaleźli... No, nie od razu... – dodał po namyśle. – Ale to tak jakoś na początku roku się kłócili, jeszcze śnieg był...

– Myśli pan, że to naprawdę? – Marcin czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Ta cała historia, to wszystko, co opowiadał Partyzant, wydawało mu się tak bardzo abstrakcyjne, oderwane od rzeczywistości, że słuchał, jakby starszek opowiadał mu jakąś książkę albo film. Ale teraz nagle to wszystko zaryło brutalnie w rzeczywistości. – Że naprawdę Terwicz może mieć takie rzeczy?

Partyzant wzruszył ramionami.

– Kiedyś miał, może co naprawdę zostało... Może ona widziała albo tylko słyszała, jak każdy w okolicy... Może tylko tak mówiła. – Przetarł twarz dłońmi, jak gdyby chciał odgonić zmęczenie. – Ale mówiła...

– Myśli pan, że... – Marcin wskazał na pistolet – Terwicze mogą mieć broń?

– Jasiek, jak jeszcze żył, to miał... Co z tym zrobili po jego śmierci, nie wiem... Wiesiek też miał... Tu, panie, to wielu miało, nawet tych, co w partyzantce nie byli... Ale jak te odbierania ogłosili i amnestie, to ludzie zanosili na milicję, oddawali, żeby im nikt problemu nie robił... Może oni też pooddawali?

– Pan nie oddał.

– Ja... – Partyzant wpatrywał się w parabelkę. – Ja miałem powód, żeby nie oddawać.

– Jaki? – spytał Marcin cicho.

– Pilnowaliśmy, żeby nikt głośno nie gadał, i ludzie nam to za złe mieli... Na początku we trzech żeśmy chodzili uciszać tych, co za bardzo jęzorem mieli. – Pokiwał głową. – Ale jak Wiesiek z Jaśkiem chcieli spalić stodołę takiemu jednemu szoferowi z Sennowa, to miałem już dość... – Znów słowa przychodziły mu z trudem. – Żałowałem tego, co się w wojnę działo, wszystkiego, co robiłem... Nie chciałem tego dalej. Nikomu grozić ani uciszać. Ja im to powiedziałem i dlatego między nami się skończyła przyjaźń, dlatego zaczęli mnie traktować jak wroga... Ja tu żyłem, panie, między jednym a drugim i oni byli przeciw mnie, i ludzie z okolicy też byli przeciw. Ciężkie czasy... – Pokiwał w zamyśleniu głową. – Zatrzymałem parabelkę, żeby w razie co się bronić. Gdyby oni przyszli po mnie, żeby palnąć im w łeb... Ale nie przyszli, dobrze wiedzieli, że łatwo bym się nie dał...

Spuścił wzrok i odetchnął z trudem, charkliwie.

– Ale... ja tę parabelkę to też... na siebie też trzymałem.

– Nie rozumiem!

Starzec znów spojrzał Marcinowi prosto w oczy, ale tym razem była w tym spojrzeniu jakaś hardość. Wyprostował się, uniósł głowę i przyłożył dłoń do

skroni, jak gdyby chciał zsalutować, ale to nie był salut. Dwa palce wciskały się w skórę, a kciuk sterczał pionowo. Ręka drgnęła, imitując bezgłośny wystrzał.

– Już rozumie? – Partyzant uśmiechnął się smutno. – Chciałem to skończyć zaraz po wojnie, ale żona nie pozwoliła... Wtedy jeszcze nie była, nie byliśmy po ślubie, ale ona chciała i ja też... Kazała obiecać... Inaczej bym pociągnął za spust i zapłacił za wszystko, co wcześniej zrobiłem... A tak musiałem z tym żyć tyle lat...

Milczeli przez dłuższą chwilę.

– Przepraszam, ale... – zaczął Marcin – ten człowiek, którego zaraz po wojnie zabił dziadek Renaty. Mówił pan, że jak się nazywał?

– Makowski.

– Julia Makowska. Tak nazywała się dziewczyna, którą znaleziono w lesie. Ta, która kłóciła się z Terwiczem.

– Julia... – powtórzył cicho starzec, ale nic więcej nie dodał. Pochylił się i wsparł o stół. Oddychał ciężko.

Marcin zrozumiał, że powinien przeprosić i wyjść, pozwolić staruszkowi odpocząć. A jednak nie mógł tego zrobić. Musiał zadać jeszcze jedno pytanie, które cisnęło mu się na usta.

– Przepraszam, ale pamięta pan może Bogusię z Sumienna?

Partyzant spojrział na niego pustym wzrokiem.

– Młodą dziewczynę, która prowadziła krowę... – Słowa przychodziły mu z trudem. – Na skraju lasu ją... dwoma strzałami w plecy. W czterdziestym trzecim, przed Popielówką. Pamięta pan coś takiego?

– Nie. – Partyzant spuścił wzrok. – Nie pamiętam, ale... Jasiek Terwicz lubił w plecy... Strzelał zawsze dwa razy, dla pewności... Kawy nie wypił – zauważył po chwili. – Wystygła.

– No tak – wymamrotał Marcin, sięgając po kubek. Wlał jego zawartość do ust. Niesłodzoną, zwietrzałą i zimną. Tak bardzo niedobłą, że aż się wzdrygnął, z trudem powstrzymując odruch wymiotny. Przełknął jednak i odstawił naczynie.

– Wszystko powiedziałem, jak było. Zrobiłem to... Powiedziałem... – Staruszek wydawał się mówić gdzieś w przestrzeń. Zupełnie jak gdyby zawiesił się w innym czasie i miejscu, gdzieś we wspomnieniach. Ale to była tylko chwila, zaraz otrząsnął się i spojrział na Bieńczuka. Zmarszczył brwi. – Zmęczyłem się, chcę odpocząć. Może iść. – Machnął dłonią.

To było wszystko, ostatnie słowa, jakie Marcin od niego usłyszał. Podziękował niepewnie i poszedł umyć kubek. Gdy wrócił, Partyzant siedział wciąż na tym samym krześle, z dłonią na parabelce i opuszczoną głową. Oddychał miarowo, co jakiś czas pochrapując. W pierwszej chwili Marcin chciał go obudzić i pomóc przejść na tapczan, ale zrezygnował.

Wyszedł cicho.

*

Marcin musiał przytrzymać się furtki, żeby nie upaść. Świeże powietrze, dźwięki i kolory naparły na niego tak nagle, tak kontrastowo wobec stęchłej, szarej ciszy panującej w domu Partyzanta, że nie mógł ich znieść. Były jak fala powodzi bijącej w nadwyrężone wały. Zacisnął zęby, by nie krzyknąć z bólu, i stał tak, aż w pełni wrócił do rzeczywistości. Opowieść staruszka całkowicie go pochłonęła, zapomniał, w jakim był stanie. Teraz jednak wszystko zaatakowało ze zdwojoną siłą. Wystawiało rachunek z odsetkami. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek wcześniej miał takiego kaca, czy musiał mierzyć się z podobnym uczuciem. Ale to nie miało znaczenia, nie liczyło się. Ważne było tylko to, co osiągnął, czego się dowiedział.

Wyszedł na drogę i wolno ruszył w stronę bramy prowadzącej do domu. Jego czaszka pulsowała bólem, jak gdyby miała rozpęknąć się na dwoje, ale mózg pracował. Gdzieś pod oparami zatrucia alkoholowego analizował informacje, układał w coraz czytelniejszą całość. Przeczucia i podejrzenia nabierały realnych, namacalnych kształtów.

– Jezu, Marcin! – Krzyk Renaty wyrwał go z odrętwienia. Dopiero teraz zobaczył ją na schodach. Nim zdołał zareagować, ruszyła biegiem do bramy, w jego stronę.

Nie wiedział, czego się spodziewać, więc po prostu stanął i patrzył, jak się zbliża.

– Martwiłam się! – Zatrzymała się tuż przy nim i wodziła wzrokiem z góry na dół, jak gdyby chciała się upewnić, że jest cały, że żadnej części ciała mu nie brakuje. – Rafał powiedział, że wyszedłeś w nocy, a twój telefon nie... Cholera! – Machnęła rękami. – Wiesz, jak się martwiłam?

– Nie – mruknął.

– Chodź! – Pociągnęła go w stronę domu. – Jak ty wyglądasz...

Renata nic więcej nie powiedziała, nie odezwała się słowem, dopóki nie wziął prysznic i się nie przebrał. Dopiero wtedy dała krótki upust złości. Trochę bluzgów i krzyków o chlaniu, żulerstwie, alkoholizmie i o tym, czego sobie więcej nie życzy, szczególnie w tym domu. Marcin trochę tego słuchał, trochę starał się tłumaczyć, ale nie kłócił się. Nie upierał się, że może pić, gdy chce, ani kretyńsko nie kozaczył. Nie chodziło nawet o tę mniej lub bardziej szczerą troskę, jaka kryła się gdzieś za fasadą słów Renaty, a o coś dużo ważniejszego. Marcin nie chciał się z nią kłócić, bo wiedział, że wkrótce będą musieli bardzo poważnie porozmawiać o Terwiczu i Julii.

Zdawał sobie sprawę, że zlepek alkoholowych opowieści i wspomnień starego, zwariowanego dziadka nie jest najlepszym tropem. Gdyby Kamila próbowała to wykorzystać, Terwicz zaśmiałyby się jej w twarz, a komisarz Wargalski dobrał do tyłka i pogrzebał karierę. Ale w głowie Marcina powoli krystalizował się plan, jak zmienić pijackie niedomówienia w niepodważalne dowody. Jak przyszpilić Terwicza, żeby nie mógł się wyślizgnąć. To było możliwe i całkiem realne, ale Renata musiała mu w tym pomóc.

ROZDZIAŁ 15

SIERPIEŃ 2020
RENATA

To było szaleństwo, czyste szaleństwo. Przynajmniej na pierwszy rzut oka, bo potem... potem Renata nie była już tego taka pewna.

Marcin zmusił ją, by go wysłuchała. To była sobota, kiedy nie musiała iść do pracy. Zrobił to zaraz po śniadaniu, gdy oboje byli już obudzeni na tyle, by rozmawiać poważnie. Kazał jej milczeć, dopóki nie skończy, zabronił przerywać. W pierwszej chwili nie zamierzała mu się podporządkować, ale im dłużej mówił, tym bardziej czuła, jak słowa więzły w jej gardle, i w końcu siedziała tylko, starając się utrzymać na krześle, bo cały świat wydawał się fikać kozła i wyrywać podłogę spod stóp.

To była długa opowieść. O Julii, o Rafale i tej policjantce, której Renata wyraźnie nie doceniła, a która nieźle musiała zamieszać Marcinowi w głowie. Opowieść o strzępkach faktów, domysłach i budowanych na nich założeniach. W większości całkiem spójnych i niebezpiecznie trafnych. Dlatego skronie Renaty pulsowały nerwowo, dłonie wilgotniały od potu, a serce waliło w piersi. Wydawało jej się, że za chwilę Marcin wskaże na nią palcem i powie, co zrobiła. Chwilami miała ochotę zerwać się z krzesła, wybiec z domu i nie wrócić albo krzyknąć, że to nieprawda, że się myli.

Tak właśnie postąpiłaby dawna Renata. Ta, która odeszła na Śląsku. Ale ona nie była już nią, nie zrobiła więc nic głupiego, tylko czekała na dalszy ciąg, na to, do czego to wszystko zmierza.

Marcin mówił i mówił, ale nie wskazywał na Renatę palcem, nic jej nie zarzucał. Domyślając się wielu rzeczy, wydawał się prześlizgiwać po prawdzie, pomijając we wszystkim jej rolę. Może naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że brała w tym udział, a może robił to umyślnie. Niczego nie była już pewna. Gdy na koniec zapytał, czy ona „w to wchodzi”, czy mu pomoże, była tak wykończona tym napięciem i tak zestresowana, że odpowiadając, nie poznała własnego głosu.

– Tak, Marcin! – zabrzmiało obco i piskliwie. Przestraszyła się, że on uzna to za podejrzenie, domyśli się, że coś przed nim ukrywa, ale nic takiego się nie stało. Poczowała ulgę. Była bezpieczna.

Dopiero później, wieczorem, w łazience, gdy zamknęła za sobą drzwi na klucz, zanurzyła w ciepłej kąpeli i odcięła od wszystkiego, zrozumiała, że popełniła błąd. Dopiero w kojącym szumie wody, w zapachu piany i poczuciu bezpieczeństwa, gdy poranna rozmowa zaczęła w końcu układać się we właściwych przegródkach w głowie, Renata zdała sobie sprawę ze straconej szansy, zmarnowanej okazji, aby wyznać Marcinowi prawdę, by oczyścić swoje sumienie.

Marcin miał oczywiście rację i w tym, że Julia podkradała różne środki z apteki, i w tym, że sprzedawali je z Rafałem od czasu do czasu. Miał też rację, mówiąc, że między Terwiczem a Julią się nie układało, że narastał między nimi konflikt i ostatecznie Terwicz mógł mieć powody do zemsty. Mylił się jednak, myśląc, że powodem mogła być ciąża i to, że Julia wzięła leki wczesnoporonne, że usunęła płód. Bo oczywiście Julia zdobyła te tabletki, ale nie dla siebie.

Renata czuła, że powinna wyznać Marcinowi prawdę, powiedzieć, że zaszła z nim w ciążę i że ją zakończyła. Świadomie zrezygnowała z dziecka, którego tak bardzo pragnął, ich dziecka. Czuła, że powinna to zrobić, ale nie potrafiła. Nie wierzyła, że istnieją słowa, które pozwoliłyby Marcinowi zrozumieć, dlaczego wzięła te leki, i nie chciała aż tak go ranić. Tym bardziej że to nie miało żadnego znaczenia. Nie dla całej tej historii, bo nawet myśląc się w szczegółach, w ogólnym zarysie Marcin mógł mieć rację. Rafał nie potrzebował ciąży, miał przecież inne powody, by czuć żal do Julii, i naprawdę mógł myśleć o tym, aby ją skrzywdzić.

Tak, po porannej rozmowie Renata musiała przyznać sama przed sobą, że wieloletnia znajomość i uczucie, które kiedyś łączyło ją z Rafałem, wpłynęły na to, jak go postrzegała. Jeszcze niedawno wciąż był dla niej tym buńczucznym nastolatkiem z odrobiną elektryzującego szaleństwa w oczach. Tym, który stawał z pięściami naprzeciwko starszych i większych od siebie, jeśli tylko odważyli się dokuczać Renacie. Jeśli próbowali ją wyzywać, popychać lub opluwać za to, co robił jej dziadek... Co robili ich dziadkowie. Był tym chłopcem, bez którego nie

przetrwałyby szkoły. To dlatego jeszcze wczoraj wydawał jej się zupełnie niegroźny. Szalony na pokaz, lubiący być w centrum uwagi, ale w głębi poczciwy. Poczciwy i dobry, bo przecież tak długo się nią opiekował... A ona z wdzięczności mu się oddawała, odkąd skończyła dwanaście lat. Zawsze wydawało jej się, że to uczciwy układ, że w ten sposób dziękuje mu za przyjaźń. Wtedy nie zastanawiała się, dlaczego nigdy nie poczuli do siebie nic więcej, czemu to był tylko luźny układ.

Oczywiście Marcin nie wiedział o tym, co działo się przed laty, ale nie musiał. Argumenty, które przedstawił, wystarczyły, aby Renata spojrzała na Terwicza z odmiennej perspektywy.

To był dla Renaty szok, bo przecież cały czas wydawało jej się, że Julia i Rafał tworzą taką przekomarżającą się parę, która funkcjonuje w świecie czułych tarc i namiętych złościwości. Miała nawet żal do Julii, że nie odpuści Rafałowi i ciągle musi pozować na hardą materialistkę. Tymczasem to nie ona jego, a on ją traktował przedmiotowo, miał nieszczerą intencję, a ona się do tego dopasowała, po prostu nie dawała się stłamsić, nie pochylała karku i traktowała go tak samo. Byli jak kosa i kamień, wciąż krzeszące o siebie skry.

Renata była zszokowana, bo gdy odrzuciła ten wyimaginowany filtr, przez który patrzyła na Rafała, nie tylko jego związek z Julią okazał się zupełnie inny, niż dotychczas sądziła, ale i to, co działo się wcześniej. Ich przyjaźń, zamiary, pragnienia i intencje.

Całe ich życie nagle stało się zupełnie inne.

Jej życie.

*

Nie usnęła, a tylko utknęła gdzieś pomiędzy ciepłem wody a własnymi myślami, odrywając się od wszystkiego, co przytłacza, i tracąc poczucie czasu.

Owszem, ten dzień i rozmowa z Marcinem były trudne i bardzo męczące. Jej życie po raz kolejny wyjątkowo się pogmatwało i dawna Renata z pewnością trzęsłaby się w wannie ze strachu, rozpamiętywała bóg wie co i spadała w objęcia ukochanej depresji, by uzalać się nad tym, jak zły jest otaczający ją świat i jak bardzo czuje się nieporadna i skrzywdzona. Ale dawna Renata już odeszła, a nowa potrafiła pogodzić się z tym, że Rafał i Julia byli, jacy byli, ona nie powiedziała tego, czego nie powiedziała, a Marcin wiedział, co wiedział, i planował to, co planował.

To były fakty i życie toczyło się dalej, nawet jeśli w jakiejś części wywrócone do góry nogami, nawet jeśli nie lepsze niż kilka dni wcześniej, to na pewno nie gorsze niż na Śląsku. Owszem, wszystko zmieniło się tak nagle, ale nowa Renata

wiedziała, że zmiany tylko wtedy są złe, gdy nie można się do nich dostosować. A ona mogła, mogła i chciała.

Nie miała wpływu na przeszłość, ale mogła decydować o przyszłości. W końcu była świadoma, czego chce i na co zasługuje. Na przykład tego wieczora zasługiwała na ciepłą kąpiel, odprężenie i relaks. Na trochę przyjemności po trudnym dniu.

Cichy dźwięk wyrwał ją z błógiego odrętwienia, przykuł uwagę.

Klamka powoli przekręcała się w drzwiach, aż dotarła na sam dół.

– Zamknięte na klucz! – krzyknęła.

W głosie Renaty nie było złości, tylko zaskoczenie. Nie spodziewała się, że Marcin będzie próbował wejść, nie po tym wszystkim, co się między nimi działo przez ostatni czas.

Dawniej, gdy jeszcze się kochali, mieli taki zwyczaj, partnerską zabawę. Gdy Renata szła się kąpać, Marcin czekał, aż się odpręży, i sprawdzał drzwi. On wiedział, że ona je zamyka, a ona wiedziała, że on przyjdzie i sprawdzi. Dlatego czasami nie przekręcała klucza w zamku, kiedy miała ochotę, zostawiała otwarte.

– Poczekaj! – krzyknęła, rozglądając się za ręcznikiem.

Ten dzień był bardzo męczący, ale nie tylko dla niej. Dla niego też. Oboje zasługiwali na to, aby odpocząć i choć na chwilę zapomnieć.

Przekręciła klucz i cofnęła się kilka kroków.

– Wejść!

Klamka znów ruszyła w dół. Powoli i niespiesznie. Drzwi ustąpiły z cichym kliknięciem, otworzyły się, wpuszczając do zaparowanej łazienki powiew chłodniejszego powietrza. Marcin stanął na progu i patrzył na Renatę bez słowa. Czekał.

Ona patrzyła na niego, po raz kolejny upewniając się, że po łączącym ich uczuciu nie pozostał żaden ślad, że już w ogóle go nie kocha. To był fakt, z którym nie musiała się godzić, bo zrobiła to już dawno. Nie kochała swojego męża i nie chciała się z nim zestarzeć, ale to nie znaczyło, że nie uważa go za atrakcyjnego mężczyznę. Atrakcyjnego na tyle, by miło spędzić z nim czas.

Puściła ręcznik, pozwalając, by spadł na podłogę, by odsłonił jej wilgotne, zgrabne ciało. Z satysfakcją zauważyła, jak na to zareagował.

– Wejść, Biśku – powtórzyła.

*

Gdy obudziła się w niedzielę, Marcin już nie spał. Słyszała, jak krząta się na dole, a potem wchodzi po schodach na piętro. Na chwilę przed zamknięciem powiek zobaczyła, jak staje w drzwiach, ubrany w swój strój do spacerów.

Marszów – poprawiła się w myślach. Przez chwilę czekał, może wahał się, czy jej nie obudzić, ale w końcu odwrócił się i cicho wyszedł. Niedługo potem usłyszała skrzypnięcie furtki, ale mimo to nie otworzyła oczu, nie miała jeszcze ochoty wstawać. Było jej dobrze.

Marcina zobaczyła znowu koło południa. Wrócił spocony i nieobecny. Zdawkowo wyjaśnił, że musiał się upewnić co do miejsca, które wybrał, i przemyśleć wszystko jeszcze raz, że stara się uprościć plan.

Zaraz po obiedzie, który zjedli w milczeniu, poprosił ją o telefon, żeby zadzwonić do Kamili. Rozmawiał długo, prawie pół godziny. Renata nie słyszała, o czym, bo wyszedł z telefonem z domu. Przez okno widziała, jak spaceruje po podwórku, co jakiś czas zakrywając dłonią usta. Pewnie powinna być zazdrosna o to, że jej mąż rozmawia z inną kobietą, bez względu na temat i sytuację. Powinna być, ale nie była.

Wtedy, gdy ta policjantka pojawiła się po raz pierwszy w ich domu, Renata od razu zauważyła, jak patrzy na Marcina. Wtedy zakłuło ją w piersi, a potem jej myśli przez kilka dni dryfowały między irytacją a niepokojem. Na początku zupełnie nieświadomie, a potem, gdy dotarło do niej, co się dzieje, poczuła się zupełnie skołowana. Przecież była pewna, że nic już do Marcina nie czuje, że stał się jej zupełnie obojętny, ale te nagłe emocje wydawały się temu przeczyć. Dlatego musiała się upewnić, sprawdzić, czy sama siebie nie oszukuje, czy nie popełnia błędu. Bo może to wcale nie było tak, że nowa Renata już nie kochała męża, może po prostu potrzebowała czasu, aby odkryć to uczucie na nowo. Dała mu więc szansę, zrobiła wszystko, by znów się w sobie zakochali. Zrobiła tyle, ile mogła. Bez skutku.

Dopiero później zrozumiała, że była w błędzie. Że to ukłucie zazdrości wcale nie wiązało się z miłością, a tylko z przyziemnym instynktem rywalizacji między dwiema kobietami, w której Marcin tak naprawdę się nie liczył, i równie dobrze mogłoby chodzić o miejsce parkingowe czy awans.

Nie zauważyła, że skończył rozmawiać, dopóki nie stanął nad nią i nie oddał telefonu. Podziękował i poszedł na górę, a ona została w kuchni, pozwalając, by rozgrzany długą rozmową aparat stygł wolno w jej dłoni. Sama nie wiedziała dlaczego, lecz gdzieś w głębi wciąż czuła echo wyrzutów sumienia. Niewidoczny cień wbijający się w delikatną tkankę osobowości. Ukrywała przed Marcinem tak wiele rzeczy, że czasem się wśród nich gubiła, tracąc poczucie tego, co było prawdą, a co pozorem. Naturalnie nic nie brało się z jej złej woli, nie było wyrachowaną grą, a jedynie instynktowną walką o przetrwanie w życiu i w związku. W pewnym sensie wszystko, co robiła, robiła dla ich wspólnego dobra.

Renacie ciągle powtarzano, że ludzie powinni być dobrzy, moralni i prawdomówni, że powinni się skupiać na potrzebach innego człowieka i szanować się nawzajem, tylko jakoś nigdy tego nie doświadczyła. Nikt, kogo znała, taki nie był, a gdy próbowała sama, było jeszcze gorzej. Nawet wtedy, kiedy jeden jedyny raz wyrwała się matce w kościele i pobiegła do księdza, który mówił o dobroci płynącej od Boga i o tym, jak bardzo kocha wszystkie dzieci. Ksiądz kazał matce wyprowadzić ją z kościoła, żeby nie przeszkadzała. Nie chciał słuchać, że ona się tylko chciała przytulić, że chciała poczuć tę dobroć i miłość. Nikt nie chciał słuchać.

Na zawsze zapamiętała ciszę i wyczuwalny w powietrzu chłód, gdy matka, czerwona ze wstydu, ciągnęła ją po podłodze w stronę wyjścia. Zapamiętała łzy spadające na kamienną posadzkę i milczące, niezadowolone twarze, wpatrzone w nią z wyrzutem, bo śmiała przerwać mszę. Była ogromnie zawiedziona, a ten zawód zmieniał się w obojętność. Mogła mieć może osiem, może dziewięć lat i już było jej wszystko jedno. Nie przejmowała się, że zaraz dostanie lanie, że zostanie ukarana. To nie miało żadnego znaczenia, bo nie chciała już żyć. Nie chciała, ale żyła, biernie płynąc przez kolejne lata, które okazały się jeszcze gorsze, gdy zaczęła się szkoła i przyszło dojrzewanie.

Renata długo nie była pewna, czy te wszystkie rzeczy, jakie ludzie mówią o dobru i miłości, są jedną wielką bzdurą, czy tylko ona urodziła się za karę i nie miała do nich prawa. Jej świat składał się z niezasłużonego lęku i bólu, wydawał się nie mieć żadnej wartości.

A jednak przeżyła, dorosła i wyrwała się z tego piekła dzięki pierwotnemu instynktowi przetrwania, który determinował jej wybory i decyzje. Temu samemu atawistycznemu instynktowi, który zmusza zwierzę złapane w pułapkę do tego, by odgryzło sobie łapę, a młodą dziewczynę skłaniało do brania do buzi za szkołą, gdy jest szansa, by w ten sposób uwolnić się od prześladowcy lub zyskać czyjąś przychylność i ochronę.

Tak, przetrwała, instynktownie robiąc i mówiąc różne rzeczy, a inne ukrywając, jeśli tylko wewnętrzny głos podpowiadał, że to korzystne. Tak właśnie robiła, ale wcale tego nie żałowała. Nie żałowała, bo nawet jeśli ten instynkt zabrał dawnej Renacie godność, to nowej dał życie.

A to było bezcenne.

*

Renata kierowała się instynktem, ale czuła wpojone przez matkę wyrzuty sumienia i potrzebę, by zmyć je z siebie, chociaż częściowo. Nie chciała być złym człowiekiem, nie chciała, żeby Marcin ją za kogoś takiego uważał.

Naturalnie nie mogłaby mu wyznać wszystkiego, na pewno nie teraz, gdy pochłonięty był śmiercią Julii, gdy planował, jak zdobyć dowody winy Terwicza. Nie, teraz nie mogłaby mu tego zrobić, podkopać morale i odciągać uwagi. W przyszłości? Kto wie... Ale na pewno nie teraz.

Było jednak coś, co nie dotyczyło ich obojga, a przynajmniej nie bezpośrednio. Coś, co przez tyle lat ukrywała przed nim i przed całym światem. To było jej przekleństwem, ale w końcu mogła się od tego uwolnić, mogła mu powiedzieć.

Wyrwać cierń.

Znalazła Marcina w pokoju na górze. Siedział nieruchomo w fotelu i wpatrywał się w okno. Zauważył jej obecność dopiero po chwili.

– Myślę o tym, co powiedział Partyzant... – wyjaśnił wolno, choć wcale o to nie pytała. W jego spojrzeniu dostrzegła coś, co ją wystraszyło. Jakiś smutek, nieobecny i obcy. – O tym, co działo się podczas wojny. Co robili z Terwiczem.

– Marcin, muszę ci coś powiedzieć. Ja... – Gdy tu szła, wydawało jej się, że pójdzie łatwo, że po prostu to powie, ale teraz słowa więzły w gardle. Musiała wkładać dużo wysiłku w to, by wreszcie je opuściły. – Mój dziadek też był... Oni razem we trzech to robili.

– Wiem.

To ją zaskoczyło. Urwała w pół zdania, a on odezwał się po chwili spokojnym głosem:

– Wiem o tym, ale to nie jest istotne, liczy się tylko Terwicz.

– Marcin... – Była zdezorientowana, bo przecież szła tu, by zrzucić z siebie brzemię, by się oczyścić, a nagle okazało się, że to zupełnie niepotrzebne, bo ta wiedza nie ma dla niego znaczenia. – Marcin, to była największa tajemnica mojej rodziny, najbardziej wstydliva, ja przez całe życie...

– Nieważne! – uciszył ją. – To już nieważne, ani dla mnie, ani dla ciebie – podkreślił. – Nic już o tym nie mów, dobrze?

– Jest jeszcze coś... – Przygryzła wargę, niepewna, czy wystarczy jej odwagi. Czuła jednak, że nie może milczeć, nie może drugi raz zmarnować szansy, by to wreszcie wyznać. – Marcin, musisz jeszcze wiedzieć coś o nas, o mnie i o tobie... Musisz wiedzieć, że ja...

– Cicho! – Podniósł dłoń. – Nic nie mów, proszę!

– Muszę ci to powiedzieć! – prawie krzyknęła, czując przyływ złości.

– Nie, nie musisz, przynajmniej nie teraz. – Pokręcił głową. – Teraz mamy coś do zrobienia, coś dużo ważniejszego od nas.

– Nie rozumiesz, ja muszę to wyznać. – Zadrzała z emocji, które chciały znaleźć dla siebie ujście.

– Posłuchaj, Renata! – przerwał jej, podnosząc głos. Zaraz się jednak opanował i kontynuował spokojnie: – Domyślam się, co chcesz powiedzieć, ale

nie mów, to naprawdę teraz nie ma znaczenia. Ja wiem, że między nami... Że od dłuższego czasu nam się nie układa, ja już to rozumiem, naprawdę, i nie mam do ciebie żalu.

– To jest dla mnie...

– Posłuchaj! – Nie pozwolił jej skończyć. – Musimy skupić się na tym, co ważne, a dopiero jak już będzie po wszystkim, jak już Terwicz dostanie to, na co zasłużył, wróć na Śląsk. Mam już dość tego miejsca i wszystkiego. Dlatego po prostu wyjadę, bez żadnych pretensji, a ty... ty zrobisz, co będziesz chciała. Albo przyjedziesz tam do mnie i dopiero wtedy będziesz mi mogła wyznać, co chcesz, na Śląsku – podkreślił. – Albo zostaniesz tutaj, w swoim domu. Zrobimy tak, jak będziesz chciała. Bez żadnej urazy, rozumiesz?

Przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy, szukając jakiegoś fałszu, ale nie znalazła. Nie po to tu przyszła i jeszcze przed chwilą była zła, że nie chce dopuścić jej do głosu, ale teraz to straciło znaczenie. Marcin dał jej więcej, niż się spodziewała.

– Dziękuję. – Skinęła głową.

– Proszę. – Uśmiechnął się kącikami ust. – A teraz skupmy się na tym, co trzeba.

*

Tego dnia Renata wyszła z pracy pierwsza. Szybko przeszła do samochodu i opuściła parking w chwili, gdy w drzwiach urzędu zamajaczyli kolejni ludzie. Nie chodziło o to, że gdzieś się śpieszyła, ale o świadomość, że ma w torebce coś, czego potrzebował Marcin, czego oboje potrzebowali, aby zrealizować jego plan. Z tego względu wolała uniknąć parkingowych pogaduszek czy innego zawracania głowy. Nie chciała czuć się źle, ściskając pod pachą torebkę, której zawartość pożyczyła, wyniosła bez pytania kogokolwiek o zgodę.

Tego dnia musiała jeszcze załatwić jedną sprawę. Uprzedziła Marcina, że wróci później, ale nie mówiła mu dlaczego. Wolała, aby nie wiedział, z kim chce się spotkać.

Im dłużej Renata o tym myślała, tym bardziej wątpiła, czy jest cokolwiek winna Julii, czy z jej powodu powinna pomóc w zdobyciu dowodów obciążających Rafała. W gruncie rzeczy była przekonana, że Julia dostała dokładnie to, na co zasłużyła, a Terwicz mógł nie mieć z tym nic wspólnego. Ale mógł też mieć, bo argumentacja Marcina wydawała się logiczna i spójna. W innej sytuacji Renata nie miałaby żadnych wątpliwości, ale jej ojcu też się wydawało, że głosy w jego głowie są prawdziwe, a na piętrze czyha coś złego. Dlatego nie

była pewna, czy wierzyć Marcinowi. Czy te rzeczy, które opowiadał o Rafale i podejrzeniach policjantki, są prawdą, czy tylko je sobie wymyślił.

Co jakiś czas dolewała mu przecież do posiłków neuroleptyki. Te, które zostały po ojcu. Robiła tak za każdym razem, kiedy ją irytował, gdy miała wrażenie, że zaczął się czegoś domyślać, albo gdy po prostu chciała mieć święty spokój. To świetnie działało, tyle że mogło mieć skutki uboczne, wpływać na pracę jego mózgu. Renata była laikiem, nie znała się na takich sprawach, więc zupełnie nie potrafiła ocenić, czy rzeczywiście.

Nie była nic winna Julii, ale była winna Marcinowi... Już tylko za te leki, za nic więcej. Dlatego chciała wziąć w tym udział, pomóc mu, ale wcześniej musiała zyskać pewność, że to ma sens.

Nie wiedziała, czego się spodziewać po tym spotkaniu, dlatego wybrała parking obok stacji paliw, dwa kilometry za Sennowem. Miejsce idealne, by rozmawiać swobodnie, ale pozostając wciąż na widoku, bo na stacji zawsze ktoś był, a to dawało poczucie bezpieczeństwa. Zaparkowała na skraju pustego parkingu i wyłączyła silnik. Nie musiała długo czekać. Kilka minut później tuż za nią zatrzymał się niewielki samochód. Słońce odbijające się w szybie oślepiało, więc Renata nie mogła dostrzec, kto siedzi za kierownicą i czy przyjechał sam, a raczej czy przyjechała.

– Tak, to prawda – przyznała Kamila, gdy już wysiadły i przełamały pierwsze lody. Gdy Renata odważyła się bez ogródek zapytać o sprawę Terwicza i o jej układ z Marcinem.

W pierwszej chwili musiało to wyglądać dziwnie. Dwa auta i dwie młode kobiety. Jedna w garsonce, na szpilkach, a druga ubrana na sportowo. Stojące naprzeciw siebie i próbujące znaleźć wspólny język, gdzieś pomiędzy niezręcznością sytuacji a zaciekawieniem. W pierwszej chwili, bo kilkanaście minut później, opierały się obie o maskę samochodu Kamili i rozmawiały swobodniej.

– To prawda – powtórzyła policjantka. – Wargalski nie ma pomysłu i może uwalić tę sprawę, a mnie Rafał Terwicz pasuje na sprawcę, myślę, że mógł zabić. Przepraszam, jeśli uważa pani inaczej... jeśli uważasz – poprawiła się, bo zdążyły już przejść na „ty”. – To aktualnie jedyny obiecujący trop, jaki mam, i jeśli da mi naprawdę solidny punkt zaczepienia, będę mogła go pociągnąć. Mam cichy układ z szefem i z prokuratorem, więc nie będą robić problemów i odsuną Wargalskiego. Tylko to musi być naprawdę mocna rzecz, bo inaczej Wargalski mnie zniszczy, a oni nie kiwną palcem.

– Marcin chce nagrać, jak Terwicz się przyznaje.

– To byłoby ekstra. – Policjantka pokiwała głową. – Tylko pod warunkiem, że żaden biegły nie będzie mógł podważyć, że to głos Terwicza.

– Marcin chyba dobrze to obmyślił... – Renata zawahała się, niepewna, czy powiedzieć policjantce, co planują.

Kamila musiała się tego domyślić, bo energicznie pokręciła głową.

– Nie chcę nic wiedzieć – zastrzegła. – I tak już przegięłam pałę z wciąganiem go w to wszystko.

– Nas – poprawiła ją Renata. – Obiecałam Marcinowi, że mu pomogę.

– Dlaczego?

Renata wzruszyła ramionami. Przejeżdżająca drogą ciężarówka zagłuszyła wszystko rozklekotaną naczepą. Chwilę trwało, nim zapadła cisza.

– Nie, poważnie. – Kamila nie zamierzała ustępować. – Przepraszam, że tak bez ogródek, ale rozmawiamy o takich rzeczach, że już możemy olać konwenanse. – Uśmiechnęła się wymuszenie. – Poważnie, dlaczego chcesz mi pomóc, skoro ty i on... No wiesz... – Jednak nie przeszło jej to przez gardło.

Renata spojrzała na policjantkę z sympatią. Zaczynała żałować, że nie poznały się wcześniej.

– Jestem mu to winna. To, że nam nie wyszło, nie ma tu nic do rzeczy. Marcin to porządny facet...

Sama się zdziwiła, że to powiedziała. Że przyszło jej to tak naturalnie i bez emocji. Wtedy po raz pierwszy naprawdę to poczuła. Po raz pierwszy nie musiała się oszukiwać i kryć niepewności. Była wolna!

– Wiesz... – podjęła po chwili milczenia – kiedy go poznałam, oboje byliśmy takimi dzieciakami po przejściach, których nikt nigdy nie rozumiał ani nie kochał. Oboje potrzebowaliśmy kogoś, kto pomoże nam poukładać życie. Po prostu potrzebowaliśmy siebie nawzajem. – Uśmiechnęła się. – Teraz jesteśmy dorośli i to zwyczajnie nie działa, już się nie potrzebujemy.

– A co na to...

– Marcin? – Renata weszła jej w słowo. – Oboje potrzebowaliśmy trochę czasu, żeby dojrzeć do takiej decyzji, i już chyba... Już jestem pewna, że oboje świetnie to rozumiemy. Bez żadnych pretensji i żalu.

– Aż takiej bezpośredniości się po tobie nie spodziewałam – przyznała policjantka. – Nie wiem, czy to mi bardziej imponuje, czy przeraża.

– Życie potrafi zaskakiwać, prawda? – Renata mrugnęła porozumiewawczo i wstała. – Dziękuję, że zgodziłaś się na to spotkanie, i cieszę się, że jesteś w porządku.

– Ty też.

– Trzymaj kciuki jutro wieczorem. Jeśli się uda, to w niedzielę będziesz wiedziała, czy masz rację w kwestii Rafała, czy nie. – Ruszyła w stronę swojego

samochodu, otworzyła drzwi i odwróciła się do Kamili. – A jak to się już skończy, to wiesz... Marcin to naprawdę w porządku facet.

– To ci nie przeszkadza?

– Mnie już nic nie przeszkadza.

Wsiadła i uruchomiła silnik. Odjechała, nie patrząc we wsteczne lusterko, nie widząc, jak policjantka z niedowierzaniem kręci głową.

*

Jeszcze niedawno Renata czekała na okazję, by zatrzymać się przy kościele, znaleźć księdza i uspokoić sumienie. Teraz jednak minęła okazały budynek, nie zwalniając.

Wracała do domu zadowolona, bo wszystko w końcu zaczęło nabierać sensu. Owszem, wcześniej okłamywała i wykorzystywała Marcina, by jego kosztem zbudować sobie szansę na przyszłość, ale już nie musiała czuć się winna z tego powodu. On sam powiedział przecież, że nie ma do niej żalu ani pretensji i że każde z nich pójdzie w swoją stronę. Innymi słowami oczywiście, ale taki właśnie był sens. Dlatego ucieszyła się, że z Terwiczem nic sobie nie roił i że będzie mogła mu pomóc. Chciała w ten sposób wynagrodzić krzywdy, które ciążyły jej na sumieniu.

To właśnie wprowadziło Renatę w świetny nastrój i dlatego machnęła ręką na babską rywalizację, dlatego zasugerowała Kamili, że będzie sobie mogła Marcina wziąć albo chociaż spróbować, gdy już będzie po wszystkim. Nie powiedziała tego głośno, ale pomyślała, że Marcin zasługuje na taki bonus, pożegnalny prezent.

Poza tym Renata była zadowolona jeszcze z jednego powodu. Wcześniej myślała, że będzie zmuszona siedzieć tu, dopóki nie sprzeda domu, co mogło trwać miesiącami. Ta świadomość ją dołowała, bo przecież marzyła już tylko o tym, by przekreślić przeszłość grubą kreską i zacząć wszystko od nowa. Tymczasem dom był ostatnim, co ją trzymało. Brzydkim kłocem wciskającym ją w głąb traumatycznej przeszłości.

Dlatego tak się ucieszyła, gdy rano, przeglądając portale informacyjne, trafiła na artykuł o nieruchomościach. Dzięki niemu zrozumiała, że zamiast angażować się osobiście, lepiej zrobi, podpisując umowę z jakąś agencją. Owszem, będzie musiała pogodzić się z prowizją, ale za to uwolni się od brzemienia i jedyne, co zostanie jej na głowie, to cierpliwie czekać na przelew. Im dalej stąd, tym lepiej.

To jednak było tylko jedną z możliwych wersji nadchodzącej przyszłości. Na razie dom wciąż był jej i dlatego poczuła ukłucie niepokoju, widząc zaparkowaną przed nim karetkę z włączonymi sygnałami świetlnymi.

Niepokój momentalnie zmienił się w strach, a głowę Renaty wypełniły upiorne wizje nieprzytomnego, rannego, krwawiącego Marcina. Tak plastyczne, że wstrzymała oddech i odruchowo zacisnęła dłonie na kierownicy, by nie zjechać z jezdni. Wyobraźnia odtworzyła w przyspieszonym tempie wizję Rafała, który zakrada się do ich domu i atakuje jej męża nożem albo siekierą, albo strzela do niego, aż pękają szyby w oknach, a krew obryzguje ścianę. Renata bezwiednie nacisnęła na hamulec, nie patrząc we wsteczne lusterka, nie sprawdzając, czy coś przypadkiem nie jedzie za nią i nie uderzy w tył samochodu.

Nic jednak nie jechało, a zamiast tego karetką zamrugała kierunkowskazem i ruszyła w jej stronę. Modulowany dźwięk syreny rozdarł powietrze, a stroboskopowe lampy zatańczyły w oczach Renaty zimnym światłem strachu.

– Jezu! – jęknęła z ulgą, gdy ambulans był już na tyle blisko, że odsłonił dom i furtkę, przy której stał Marcin. Cały i zdrowy.

– Zabrali Partyzanta – wyjaśnił, gdy zaparkowała. – Poszedłem sprawdzić, jak się czuje, i znalazłem go nieprzytomnego w kuchni. Ratownik powiedział, że coś mu tam musiało pęknąć po operacji i że jest źle. Wiozą go do Kielc, od razu na stół, ale...

– To dobrze! – weszła mu w słowo. – Ulżyło mi, bo bałam się, że to tobie coś się stało. Idziesz? – spytała, kierując się do drzwi.

Nie odpowiedział, ale poszedł za nią.

*

Karetką przemknęła obok parkingu na Popielówce, ignorując ograniczenie prędkości i stojący na zjeździe fotoradar. Zostawiając za sobą cmentarny pomnik ofiar hitlerowskiego terroru i ukryte w lesie tablice z imionami i nazwiskami tych, którzy takiego pomnika nie mieli. Pędziła na sygnale w kierunku Kielc.

Gdy zniekształcony przez radio głos dyspozytora potwierdzał gotowość szpitala, z tyłu toczyła się walka o utrzymanie przy życiu starego człowieka, o każde uderzenie jego serca, o czas. To, że nie ma go już prawie wcale, ratownicy wiedzieli od początku, od chwili gdy weszli do starego domu. Wiedział to też Marcin, gdy drżącą dłonią wybierał 112, dziękując w duchu opatrności, że rano znalazł swój stary telefon i że zabrał go ze sobą.

Zabrał coś jeszcze. Nim karetką dotarła na miejsce, ze zdrętwiałej dłoni Partyzanta wyjął ostrożnie pistolet i z braku lepszego pomysłu schował go za żeliwnymi drzwiczkami wygasłego pieca. Tylko tyle mógł zrobić.

Karetką pędziła, torując sobie drogę stroboskopem sygnałów świetlnych i wwiercającą się w uszy syreną. Z każdą chwilą, z każdym kilometrem zbliżając się do Kielc i szpitala, w którym czekał już stół operacyjny. Jeszcze przejechała

na czerwonym, jeszcze wyprzedziła ciąg aut na podwójnej ciągłej i z dużą prędkością minęła tablicę z nazwą miasta, a potem nagle zaczęła zwalniać. Sygnał umilkł, światła zgasły.

Nie było już się po co spieszyć.

ROZDZIAŁ 16

SIERPIEŃ 2020
MARCIN

Las w nocy wyglądał zupełnie inaczej, niż Marcin to sobie wyobrażał. Obco i tajemniczo, ale nie tą intrygującą tajemniczością, którą chciałoby się eksplorować, a odpychającą i wrogą, sprawiającą, że serce biło mocniej, a każdy dobiegający z mroku dźwięk przyprawiał o gęsią skórkę.

Gdy tylko zimny blask ledowej latarki prześlizgnął się po pniach i sięgających ponad ścieżkę konarach, Marcin zrozumiał, że popełnił błąd, że źle wszystko wymyślił. Ale było już za późno na zmianę planów, za późno, żeby się wycofać. Musiał iść dalej, wprost w gęstniejącą klaustrofobicznie czeluść lasu.

Otumaniony alkoholem mózg podsunął mu wspomnienia bajki, którą oglądał jako dziecko na starym, kineskopowym telewizorze stojącym na wysokiej szafce w bidulu. Jedna z postaci w tej bajce była ubrana w wełniany sweter. Nie spostrzegła, że o coś zahaczyła, i szła dalej, a sweter się pruć. Włóczka ciągnęła się długo, aż opadła na ziemię, gdy sweter spruć się całkowicie. Postać była goła. Marcinowi wydawało się, że z nim jest tak samo, że wychodząc z domu, zahaczył o furtkę i łączyła go z nią niewidzialna nić, która wydłużała się z każdym krokiem. Tyle że to nie była włóczka swetra, a odwaga i pewność siebie. Miał tylko nadzieję, że gdy dotrze na miejsce, coś jeszcze z nich zostanie, że nie będzie zupełnie nagi.

W jednej ręce trzymał latarkę, a w drugiej telefon. Ekranem do góry, by widzieć czerwoną strzałkę nawigacji, wskazującą, dokąd ma iść. Jasny prostokąt

ekranu oświetlał jego twarz bladą poświatą, odbijał się w rozszerzonych źrenicach.

Nie odwracał się, nie musiał. Rafał i Renata robili dość hałasu, by miał pewność, że nie zostają w tyle.

*

Wyciągnięcie Terwicza z domu okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Podstawą było wlanie w niego odpowiedniej ilości alkoholu. Oczywiście pili obaj, tak jak zwykle, ale tym razem Marcin się do tego przygotował. Odpowiednie ćwiczenia i tłusty posiłek tuż przed libacją sprawiły, że upijał się wolniej. Starał się też omijać kolejki albo wylewać alkohol, gdy Terwicz nie patrzył. Oczywiście udawał, że jest wstawiony, że bierze go szybciej. W ten sposób jeszcze nakręcał Rafała, żeby dotrzymał mu tempa. Obserwował go, a gdy uznał, że już czas, wysłał SMS do Renaty.

Pojawiła się kilkanaście minut później. Powiedziała, że wracała do domu przez las i zgubiła telefon, że musiał jej wypaść. Terwicz był już wtedy w odpowiednim stanie, więc nie wydawało mu się to dziwne ani nie zapytał, skąd do cholery miałyby wracać. Ucieszył się za to, gdy Marcin oznajmił, że mają przecież apkę do lokalizacji i że telefon można łatwo znaleźć. Nie było już nawet potrzeby, żeby Renata głośno martwiła się, że bateria jest słaba i może nie wytrzymać zbyt długo, bo Rafał sam ochoczo zaproponował, żeby od razu poszli na poszukiwania. Marcin jeszcze go podkreślił, mówiąc, że to strach tak po nocy chodzić po lesie, że niebezpiecznie i może lepiej poczekać do rana, dzięki czemu Terwicz niemal zmusił ich do tej eskapady, drwiąc z obaw mieszcucha.

Tak, wyciągnięcie go z domu okazało się łatwe, lecz gdy za ich plecami zniknęły rozświetlone prostokąty okien, gdy brnęli coraz głębiej w ciemny las, Marcin nie był pewien, czy zdoła go tam doprowadzić. Zupełnie nie pomyślał, że strach i chłód mogą otrzeźwić Rafała na tyle, żeby przestał kozaczyć i zrezygnował. To byłoby najgorsze, bo wtedy upadłby cały plan.

Marcin dobrze przemyślał początek i rozważył kilka wersji finału, ale całkowicie zignorował to, co miało wydarzyć się pomiędzy. Po prostu uznał za oczywiste, że przejdą z punktu A do punktu B. Teraz jednak z każdym krokiem uświadamiał sobie, że już za późno, aby to zmienić. Musiał pogodzić się z faktem, że może liczyć jedynie na szczęście, na to, że Rafał jest wystarczająco zalany, aby zgrywać chojraka do końca, do chwili, gdy dojdą na miejsce. Dlatego szedł sztywno, nie odwracając się za siebie, jak gdyby w ten sposób mógł sprawić, że tamten się nie zawaha, nie ocknie.

Czerwona strzałka drgała hipnotycznie na środku ekranu, a pod nią wolno zmieniały się cyfry, malał pozostały do przebycia dystans. Marcin nie odrywał od nich wzroku, czując narastające napięcie. Trzysta metrów, dwieście pięćdziesiąt, dwieście, sto, pięćdziesiąt...

– Już niedaleko! – oznajmił, przerywając jakąś bezsensowną wymianę zdań ciągnącą się za jego plecami. – Jesteśmy prawie na miejscu.

– Kurwa, nie wziąłem telefonu! – Rafał obmacał kieszenie. – Nie mam czym poświecić... Ej! Dałem ci latarkę! – przypomniał Marcinowi z wyrzutem.

– Weź moją – zaproponowała Renata, włączając i podając mu małą ledówkę.

– Ej, Renka... To czemu nie świeciłaś po drodze? – zdziwił się Terwicz.

– Zapomniałam – skłamała.

– Dobra... – Skierował wąły snop światła na plecy Marcina. – Ale słabe gównno!

– Stare baterie. – Renata zwolniła, pozwalając, by dystans między nimi się zwiększył.

– To gdzieś tu – powiedział Marcin, wpatrując się w ekran telefonu. – Chwila... – mruknął, nie mogąc poradzić sobie z operowaniem aplikacją. W końcu wygasł ekran i skierował latarkę w ziemię. – Dobra, szukamy!

Terwicz zrobił to samo i przez chwilę chodzili wolno, świecąc pod nogi.

– Jezu! – wrzasnął nagle.

Latarka zawirowała w powietrzu, upadła na ziemię i zgasła.

– Co się stało? – Głos Renaty dochodził z ciemności, gdzieś na prawo od ścieżki, którą przyszli.

– But! – Terwicz jęknął, próbując podnieść się z ziemi, na której wylądował przed chwilą. – Tam jest but!

– Co ty pieprzysz, Rafał? – spytał Marcin, kierując swoją latarkę w tamtą stronę. Snop światła przesunął się przez chwilę po leśnym poszyciu, aż zatrzymał się na bucie.

Damskim, na koturnie. Białym i zakrwawionym.

– Kurwa mać! – wrzasnął Terwicz histerycznie, wierzgając nogami. Chciał się wycofać, ale trafił plecami na drzewo.

– Co jest? – Marcin poświecił na niego. Na wykrzywioną w przerażeniu twarz i wybałuszone oczy.

– But, kurwa, but, but! Człowieku, nie widziałeś? Tam jest, kurwa, but! – bełkotał Rafał.

– Gdzie? – spytał Marcin, oświetlając znów to samo miejsce między nimi. Tym razem nic tam nie leżało.

– Był! – zapewnił Terwicz. – Był, bardziej w lewo!

Marcin przesunął snop światła, potem sprawdził na prawo, a w końcu zatoczył krąg po ziemi. Nigdzie nie było nic poza leśnym runem. Znów oświetlił Terwicza.

– Tu nic nie ma – powiedział spokojnie.

– Jezu, przysięgam! Przysięgam, że tam był but. But Majuli! – Rafał zasłonił oczy ręką. – Kurwa, nie świeć na mnie!

Marcin opuścił latarkę.

– Julii Makowskiej?

– Przecież mówię! – Oddychał szybko, spazmatycznie. – Tam leżał, biały i cały we krwi... Jezu, przecież to niemożliwe! Renata! Renka! – Rafał próbował spojrzeć w jej stronę, ale była tam tylko ciemność. Ciemność i cisza. – Renka?

Marcin przesunął się krok w lewo i oświetlił kawałek blachy, który jeszcze przed chwilą miał za plecami. Czarne odręczne litery na białym tle. *Człowieku, do jakiej potworności byłeś zdolny? Co sprawiło, że upadłeś tak nisko?* Poczekał, aż Rafał spojrzy w tę stronę.

*

Szok, o to właśnie Marcinowi chodziło. Wyrwał Rafała ze strefy komfortu, z bezpiecznego domu, i wyprowadził w ciemny, wrogi las. W miejsce, gdzie mógł wstrząsnąć nim do głębi, skruszyć pozerstwo i odebrać pewność siebie. W miejsce, gdzie mógł wzbudzić w nim wyrzuty sumienia i przejąć kontrolę nad sytuacją.

– Jak wyglądał ten but, Rafale? – zapytał, uważając, by nie zasłaniać mikrofonu w telefonie i kierować go we właściwą stronę.

– Był biały, cały we krwi... To był jej but! Co to za tablica... Czemu tam...

– Na szpilce?

– Na koturnie, człowieku! Biały na koturnie, przecież widziałeś!

– Dlaczego miałbym widzieć?

– Bo tam był!

– Ja nic nie widziałem, ale to dlatego, że ja nic nie zrobiłem – podkreślił. – Ja nie zabiłem Julii Makowskiej, ale ty tak, prawda?

– Co ty pieprzysz, człowieku? Ja nie... Nigdy nie!

Marcin odetchnął głęboko. Zaczynała się najgorsza, najbardziej wymagająca część planu, a on wciąż czuł się otumaniony alkoholem. O wiele bardziej, niż by chciał.

Do tej pory wszystko jakoś się udało, przyszło łatwo. Szczególnie ten moment z butem, który nie wyglądał aż tak dobrze w świetle dnia, ale w tych warunkach wyszedł naprawdę upiornie. Głównie dlatego, że Rafał nie miał czasu, aby mu się

przyjrzeć i zauważyć, że ma inny kształt, został przemalowany na biało i tylko ochlapany czerwoną farbą. Że do koturnu przywiązany jest sznurek, którego drugi koniec zwisa z tabliczki na drzewie, i wystarczy go mocno pociągnąć, aby usunąć but z pola widzenia.

Tak, do tej pory szło łatwo, ale teraz Marcin musiał wziąć się w garść, musiał stanąć na wysokości zadania i wyciągnąć od Terwicza prawdę.

– Sam mi o tym powiedziałaś – przypomniał. – Kiedy piliśmy poprzednim razem, nie pamiętasz?

– Nie, nie mówiłem, nie mogłem nic takiego powiedzieć, bo nic nie zrobiłem...

– A o tym, że Julia kradła dla ciebie leki, że je sprzedawaliście?

– Jezu, człowieku! To tak, robiliśmy to, i co z tego? Była okazja i tyle, ale przecież to nie ma nic wspólnego...

– A o tym, że cię szantażowała?

– Renka! – krzyknął Terwicz, ale nie usłyszał odpowiedzi. – Ona tu jest? Była przecież, prawda? Renata była z nami? – spytał Marcina.

– Tak, jest i czeka, żebyś powiedział o pieniądzach dla Julii.

– No co wy... – Język wciąż mu się plątał. – No dobra, chciała kasę ode mnie! Chciała, żebym jej zapłacił za to, żeby nie narobiła smrodu z lewizną w warsztacie... Zagroziła, że obsmaruje nas w sieci, że montujemy zamienniki zamiast oryginalnych części, albo je tylko czyścimy... No i co? Dałem jej pięć koła i tyle, wyjechała i po sprawie... Nigdy bym nie pomyślał, żeby cokolwiek jej... No kurwa, Renka, zwariowaliście?

– Nie o to chodzi! – krzyknął Marcin. Miał wrażenie, że wszystko zaczyna mu się wymykać, prześlizgiwać między palcami. – Nie o to, kurwa, rozumiesz?

Poświecił na Terwicza latarką, specjalnie prosto w oczy, aż tamten się skrzywił i zasłonił.

– Przestań ściemniać o lewiznie i przestań się wybielać, bo dobrze wiem o waszej kłótni na ulicy i o złocie z czasów wojny, rozumiesz? Tego się bałeś: że wszystkim rozpowie, jacy, kurwa, byliście, że twój dziadek upierdalał ludziom złote zęby na żywca i obrączki razem z palcami, i że ciągle to macie, prawda?

– Odpierdol się od mojej rodziny!

– To dlatego ją zabiłeś, przyznaj się! Właśnie dlatego!

Rafał odsłonił twarz i spojrzał wprost w blask latarki. Jego rysy, zniekształcone upiornie mieszaniną wściekłości i strachu, wydawały się poruszać.

– Nie zabiłem Julii! – wrzasnął na całe gardło.

Marcin cofnął się odruchowo. Wszystko poszło zupełnie nie tak, jak planował, i nie miał pojęcia dlaczego. Nie, nieprawda. Wiedział... Poniósł porażkę, bo się pomylił. Pomylili się oboje – i on, i Kamila.

– Nie zabił! – potwierdził szorstki, jadowity głos dobiegający z mroku.

To było tak zaskakujące, że Marcin zamarł, nie mogąc zrozumieć, co się dzieje. Po chwili oślepiło go światło, boleśnie wwierciło się w oczy, wydobywając jego postać z ciemności jak aktora na teatralnej scenie, gdy podniosła się kurtyna. Marcin odruchowo chciał odpowiedzieć tym samym, skierować swoją latarkę w tamtą stronę, ale nie zdążył. Huk wystrzału szarpnął powietrzem, zawibrował w uszach.

Poczuł nagły ścisk w żołądku i zalała go fala ciepła. To było tak zaskakujące, że upuścił latarkę, a po chwili też telefon. Nagle ugięły się pod nim nogi, zupełnie jak gdyby ktoś je wyłączył. Ześlizgnął się na ziemię, ale nie upadł. Po prostu usiadł i oparł się o drzewo.

– Wstawaj, idioto. – Tym razem światło mocnej czołowej latarki wydobyło z mroku postać skulonego Terwicza. Przy jego nogach wylądowała łopata. – Wstawaj i bierz się do roboty!

– Tata?

Marcin miał wrażenie, że jego myśli grzęzną w jakimś lepkim, ciepłym kłajstrze, i usilnie próbował zmusić je, żeby się nie zatrzymywały. Widział, jak Rafał powoli się podnosi i jak jego ojciec wskazuje lufą karabinu odpowiednie miejsce.

– Dlaczego? – zapytał ciszej, niż zamierzał, a mimo to obaj go usłyszeli.

– Racja, tato... Kurwa, dlaczego? – w głosie Rafała drżał strach.

– Ty, Renata, też pewnie chcesz wiedzieć, co? – spytał stary.

Marcin poczuł ukłucie w piersi. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że przecież Renata jest niedaleko, że może jej coś grozić. Chciał machnąć ręką, aby zwróciła na niego uwagę, i krzyknąć, żeby uciekała, ale nie bardzo wiedział, jak to zrobić. Zupełnie jak gdyby zapomniał, w jaki sposób poruszyć dłonią, a bez niej nie mógł się odezwać. Chyba nie mógł, nie był pewien... Spróbował, ale nie usłyszał żadnego dźwięku, chociaż poruszył ustami. To było takie dziwne.

– Przyprowadziłeś do domu dziwkę, wiesz? – mruknął stary do syna. – Za pieniądze robiła wszystko. Sama do mnie przyszła – wyjaśnił. – Kilka razy w warsztacie, kilka razy w lesie... Kop! – warknął. – Nie mamy całej nocy!

Rafał nie odpowiedział, ale po chwili szpadel wgrzył się w ziemię.

– Potem powiedziała, że chce dwa razy tyle, bo inaczej powie twojej matce, że ją posuwam. – Parsknął rozbawiony. – Dostała dla świętego spokoju. Dawałem jej podwójną stawkę do końca.

– Sypiałeś z Majulą? – Rafał przerwał kopanie.

– Głuchy jesteś? Kop! – Stary pokręcił głową. Sięgnął do czoła i zmniejszył natężenie światła. Potem podszedł do Marcina i kucnął obok.

– To nie potrwa długo – powiedział bez emocji. – Wykrwawisz się, zanim cię zakopiemy... Nie podoba ci się to? To trzeba było zdechnąć wtedy na drodze.

Marcin chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Z trudem skupiał wzrok na starym Terwiczu. Słyszał jego słowa, ale nie był pewien, czy chce ich słuchać, czy nie woli iść spać. Było mu naprawdę ciepło.

– To twoja wina – powiedział Terwicz. – Nie trzeba było grzebać w przeszłości i gadać o złotych zębach... Teraz już strach je sprzedawać albo dawać na przetop, bo zaraz by były pytania, nasłaliby na nas psy. Mój ojciec niepotrzebnie je sobie zostawił, ale chciał dobrze, bo łatwo było przechować, a biżuteria dobrze szła po wojnie... Ta dziwka musiała grzebać po szufladach, pewnie wtedy je znalazła. – Podniósł się i wsparł na karabinie. – Jak ją tamta kurwa w aptece złapała, to chciała od razu iść na psy, ale wtedy ta twoja Majula zadzwoniła do mnie i powiedziała, że jeśli ją zamkną, to nas podpierdoli, i żebym dał kurwie w łapę.

– Tato, ja nic nie wiedziałem, przysięgam! – zapewnił Rafał.

– Kop – mruknął stary i zwrócił się w kierunku Renaty, która wciąż stała w tym samym miejscu między drzewami. – Trzydzieści tysięcy mnie to kosztowało i powiedziałem, że to koniec, że ma wypierdalać stąd na zawsze...

Splunął.

– Tej dziwce było jednak mało – podjął po chwili. – Chciała tyle też dla siebie, za to, żeby nigdy nikomu nie puściła pary z gęby. Trzydzieści tysięcy jeszcze dla niej i wtedy będzie koniec... Myślała, że trafiła na głupka. Powiedziałem jej, że się zgadzam i żeby przyjechała po kasę za kilka dni, ale niech się wystroi, bo za to ma mi dać ostatni raz... I to był, kurwa, ostatni raz. Sama była sobie winna, tak jak ty... – Znów kucnął przy Marcinie i przyjrzał mu się uważnie. – Tak jak on.

– Nie żyje? – spytała Renata łamiącym się głosem.

– Nie. Szybko mu poszło.

– Niech... niech pan poszuka telefonu, bo... bo on to wszystko nagrywał.

ROZDZIAŁ 17

SIERPIEŃ 2020
RENATA

Las w nocy wyglądał zupełnie inaczej, był przerażający. Renata wiedziała o tym od dziecka, od chwili gdy matka po raz pierwszy zabrała ją tam za karę i zostawiła przywiązaną do drzewa. Zostawiła, a może tylko zagroziła, że to zrobi? Po latach Renata nie była już pewna, czy wymyśliła sobie samotny pobyt w lesie, czy może go wyparła, chcąc wierzyć, że to się nie wydarzyło.

Czasami wszystko jej się mieszało.

Nie była pewna, ale nie musiała być, bo prawda nie miała znaczenia. Liczyło się tylko to, co Renata chciała pamiętać i w co wierzyła, bo wiara stawała się wtedy stałą, na której mogła budować równania swojej osobowości.

Las w nocy był przerażający, ale mimo to poszła za Marcinem, tak jak mu obiecała, jak była mu winna. To był rodzaj pokuty, którą sama dla siebie wymyśliła. Poświęcenie wymazujące wszystkie przewinienia wobec męża i oczyszczające jej sumienie. Renata wierzyła, że oczyszcza się w ten sposób ostatecznie i że ksiądz, szczególnie ten nowy, przyznałby jej rację. Dlatego poszła za Marcinem i zagadywała po drodze Rafała, tak jak się umówili, a potem, gdy już dotarli na miejsce, stanęła we właściwej odległości. To było ważne, a potem, gdy wszystko się nagle odwróciło, stało się jeszcze ważniejsze, żeby stać właśnie tam. Tyle że Renata zupełnie już wtedy o tym nie myślała.

Nagłe pojawienie się ojca Rafała było dla niej takim szokiem, że w pierwszej chwili nie potrafiła racjonalnie zareagować, w ogóle nie rozumiała, co się dzieje, a później kontrolę przejął instynkt.

Instynkt przetrwania.

– Niech pan poszuka telefonu, bo... Bo on to wszystko nagrywał.

– Kurwa, to dlatego... – zdenerwował się Rafał. – Dlatego chciał, żebym się przyznał!

– Kop dalej, ja poszukam – mruknął jego ojciec, skierował światło czołowej latarki na ziemię i zaczął się rozglądać.

Najpierw podniósł i wyłączył latarkę Marcina, a chwilę potem znalazł urządzenie. Czarne, prostokątne, z wygaszonym ekranem. Przez chwilę obracał je w dłoni, jak gdyby zastanawiając się, w jaki sposób je wyłączyć.

– To trzeba wykasować – odpowiedział Rafał.

– Gówno tam – mruknął stary i odszedł kawałek, do miejsca, gdzie leżało kilka kamieni. Wybrał najbardziej płaski, położył na nim telefon i roztrzaskał go kolbą karabinu. Poprawił i uderzył znowu, potem kolejny raz. Schylił się, obejrzał rozbity ekran i zniszczoną płytę główną i dla pewności uderzył ponownie. Potem zarzucił karabin na ramię, zebrał wszystkie większe elementy i wrzucił do źródelka bijącego u podnóża niedużego kopca usypanego ze skalnych odłamków. Zniszczony telefon zanurzył się w ciemnej wodzie, opadł na dno.

Stary Terwicz wziął jeden z kamieni i cisnął w ślad za nim. Nieduża figura Matki Boskiej zsunęła się, upadając twarzą do ziemi. Terwicz schylił się i odstawił ją na miejsce, tuż obok kawałka skały, na którym ktoś napisał: „Boże, zapisz w twojej księdze...”. Przeżegnał się, poprawił karabin i poszedł sprawdzić, jak idzie Rafałowi.

Renata obserwowała to wszystko, opierając się o pień. Była zdrtwiała i wystraszona, ale nie zamierzała uciekać. To zupełnie nie miało sensu. Wiedziała, że Terwicze nic jej nie zrobią, a przynajmniej nie powinni, bo przecież była po ich stronie. Przecież jej też zależało, aby nikt nie odgrzebywał przeszłości, nie wyciągał rodzinnych brudów...

– Wiedziałaś o tym?

– Co? – Nie zauważyła, kiedy Rafał się zbliżył.

– Renka, wiedziałaś, co on kombinuje?

– Tak – przyznała. – Ale nie mogłam cię ostrzec, boby się domyślił. Był na to ostro nakręcony i nieufny.

– Pieprzony przybłęda. – Splunął.

Zauważyła, że próbuje trzymać fason, ale cały się trzęsie.

– Wiedziałaś o ojcu? – spytała cicho.

Nie odpowiedział, ale pokręcił głową. Ledwo to dostrzegła na tle słabej poświaty, jaką dawała latarka starego Terwicza, który ciągnął właśnie ciało Marcina do płytkiego dołu.

– To nie miało tak być... – powiedziała.

– Ale jest – uciął.

– Chodź tu i pomóż! – zawołał go stary.

Wzięli Marcina obaj i umieścili w zagłębieniu. Rafał sięgnął po łopatę, żeby zakopać ciało, ale ojciec powstrzymał go gestem.

– Poczekaj, jeszcze jedno... – Wyciągnął z kieszeni szmatę i dokładnie wytarł karabin. Na wszelki wypadek przetaił też rękawiczki, które miał na rękach. Potem pochylił się nad ciałem i wcisnął kolbę w dłoń Marcina, ułożył ją w odpowiedni sposób, przyłożył palec do spustu, odciągnął zamek. Lewą rękę przycisnął do łoża w kilku miejscach, zagiął palce na lufie. Po chwili namysłu dodał kilka śladów na kolbie i dopiero wtedy się cofnął, zabierając karabin.

– Zakop – mruknął.

*

Do drogi dotarli około pierwszej w nocy. Trzy uśpione domy ciemniały za wąską nitką asfaltu, po którym nikt nie jeździł o tej godzinie. Mimo wszystko nasłuchiwali chwilę, nim zdecydowali się wyjść z lasu.

Renata szła przodem, a obaj Terwicze za nią, prosto do jej domu. Wkoło panowała cisza, ale nie chcieli ryzykować, że ktoś się nagle pojawi, minie ich, oświetlając blaskiem reflektorów, i zapamięta lub nagra rejestratorem. Dlatego nie weszli głównymi drzwiami, od frontu, a tymi od podwórza.

– Ładnie – ocenił stary Terwicz, gdy zapaliła światło w wyremontowanym korytarzu. Nie zatrzymywał się jednak, tylko od razu ruszył schodami na piętro i strych.

Renata nie chciała mu towarzyszyć. Rafał też został na dole.

– Masz coś do picia? – zapytał.

Skinęła głową i wskazała kuchnię. Poszli tam razem.

– Dostała, na co zasłużyła – mruknął, gdy podała mu szklankę wody. – Ojciec dobrze zrobił, zgadzasz się?

– Tak – odpowiedziała bez wahania. – Była suką.

Renata widziała, że Rafał się jej przygląda. Wciąż nie wytrzeźwiał, więc nie mogło być mowy o jakiejś dyskrecji. A może nawet nie próbował udawać, że na swój sposób stara się upewnić, czy Renata mówi prawdę, czy nie pęka. Bo on przecież nie pękał. Owszem, na samym początku wydawał się przerażony, ale teraz nie było już po tym śladu. Teraz Rafał zrozumiał, co się stało, ułożył to w głowie przynajmniej na tyle, by wiedzieć, że muszą trzymać język za zębami, że od tego wszystko zależy.

– Miałam inny pomysł na pozbycie się Marcina – powiedziała Renata, uruchamiając czajnik. – Ale w sumie tak chyba wyszło lepiej. Tylko Rafał, kurwa

mać! – Wycelowowała w niego palcem. – Wiesz, że nie możesz nikomu o tym powiedzieć, nigdy?

– No przecież... – zająknął się zaskoczony. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale mu nie dała.

– Wiesz, o czym mówię! – powiedziała groźnie. – Nie może ci się nic wymknąć, ani słowa, nawet jak popijesz, bo wtedy ja, ty i twój ojciec, my wszyscy będziemy mieć przesrane. Rozumiesz?

– Rozumiesz, synu? – Stary Terwicz stanął w drzwiach. Nie miał już przy sobie karabinu.

– Jasne, rozumiem – zapewnił Rafał.

– Herbaty albo kawy? – zapytała Renata.

– Nie – mruknął stary, zdejmując rękawiczki. – Powiem ci, co musisz zrobić.

– Zgłosić zaginięcie?

– Może... – Zmarszczył czoło. – Albo nie, bo to za długo będzie.

Po chwili wahania usiadł na krześle i założył nogę na nogę, nie przejmując się, że w podeszwach jego butów wciąż jest dużo ziemi, która sypie się i brudzi podłogę.

– Zrobimy tak – zdecydował, patrząc na Renatę. – Ty nic nie wiesz. Jak policja zapyta, to powiesz, że z mężem nie żyłaś dobrze, że był niedobry, co tam chcesz. Powiesz, że poszedł pić do nas i nie wrócił, nie masz z nim kontaktu...

– Czyli prawdę. – Renata skinęła głową.

– Powiedzmy... Rano wybierz kilka razy jego numer, pokażesz, jakby pytali, czy próbowałaś się dodzwonić.

– Ale to w końcu mam zgłosić, że zaginął?

– Nie. – Terwicz pokręcił głową. – My to załatwimy, a ty masz to mówić, co powiedziałem, bo na pewno przyjdą i będą pytać.

– Dobrze.

– Zaraz, tato... – wtrącił się Rafał. – Jak chcesz go sprzedać na psy, żeby nie było lipy?

– Ty to zrobisz. – Stary uśmiechnął się z zadowoleniem i poprawił na krześle.

– Rano zadzwonisz do tego trepa, jak mu tam było...

– Wargalskiego?

– No... – przytaknął. – Zadzwonisz i powiesz, że piliście razem i że tamten ci się przyznał, że zabił młodą... Powiedział, że znalazł broń na strychu. To wystarczy... Potem powiesz, że jak wstałeś, to jego już nie było, że nie wiesz, kiedy i gdzie wyszedł, ale że wcześniej nas okradł, zabrał kilka tysięcy... I tyle... Przyjdą tu, wypytają Renatę, znajdą broń i niech se go szukają... – Roześmiał się. – Dobrze mówię?

– Dobrze! – Rafał się ucieszył.

Renata również pokiwała głową.

– A ty powiesz, że o niczym nie wiedziałaś, nawet o broni, że była w domu...

– Tak powiem.

– No, to ustalone? – upewnił się stary, a gdy przytaknęli, wstał i kiwnął na Rafała. Wyszli tą samą drogą, od tyłu. Renata zamknęła za nimi drzwi na klucz.

*

Szuflada była pełna starych opakowań po lekach, przeterminowanych blistrów, niedociśniętych tubek i walających się luzem ulotek. Renata przewracała je przez chwilę nerwowo, aż w końcu znalazła to, czego szukała. Nieduży, plastikowy pojemnik z lekami na uspokojenie. Częściowo opróżniony, ale wciąż z aktualną datą ważności. Wysypała na rękę dwie pastylki i popiła dużą ilością wody. Już nie mogła dłużej udawać spokojnej i opanowanej, nie mogła powstrzymać drżących rąk.

Zupełnie się nie spodziewała, że stanie się coś takiego, że w ogóle może się stać. Ojciec Rafała zabił Julię i Marcina. To brzmiało jak kiepski żart, ale było prawdą i Renata ciągle musiała sobie to powtarzać, przekonywać się, że to nie jest jeden z jej sennych koszmarów i że nie obudzi się za chwilę. Trudno jej było to zrozumieć, bo przecież to Rafał zawsze był nerwowy, zawsze kozaczył i czasem odwalala mu korba, ale jego ojciec wydawał się zupełnie inny. Trochę powolny i gburowaty, ale...

Przez lata Renata nauczyła się to ignorować, a teraz dostrzegła na nowo. Ojciec Rafała wydawał się opanowany, ale miał w sobie coś nieprzyjemnego. To było w spojrzeniu, w tym, jak patrzył na ludzi. Zawsze czuła się przy nim nieswojo.

Wspięła się na taboret i sięgnęła w głąb górnej szafki. Wyjęła dwie zakurzone buteleczki i przez chwilę obracała je w dłoniach. Czuła wstyd. Wstyd, który nie miał już żadnego znaczenia, którego należało się pozbyć. Puściła wodę w zlewie i dokładnie wypłukała oba szklane pojemniki, a potem zaczęła szorować je też z wierzchu. Dokładniej i o wiele dłużej, niż było to konieczne.

Renata nigdy nie była świadkiem niczyjej śmierci ani nie widziała, jak ktoś kogoś zabija z zimną krwią. Tej nocy wydarzyły się obie te rzeczy. Na jej oczach ojciec Rafała zabił jej męża i zakopał go w lesie. Najgorsze było to, że zrobił to bez zawahania, bez emocji. Tak po prostu, jak gdyby zgniatał skorupę orzecha albo przykręcał jakąś część samochodową. To było przerażające.

Mimowolnie spojrzała na ślady, jakie zostawił stary Terwicz, i zadrżała. Zamiotła kuchnię, a szufelkę opróżniła do kosza. Potem zapaliła światło

w przedpokoju, żeby tam też posprzątać, ale zatrzymała się na progu kuchni, zawahała.

Ojciec Rafała miał naprawdę dobry plan i Renata nie miała wątpliwości, że to wypali, że odciski palców na karabinie będą dowodem idealnym, a zeznania jej i Rafała świetnie to uzupełnią. Ostatecznie wszyscy uznają, że Marcin zabił Julię i uciekł, gdy zorientował się, że powiedział za wiele. Będą go szukać i nie znajdą, ale to właśnie on, Marcin Bieńczuk, będzie mordercą, a ona i Terwicze będą mogli spać spokojnie. Tak, Renata nie miała wątpliwości, że to naprawdę dobry plan. Tyle że sama właśnie wpadła na lepszy.

Odstawiła miotłę na miejsce i wzięła ścierkę z wieszaka. Potem spokojnie przeszła do drzwi, uważając, aby nie zdeptać śladów, które zostawili Terwicze. Wcześniej, gdy szli do lasu, żałowała, że założyła niewłaściwe buty, że zamiast trekkingowych wzięła takie z płaską podeszwą, które ślizgały się na kamieniach i w których czuła każdy korzeń. Wychodząc, zupełnie o tym nie myślała, skupiona i przejęta rolą, jaką ma odegrać, a teraz okazało się to pomocne. Tak samo pomocne, jak odruchowe wycieranie butów przed wejściem do domu.

Podwórze tonęło w mroku, było ciche i nieruchome. Stała przed drzwiami i nasłuchiwała chwilę. Potem sięgnęła po stojącą na parapecie tandetną figurkę żaby. Figurka miała w otwartym pysku lampkę, a na plecach niedużą baterię słoneczną. Jedno albo drugie było zepsute od nowości, bo nie świeciła. Marcin miał do niej zajrzeć, ale nigdy tego nie zrobił. Tylko postawił na parapecie przy drzwiach i zapomniał. Teraz żaba w końcu mogła się na coś przydać.

Renata trzymała ją przez szmatę, chwilę mierzyła, a potem uderzyła w niedużą, kwadratową szybkę w drzwiach, tę znajdującą się najbliżej klamki. Nie ustąpiła za pierwszym razem, więc w kolejny cios Renata włożyła więcej siły. Tym razem szkło rozleciało się z trzaskiem. Spojrzała na uszkodzony od uderzenia pysk żaby i odstawiła ją na miejsce, weszła do domu, zamknęła za sobą drzwi, przetarła szmatą klamkę i tkwiący w zamku klucz. Potem ostrożnie wróciła do kuchni.

Telefon był w torebce, tam, gdzie go zostawiła. Odblokowała ekran i po chwili wahania wybrała jeden z numerów. Czekala dłuższą chwilę, a gdy włączyła się poczta, przerwała połączenie. Serce waliło jej w piersi. Ponownie wybrała numer i przystawiła telefon do ucha. Czekala, czując, jak cała jej klatka piersiowa drga od uderzeń serca, a każdy kolejny głuchy sygnał rezonuje w kościach.

– O Boże! – wyrwało jej się z ulgą, gdy w ostatniej chwili zamiast automatycznego nagrania usłyszała zaspany głos. – Halo, Kamila? Tu Renata Bieńczuk... Przepraszam, że w środku nocy, ale to bardzo ważne. Musisz tu przyjechać, słyszysz? Musisz to zrobić teraz...

*

Renata czekała na policjantkę na schodach przed domem. Owinęła się kocem, ale to nie pomogło. Drżała tak mocno, że chwilami słyszała własne zęby. Nie z zimna, a ze strachu. Pastyłki na uspokojenie zaczęły już działać, ale były zbyt słabe. Nie chciała jednak brać kolejnych, nie chciała, żeby ją otumanily.

Renata bała się, czy Kamila na pewno zachowa ostrożność i zaparkuje w wystarczającej odległości, aby nie wzbudzać podejrzeń, i resztę drogi pokona w ciemności na piechotę, tak jak się umawiały. Bała się, żeby Terwicz jej nie zauważył i czegoś się nie domyślił, a przede wszystkim bała się rozmowy, którą musiały odbyć. Obawiała się, jak policjantka zareaguje na to, co się wydarzyło, i na propozycję, którą dla niej miała.

Renata nie patrzyła na zegarek, nie sprawdzała, ile minut minęło od ich rozmowy, ani nie liczyła upływającego czasu. Nie musiała, bo była pewna, że nigdy wcześniej w całym jej życiu czas nie płynął tak wolno, nie rozciągał się do granic możliwości.

Tam w lesie, gdy usłyszała głos starego Bieńczuka, od razu zrozumiała, że to się źle skończy. Gdy huknął strzał, a Marcin zachwiał się na nogach, przez jedną jedyną chwilę chciała rzucić się ku niemu, chciała go osłonić. Ale to była tylko chwila, tylko krótkie mgnienie. Nie ruszyła się z miejsca, choć przecież wiedziała, że to, co się dzieje, jest złe. Najgorsze, jakie tylko może być. A jednak pozostała bierna, po prostu stała i patrzyła. Dlaczego? Dlatego, że już go nie kochała, że bała się o własne życie czy dlatego, że sama nie miała krwi na rękach? Nie chciała o tym myśleć, nie chciała znać odpowiedzi.

Gdy cicho skrzypnęła furka, Renata zamarła. W myślach odliczała kroki, niepewna, czy zza rogu domu wyjdzie policjantka, czy może stary Terwicz z siekierą. Jej wyobraźnia od dłuższego czasu zapętleła obie możliwości, odtwarzając je w głowie bolesną torturą. Tak bolesną, że byłaby niemal wdzięczna Bogu, gdyby to był jednak Terwicz, gdyby przyszedł ją zabić. Przyjęłaby to biernie i z ulgą.

Ale to nie był stary Terwicz.

– Zanim cokolwiek powiem, musimy ustalić jedną rzecz... – Renata z trudem zapanowała nad własnym głosem. – Musisz mi dać słowo, Kamila, przysiąc, że tak będzie... Rozumiesz? Musisz mi przysiąc, że zrobisz wszystko, żeby mnie w to nie mieszać, że nikt nie będzie mnie ciągał po sądach, nie będzie za bardzo wypytywał, że wymażesz mnie z tej historii na ile to możliwe, rozumiesz? Musisz mi to przysiąc, a ja... ja ci wtedy dam to, czego chcesz.

ROZDZIAŁ 18

SIERPIEŃ 2020
POLICJA

Komisarz Wargalski ściągnął, kogo mógł, więc pojechali w kilka wozów, na szczęście nie na sygnale, dzięki czemu obeszło się bez przesadnego zwracania uwagi. To było ważne, bo takie akcje zawsze przyciągały gapiów jak dojrzałe wiśnie szpaki i Kamila nie miała wątpliwości, że prędzej czy później pojawiliby się nawet tu, na drodze w środku lasu, zwabieni błyskającymi światłami i syreną, która odciągnęłaby ich od nudnych niedzielnych czynności.

Od telefonu Terwicza minęło trochę czasu, nim ruszyli, ale nie dało się inaczej, bo trzeba było czekać na techników i dodzwonić się do prokuratora. Wargalski co prawda wściekał się o każdą minutę, ale Kamila wiedziała, że to i tak nie ma znaczenia.

Gdy dotarli na miejsce i wysypali się z wozów, Wargalski zdecydował, że on bierze Bieńczukową, a Kamila ma iść do Terwiczów. Nie była z tego powodu zadowolona, bo liczyła, że będzie obecna w trakcie przesłuchiwania Renaty i w razie czego dyskretnie jej pomoże, ale w tej sytuacji nie było to możliwe. Musiała więc wierzyć, że dziewczyna wytrzyma presję i sobie poradzi.

Wargalski był nagrany, kipiał podnieceniem, prowadząc do domu Bieńczuków nieduży oddział uzbrojony w kamizelki kuloodporne i ochraniacze. Nawet wchodząc na teren Terwiczów, słyszała, jak komisarz głośno wali do drzwi, zupełnie jak gdyby próbował je wyważyć własną pięścią.

Dom Terwiczów wydawał się cichy i spokojny. Otworzył stary, a gdy Kamila się przedstawiła, zapytał:

– Co oni robią?

– To technicy – wyjaśniła. – Zabezpieczają ślady.

– Czemu przed domem?

– To rutynowe działanie. Marcin Bieńczuk mógł gdzieś zostawić odcisk buta, co będzie stanowić dowód w sądzie. Wie pan... – Mrugnęła porozumiewawczo znad maseczki. – Prokurator jest pedantem, a my tylko robimy swoje.

Stary zmarszczył brwi. Oderwał wzrok od techników, skupił się na policjantce, zupełnie jak gdyby chciał się upewnić, czy mówi prawdę.

– Oczywiście interesują nas tylko ślady Bieńczuka, dlatego poprosimy potem o udostępnienie butów domowników, żeby je wykluczyć z materiału. Proszę się tym nie przejmować – dodała Kamila uspokajająco. – Możemy wejść?

Po chwili wahania skinął głową, cofnął się, pozwalając, by przekroczyła próg, i zaprowadził do salonu, gdzie wciąż czuć było nutę alkoholu. Na niskiej ławie stały szklanki i kieliszki. Opróżnione butelki, niedojedzone przekąski, niedopite napoje, zapełniona popielniczka. Z sofy zwisał w nieładzie koc, jasiek leżał na ziemi.

– Usnąłem w fotelu – wyjaśnił Rafał, schodząc z piętra. – Marcin spał na sofie... Chyba, bo zmogło mnie wcześniej.

– Stamtąd zabrał pieniądze – mruknął stary, pokazując otwarty barek.

– Powoli, panowie. – Kamila odwróciła się do policjanta, który nie odstępował jej na krok. – Proszę podać koledze jakieś dowody tożsamości... Możemy gdzieś usiąść? – Rozejrzała się.

Rafał wskazał wejście do przestronnej kuchni i otoczony narożnikiem stół.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze? Czy ktoś tu był w nocy, podczas spotkania? – zapytała Kamila, gdy spisali dane z dokumentów.

– Nie. – Stary pokręcił głową. – Żona wyjechała w piątek do rodziny. Wraca w połowie tygodnia.

– Dobrze, proszę więc opowiedzieć, co się stało – zwróciła się do Rafała.

– To, co przez telefon? – upewnił się, a gdy skinęła głową, odchrząknął i zaczął mówić:

– Marcin Bieńczuk przyszedł późnym popołudniem, może bardziej pod wieczór. Przyniósł butelkę, ja postawiłem drugą i tak żeśmy sobie siedzieli. Jak zwykle, bo spotykaliśmy się prawie co tydzień. No... – Rzucił okiem na ojca. – Było już późno i byliśmy pijani, kiedy temat zszedł na Julię... Powiedziałem mu, że nie była złą dziewczyną, a on mi na to, że nie mam racji, i coś tam zaczął na nią nadawać. Nie bardzo słuchałem, bo... Wie pani, byłem już mocno wcięty

i chciało mi się spać, ale on powiedział, że ją załatwił i że zasłużyła sobie. Coś takiego powiedział.

– Że załatwił... – powtórzył pod nosem notujący policjant.

– Albo coś takiego, nie pamiętam dokładnie, ale to mnie zaskoczyło i dlatego go zapytałem: „Jak to?”, a on mi wtedy powiedział, że jak sprzątał strych u nich w domu, to znalazł tam karabin i że z tego karabinu ją zastrzelił.

– Jest pan pewny? – spytała Kamila.

– Tak, jestem pewny, że tak powiedział... Nie chciałem wierzyć, więc powiedział też, że jak chcę, to on mi ten karabin jutro pokaże... To znaczy dzisiaj.

– A jaki to był karabin?

– Niemiecki... To znaczy tak powiedział Marcin Bieńczuk.

– Dobrze, co było dalej?

– Zmieniliśmy temat, ja usnąłem, a kiedy się obudziłem, jego już nie było. Zobaczyłem, że barek jest otwarty i że zniknęły pieniądze.

– Gdzie pan wtedy był? – Kamila spojrzała na starego Terwicza.

– Spałem na górze.

– Nie uczestniczył pan w tym spotkaniu?

– Nie. Lekarz nie pozwolił mi pić.

– Słyszał pan rozmowę, cokolwiek, co mówił pana syn albo pan Bieńczuk? Może to, jak wychodził w nocy?

– Nic nie słyszałem. Miałem włączony telewizor. Usnąłem przy nim i obudziłem się dopiero rano... Syn mnie obudził.

– Tak – potwierdził Rafał. – Obudziłem ojca, mówiąc, że Bieńczuk nas okradł.

– Która to była godzina?

– Słucham?

– O której godzinie to było?

– Nie pamiętam. – Rafał się zmieszał. – Chyba około siódmej. Od razu zadzwoniłem na policję.

– Przed czy po obudzeniu ojca?

– Po – odezwał się stary. – Ja mu kazałem to zrobić, bo tamten nas okradł. Kilka tysięcy zabrał... Co najmniej cztery.

– Nie wie pan, ile dokładnie?

– Nie pamiętam, ile tam było.

– Dobrze. Czy Marcin Bieńczuk mówił coś jeszcze? Coś, co mogłoby okazać się pomocne?

– Że mu się z żoną nie układa – wypalił Rafał. – To znaczy powtarzał to już od jakiegoś czasu, ale wczoraj też. Chciał się z nią rozstać... Kilka razy mówił, że ją zostawi i wyjedzie, ale nie mówił gdzie.

– Dobrze, to chyba na razie wszystko, jeśli chodzi o pytania. Bardzo prawdopodobne, że będą panowie wezwani na komisariat, żeby to powtórzyć, ale to się dopiero okaże... Mam nadzieję, że to nie będzie problemem?

Obaj Terwicze pokręcili głowami.

– Świetnie, to teraz poproszę techników, żeby tu zabezpieczyli ślady... Te buty – zwróciła się do starego. – Musimy o nich pamiętać, żeby wykluczyć wzory państwa podeszew.

– Co? – Rafał drgnął i spojrzał na ojca, ale ten tylko pokiwał uspokajająco głową.

*

Komisarz Wargalski po raz kolejny załomotał do drzwi i w końcu stracił cierpliwość. Odwrócił się do podwładnych, gdy w zamku zgrzytnął klucz.

– O Jezu! – wymamrotała Renata na jego widok. Ubrana w krzywo zawiązany szlafrok, zaspana i potargana wyglądała, jak gdyby dopiero co zwlekła się z łóżka. – O Jezu! – powtórzyła, zerkając ponad ramieniem Wargalskiego.

– Na polecenie prokuratora przystępujemy do przeszukania pani domu. Mamy prawo podejrzewać, że przebywa tu podejrzany Marcin Bieńczuk oraz że została tu ukryta broń palna, z której zabito Julię Makowską. – Kiwnął na swoich ludzi i postąpił krok naprzód.

– Marcina nie ma, nie wrócił na noc... – Oszołomiona Renata cofnęła się, wpuszczając go do środka. – Proszę, mogą panowie spraw... O Jezu! – krzyknęła.

– Co się... – zaczął Wargalski, ale urwał, gdy chwyciła go za ramię.

– Niech pan patrzy. – Pokazała ręką na drzwi w głębi korytarza. – Ktoś się włamał do mojego domu! Ktoś wybił szybę od podwórza i wszedł, kiedy spałam...

– Zaraz, zaraz... – Wargalski powstrzymał swoich ludzi, którzy chcieli ich minąć i ruszyć prosto na strych, tak jak im wcześniej polecił. – Widać ślady... Może Bieńczuk wrócił?

– Marcin miał klucz – zauważyła Renata.

– Nieważne, zabezpieczcie to, zanim ktoś zadcpcze, a potem szukajcie tego, co trzeba. A panią... – Wskazał Renacie wejście do kuchni. – Panią zapraszam na rozmowę.

– Ale... ale co się stało? – spytała, gdy już usiedli przy stole. – Czemu ci ludzie... – Nie dokończyła, speszona widokiem policjanta tarasującego drzwi.

– Pani mąż jest podejrzany o zabicie Julii Makowskiej – wyjaśnił komisarz z satysfakcją.

– Pan oszalał?

– Nie i to nie są żarty, więc lepiej, jeśli pani powie, gdzie on jest. Dla swojego dobra! – podkreślił.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wczoraj poszedł pić do Rafała Terwicza, wie pan którego. Od jakiegoś czasu imprezowali w prawie każdy weekend. Poszedł i jeszcze nie wrócił... Może ja... – Podniosła się i rozejrzała zdezorientowana. – Może ja do niego zadzwonię, żeby przyszedł i wszystko wyjaśnił?

– Proszę spróbować.

– Wie pan... – Zaczęła grzebać w torebce. – Ostatnio nam się nie układa i te ich popijawy... To dla mnie ciężkie, trudno o tym mówić, ale... – Wybrała numer i przyłożyła telefon do ucha. – Ja przez to wszystko mam zszargane nerwy, za bardzo przeżywam, i dlatego wczoraj się jeszcze trochę pokłóciliśmy przed jego wyjściem. – Wybrała numer ponownie. – Wzięłam leki na uspokojenie, a potem nasenne. Chyba trochę za dużo, bo nie słyszałam w ogóle budzika... Ma chyba wyłączony telefon.

– Nie układa się państwu? – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Chodziło o inne kobiety?

– Bardziej o to, że Marcin nie może się tu odnaleźć. Wie pan, zanim się tu przeprowadziliśmy, on miał dobrą pracę, robił karierę, a ja siedziałam w domu. Teraz ja zaczęłam pracować, a on nie... Chyba nie może się z tym pogodzić.

– Wchodzimy na górę, szefie! – dobiegło z korytarza.

– Świetnie! – odparł Wargalski i spojrzał Renacie prosto w oczy. – Lepiej proszę powiedzieć, gdzie jest pani mąż, bo jeśli znajdziemy go sami, to pani zostanie oskarżona o utrudnianie...

– Jest u Terwiczów.

– Nieprawda! – Komisarz podniósł głos. – Niech pani powie, gdzie on się ukrywa!

– Wszedł do Rafała, a jeśli go tam nie ma, to... Naprawdę nie wiem! Spałam, rozumie pan? – Wyjęła z szuflady blister leków i podała go komisarzowi. – Wzięłam cztery pastylki, niech pan sprawdzi, jak działają.

– Później – mruknął, rozglądając się. – Jeśli go tu nie będzie, to gdzie może być?

– Skąd mam wiedzieć?

– Najbliższa rodzina?

– Mój mąż nie ma rodziny. – Usiadła znów naprzeciwko Wargalskiego. – Wychował się w domu dziecka. Nie znał rodziców i nie miał żadnych krewnych. Nigdy też nie próbował ich odnaleźć, bo twierdził, że skoro go oddali, to nie zasługują, żeby ich znać. Dlatego nie mam pojęcia... – Zamyśliła się. – Wie pan,

miał kilku kolegów z pracy na Śląsku, chyba dobrych... I mieszkanie cały czas jest tam, ale klucze zostały... Przecież to jakiś absurd!

– Żaden absurd, żaden... – Wargalski pokręcił głową i chciał coś powiedzieć, ale właśnie wtedy usłyszał poruszenie na schodach.

– Musi pan to zobaczyć, szefie! – powiedział jeden z techników, przeciskając się do kuchni. Ostrożnie, aby nie upuścić ani nie zmienić bezpiecznego chwytu, jakim trzymał karabin. Stał przed komisarzem i podniósł broń, prezentując ją w całej okazałości.

– O kurwa – skomentował policjant stojący przy wejściu.

– Oryginalny mauser Kar98k, podstawowy karabin niemieckiego wermachtu. Na pewno wczesnowojenny – wyjaśnił technik z wyraźną fascynacją. – Stan idealny, ta broń była fachowo konserwowana i jest w pełni sprawna. Są też naboje.

– Świetna robota! – Wargalski poderwał się z krzesła. – A Bieńczuk?

– Nigdzie go nie ma. – Technik pokręcił głową.

Komisarz spojrzał na Renatę.

– To było w moim domu? – zapytała z szeroko otwartymi oczami.

– Ukryte na strychu – potwierdził technik.

– Nie miałam pojęcia... Jezu... Skąd?

– Niech pani nie udaje! – zdenerwował się Wargalski. – Musiała pani wiedzieć, lepiej się przyznać tu i teraz!

– Czy pan jest jakiś nienormalny?! – krzyknęła. – Co pan w ogóle...? Jak pan śmie mnie oskarżać! – Stała naprzeciw niego z zaciśniętymi pięściami. – Nigdy w życiu nie widziałam tej broni, nie miałam pojęcia, że coś takiego może być w tym domu... – wycedziła. – Mój dziadek był w partyzantce, ale oddał wszystko, co mu po wojnie zostało, na milicję. Gdzieś powinno być jeszcze potwierdzenie, które mu wtedy dali! Ojciec mi o tym opowiadał, pokazywał ten świstek. Rozumie pan?

Oddychała ciężko.

– Nie wiem, skąd się to wzięło, ale gdybym wiedziała, że tu jest, od razu bym was wezwała, na litość boską! – Ostatnie słowa wykrzyczała Wargalskiemu w twarz.

– Proszę się nie denerwować.

– Nie będzie mi pan mówił, co mam robić, a czego nie! Przychodzi tu pan, oskarża mego męża i mnie, i ma w dupie, że ktoś chodził w nocy po moim domu, że wybił szybę i nie wiadomo co ukradł, tak?

– Pani Bieńczuk, proszę...

– Tak, żeby pan, kurwa, wiedział, że „proszę” to jest to słowo, którego powinien pan używać częściej! – Po jej policzkach pociekły łzy.

Minęła technika i oderwała ręcznik z rolki. Wytarła policzki.

– Nie wiem, gdzie jest Marcin ani czemu ten karabin jest w moim domu! Nie wiem, co się dzieje! – Wsparła się o szafkę. – Rozumie to pan?

– Dobrze, już dobrze – wymamrotał niezadowolony komisarz. – Przepraszam, ale moja praca tak właśnie wygląda. Też nie zawsze mi to pasuje... Odnotowałem to, co pani powiedziała. Będzie to trzeba później powtórzyć prokuratorowi, ale to już na spokojnie...

– Na spokojnie? A co z moim mężem? Musicie go przecież znaleźć!

– Proszę uwierzyć, że w tej chwili jest to dla nas najważniejsza rzecz. – Z trudem się opanował, żeby nie powiedzieć tego złośliwie. – Ułatwi nam to pani, dając jego aktualne zdjęcie.

– Wszystkie, jakie mam. – Sięgnęła po telefon.

– Trzy w zupełności wystarczą... Pani Renato, zanim skończymy, zapytam panią ostatni raz i proszę się nie denerwować, tylko odpowiedzieć spokojnie, dobrze?

Niechętnie skinęła głową.

– Czy wedle pani wiedzy mąż mógł używać tej broni i zabić z niej Julię Makowską?

– Nie.

– Czy widziała pani tę broń wcześniej?

– Nie.

– Czy zna pani aktualne miejsce pobytu męża lub może się z nim skontaktować?

– Nie.

– Czy zamierza pani w najbliższym czasie opuszczać miejsce zamieszkania, w sensie wyjeżdżać na dłużej?

– Nie.

– Dobrze, więc to tyle. Podpiszemy jeszcze papiery i nie będziemy pani zajmować czasu. Moi ludzie zaraz powinni skończyć... Na wszelki wypadek proszę na razie nic nie przestawiać ani nie ruszać, gdyby się okazało, że coś jeszcze musimy...

– Rozumiem.

– A gdyby mąż wrócił albo próbował się z panią skontaktować, to...

– Od razu dam panu znać – weszła mu w słowo. – Liczę na to samo, jeśli go odnajdziecie.

– Tego może być pani pewna – zapewnił komisarz z satysfakcją. Trudno było określić, co konkretnie ma na myśli.

Gdy w końcu wyszli, Renata stanęła przy oknie i obserwowała, jak zbierają się do odjazdu, pakują sprzęt i zajmują miejsca w samochodach. W pewnym

momencie zobaczyła Kamilę, która rozmawiała przez telefon. Policjantka zbliżyła się do ogrodzenia i zatrzymała niemal na wprost kuchni. Na chwilę ich spojrzenia się spotkały. Renata lekko skinęła głową, Kamila odpowiedziała tym samym i odeszła, nie przerywając rozmowy.

*

Las wydawał się tak cichy i spokojny jak wtedy, gdy Kamila była tu po raz pierwszy, kiedy Marcin prowadził ją ścieżką, a potem na przełaj, omijając powalone drzewa i kamienie. Wtedy jeszcze nie wiedziała, co zobaczy u celu.

Tym razem też nie była sama. W ślad za nią szli technicy, których zabrała spod domu Bieńczuków i przywiozła tu bez wiedzy i zgody Wargalskiego. Tym razem to oni nie wiedzieli, co zobaczą.

Gdy dotarli do pierwszych krzyży, kazała im przy nich zostać, a dalej poszła sama. Ostrożnie, aby nie zatrzeć żadnych śladów. Zeszła ze ścieżki, aby ominąć kolejne symboliczne groby i tablice. Gdy okrężną drogą dotarła w pobliże źródelka i kopca kamieni ozdobionego świętymi figurkami, serce waliło jej w piersi, pompując krew do pulsujących skroni. Obejrzała się, upewniając, że obaj policjanci zostali tam, gdzie im kazała, i dopiero wtedy stanęła pod drzewem. Tym konkretnym drzewem, pod którym dostrzegła niewyraźne wgłębienia pozostawione przez małe, gładkie podeszwy. Stanęła dokładnie na nich i odetchnęła głęboko.

Kilka metrów przed Kamilą na drzewie biała metalowa tablica, na której ciemnymi literami pytano człowieka, co sprawiło, że upadł tak nisko. Nieco na lewo świeżo rozkopana ziemia raniła serce. Policjantka zacisnęła zęby, starając się powstrzymać łzy, które mimowolnie napłynęły do oczu. Z tej odległości nikt nie widziałby, że płacze, ale to nic nie zmieniało, bo nie zamierzała się rozklejać. To jeszcze nie był czas na żałobę, to był czas na sprawiedliwość.

Kamila wyciągnęła z kieszeni nieduży prostokątny przedmiot i przeszła kilka kroków do innego drzewa. Do tego, na którym zawieszona była fotopułapka.

Uniosła zasłonę niewielkiego wyświetlacza i za pomocą pilota wywołała menu, a potem przeszła do galerii. Kolejne miniatury plików układały się w przerażającą historię trzech mężczyzn, z których jeden miał zostać tu na zawsze.

Nawet na czarno-białych miniaturach widać było twarze oprawców i ich ofiary. Utrwalone na zdjęciach i krótkich nagraniach. Na wszelki wypadek upewniła się jeszcze, czy Renata na pewno przez cały czas stała poza kadrem, a na nagraniach nie ma dźwięku. Potem wyłączyła urządzenie i wyciągnęła telefon.

– Panie komendancie, potwierdzam odnalezienie miejsca, gdzie sprawcy zakopali ciało, zaraz prześlę lokalizację. Są zdjęcia i nagrania, więc można ich zgarnąć... – Słuchała przez chwilę. – Na miejscu mam techników, czekamy na prokuratora i lekarza... Komisarz Wargalski? Jest w drodze na posterunek z odnalezioną bronią. Słucham...? Tak, może go pan czymś zająć, nie chciałabym, aby mi tu przeszkadzał. Tak, dziękuję.

ROZDZIAŁ 19

CZERWIEC 2021
RENATA

Restauracja nie była duża, nie wyróżniała się też niczym szczególnym, ale mieściła się przy Avenue des Champs-Élysées, kilka kroków od rue Balzac, gdzie swoją siedzibę miała kancelaria. Dlatego Bastien lubił się tam umawiać z klientami, których zaliczał do kategorii „sauvage”. „Dziki” – tak nazywał tych, co być może po raz pierwszy mieli do czynienia z zagranicznym prawem lub byli nieobyci na tyle, by ich oszołomienie i stres związany z nową sytuacją były aż nadto czytelne. Bastien zapraszał ich najpierw do Bistro, gdzie mogli porozmawiać nie do końca formalnie, tak po ludzku. Z filiżanką kawy lub lampką wina zapoznawał ich z okolicznościami i przygotowywał na wizytę w kancelarii. Udawali się tam dopiero, gdy uznał, że „sauvage” zmienił się w „apprivoiser”, że został oswojony.

– Bastien Pascal – przedstawił się kobiecie, która siedziała przy umówionym stoliku. – Jak minęła pani podróż, nie było żadnych problemów na granicy?

– Dziękuję, wszystko odbyło się sprawnie.

– Proszę raz jeszcze, tym razem bezpośrednio, przyjąć moje najszczerze kondolencje.

Skinęła głową.

Kelner podszedł niespiesznie, jak gdyby nie do końca interesowało go, czy nowi klienci mają na cokolwiek ochotę.

– Świetnie mówi pan po polsku – zauważyła, gdy złożyli zamówienie i znów zostali sami.

– Moja matka jest Polką. – Uśmiechnął się lekko i sięgnął po teczkę. – Pochodzi z Piaseczna. Byłem w Polsce kilka razy. Czy ma pani wszystko, o co prosiłem?

– Tak – potwierdziła, rozsuwając torebkę. – Odpis aktu małżeństwa i akt zgonu męża. Jego dokumenty i zaświadczenie z sierocińca. – Wyjęła złożone na cztery, zszyte ze sobą kartki i rozprostowała je ostrożnie. – Razem z tłumaczeniami – dodała.

Kelner przyniósł kawę, niezadowolony, że na niedużym stoliku klienci rozkładają papiery.

– To straszne... – Bastien pokręcił głową, przeglądając dokumenty. – Wciąż myślę o tym, że gdyby nie pandemia, to spotkalibyśmy się już w zeszłym roku, a wtedy może pan Marcin by...

– Myślę o tym codziennie – przyznała, wyjmując chusteczkę. – Kiedy po raz pierwszy przyszła korespondencja od pana i kiedy rozmawialiśmy tamtego dnia przez telefon, myślałam, że to kwestia kilku tygodni, ale potem mój tata miał wypadek. Niedługo później zmarła mama, a gdy się z tym uporaliśmy, pozamykali granice... Proszę mi wierzyć, że Marcin nie mógł się doczekać, żeby panu osobiście podziękować, a przede wszystkim w końcu dowiedzieć się, kim była jego rodzina.

Bastien uśmiechnął się uprzejmie.

– W jaki sposób pan Marcin zareagował na wiadomość, że nazywa się Rozenblum? Zdawał sobie w ogóle sprawę ze swoich żydowskich korzeni?

– Nie byłam pewna, jak zareaguje, więc wolałam, aby wszystkiego dowiedział się od pana.

– Nic mu pani nie powiedziała? – zdziwił się.

– Tylko tyle, że dowie się, kim jest – skłamała gładko. – Chciałam, żeby to była niespodzianka.

– Czyli pan Marcin nie zdawał sobie sprawy ze spadku?

– Jakie to ma teraz znaczenie?

– Ma pani rację, przepraszam.

Sięgnęła po filiżankę i zapatrzyła się na przejeżdżający ulicą autobus. Bastien dyskretnie rzucił okiem na zegarek i udał, że skupia się na dokumentach. Wiedział, że musi Renacie Bieńczuk poświęcić jeszcze trochę czasu. Nie była już co prawda „sauvage”, ale jeszcze nie należała do „apprivoiser”. Gdyby teraz udali się do kancelarii, by w towarzystwie zwierzchnika oraz przedstawiciela banku wypełnić wszystkie formalności i zakończyć sprawę, istniało duże ryzyko, że klientka zareaguje emocjonalnie. Mogłaby płakać, mogłaby po raz kolejny czytać wzory pism lub robić cokolwiek innego, co utrudniłoby postępowanie i zajęło niepotrzebnie czas wszystkich zgromadzonych, a na to Bastien nie mógł

sobie pozwolić. Słynał ze skuteczności, z ograniczania formalności do minimum. Był za to wysoko ceniony. „Żaden klient nie jest trudny, żaden nie musi zajmować więcej czasu, niż potrzeba” – było jego dewizą i sposobem na budowanie pozycji.

Nie mógł jeszcze zaprosić Renaty Bieńczuk do kancelarii, ale też nie musiał. Miał czas, bo zawsze umawiał klientów z odpowiednim marginesem, który planował indywidualnie na podstawie wieloletniego doświadczenia.

– Niech mi pan opowie – poprosiła Renata Bieńczuk po dłuższej chwili. – Chciałabym wiedzieć, kim była rodzina mojego męża.

Bastien skinął głową i odłożył dokumenty.

– Prapradziadek pana Marcina, Izaak, miał manufakturę w Łodzi, na której dorobił się sporego majątku. Był zapobiegliwym człowiekiem i tuż przed wojną podjął decyzję o sprzedaży interesu i emigracji do Palestyny. To był dobry czas na takie decyzje, ale sprawy urzędowe związane ze zbyciem majątku przeciągnęły się na tyle, że zdążyła się zmienić sytuacja na arenie międzynarodowej. Wydawano o wiele mniej certyfikatów uprawniających do wyjazdu, co uniemożliwiło wyjazd całej rodziny w jednym terminie. Do Palestyny popłynął Izaak z żoną i dwoma najstarszymi synami. Pięcioro młodszych dzieci zostało w Polsce pod opieką wujostwa. Mieli wyruszyć w podróż, gdy tylko będzie to możliwe. Niestety wybuchła wojna, której żadne z nich nie przeżyło.

Jego uwagę przyciągnęła na chwilę ciężarówka przetaczająca się ulicą.

– Gdy pan Izaak opuszczał Polskę, jego najstarsza córka była w zaawansowanej ciąży. Urodziła kilka tygodni później, a gdy Niemcy zbliżali się do Łodzi, oddała córeczkę zaprzyjaźnionej polskiej rodzinie.

– Oddała? – Renata zmarszczyła czoło.

– To był jedyny sposób, aby ją uratować – wyjaśnił Bastien. – Ci ludzie przynosili się na wieś, żeby przeczekać wojnę. Mogli więc zabrać małą bez obaw o to, że ktoś będzie cokolwiek podejrzewał i doniesie Niemcom.

– Rozumiem.

– To się udało, przeżyła wojnę – potwierdził Bastien, zerkając ukradkiem do notatek. – W 1958 wyszła za mąż za byłego więźnia obozu w Treblince. W 1960 urodził im się syn, a rok później córka, której nadali imię Anna. W 1975 w nocy na niestrzeżonym przejeździe kolejowym w auto, którym jechali, uderzyła lokomotywa. Straszny wypadek, wrak był wleczony po torach przez kilkaset metrów. Ocalała tylko Anna.

– Dwanaście lat przed narodzinami Marcina? – upewniła się Renata.

– Tak. Miała wtedy czternaście lat i po wyjściu ze szpitala została całkiem sama.

– A co z rodziną w Izraelu?

– Nie miała o niej pojęcia. Wróć do tego za chwilę – obiecał. – Anna skończyła na ulicy. Najpierw pomieszkiwała w komunach hipisowskich, a potem gdzie się dało. Wielokrotnie była notowana i na tej podstawie udało nam się choć częściowo odtworzyć jej historię. Uzależniona od narkotyków, kradła i prostytuowała się, aby przeżyć. W osiemdziesiątym siódmym zaszła w ciążę. Nie wiadomo z kim. – Przewrócił stronę w notesie. – Przypadkowy przechodzień zauważył ją nieprzytomną na ulicy i wezwał milicję. Została zabrana do szpitala, gdzie podjęto decyzję o niezwłocznym wykonaniu cesarskiego cięcia... Naturalnie, gdyby był z nami pan Marcin, powiedziałbym to wszystko innymi słowami – zastrzegł. – Pan Marcin przyszedł na świat 14 grudnia 1987 roku.

– Matka zmarła?

– Tak, ale nie w szpitalu. Kilka dni po porodzie uciekła. Znaleziono ją w jakiejś melinie. Jako przyczynę zgonu wpisano niewydolność krążeniowo-oddechową. Gdy okazało się, że nie można odnaleźć żadnych krewnych, pan Marcin został przekazany do domu dziecka. O ile wiem, nigdy nie poinformowano go o losie matki. Taką politykę stosowano dla dobra dziecka.

– On też nie chciał tego wiedzieć... Miał żal, że został porzucony. Dobrze... – Skinęła głową. – Więc kto zlecił panu odszukanie Marcina?

Bastien wyciągnął z teczki starą, nieco wyblakłą fotografię.

– Ani Palestyna, ani później Izrael nie okazały się szczęśliwe dla rodziny pani męża. Zostali oszukani przez wspólnika, z którym założyli szwalnię, a kolejne interesy nie przynosiły spodziewanych zysków. W 1948 urodziła się Estera Rozenblum, ostatnie dziecko Izaaka i jedyne, które przeżyło swoich rodziców. Obaj synowie, zabrani przez Izaaka do Palestyny, zmarli przed rokiem... – sprawdził w notatkach – 1953, w odstępie kilku lat. Żaden z nich nie zdążył założyć rodziny. W tamtym roku Izaak opuścił Izrael i przeniósł się tu, do Francji.

– Sam?

– Z rodziną, która składała się już wtedy tylko z Estery i schorowanej żony. Izaak też podupadł na zdrowiu, ale nie przeszkodziło mu to w interesach. We Francji w końcu los się do niego uśmiechnął i gdy umierał w 1968, mógł przekazać Esterze niedużą sieć sklepów odzieżowych, dwie manufaktury obuwnicze i udziały w trzech szwalniach... Estera Rozenblum odziedziczyła talent do interesów po ojcu, więc firma się rozwijała. W 1970 poznała swojego pierwszego męża, który odszedł od niej, gdy okazało się, że Estera nie może mieć dzieci. Ponownie wyszła za mąż w 1981, za starszego od siebie o sześć lat przemysłowca. Byli z sobą do 2014 roku, do jego śmierci. Po pogrzebie pani

Estera zdecydowała się podjąć próbę ustalenia losów rodziny, która została w Polsce.

– Dość późno...

Zignorował tę uwagę.

– Zleciła poszukiwania kancelarii, którą reprezentuję, i jak się pani zapewne domyśla, nie było to łatwe zadanie. Po kilku latach udało nam się jednak trafić na ślad prowadzący do pana Marcina. Kluczowa była próbka DNA, którą nam pani przysłała – Skinął Renacie. – Pani Estera bardzo się ucieszyła, gdy badanie potwierdziło pokrewieństwo, i nie mogła się doczekać spotkania. To było jej marzenie... Niestety, covid nie pozwolił, aby się spełniło. Odeszła 14 sierpnia zeszłego roku. Jeszcze zanim zachorowała, sporządziła testament, mocą którego uczyniła swoim spadkobiercą pana Marcina. Fakt jego śmierci, a także brak innych spadkobierców sprawia, że cały majątek przechodzi na panią... Czy pani to rozumie?

– Tak, oczywiście.

– Wspaniale... – Zebrał papiery. – Czy ma pani jakieś pytania?

– Czy przyjmując spadek, muszę zmienić nazwisko na żydowskie?

– Nie ma takich wymagań.

– Dobrze... – Poprawiła kosmyk włosów. – W takim razie możemy już iść podpisać te dokumenty.

Bastien skinął głową i przywołał kelnera.

Na Avenue des Champs-Élysées ruch tego dnia był leniwy. Piękna słoneczna pogoda nie zachęcała do pośpiechu. Mimo pandemicznych ograniczeń ludzi nie brakowało. Spacerowali, jedli i odpoczywali w cieniu drzew, zajmując się własnymi sprawami. Nikt nie zwracał uwagi na mężczyznę i kobietę w widocznej ciąży, którzy opuścili kawiarnię i skręcili w rue Balzac.

KONIEC

POSŁOWIE

Żadna z opisanych postaci nigdy nie istniała.

Nigdy nie wybudowano domów, w których rozgrywa się akcja powieści.

Nie ma miejscowości Popielówka ani Sennowo.

Nie ma Sumienna ani Bożej Woli.

Mimo to miejsce, gdzie fikcję zainspirowała prawdziwa historia, jest prawdziwe...

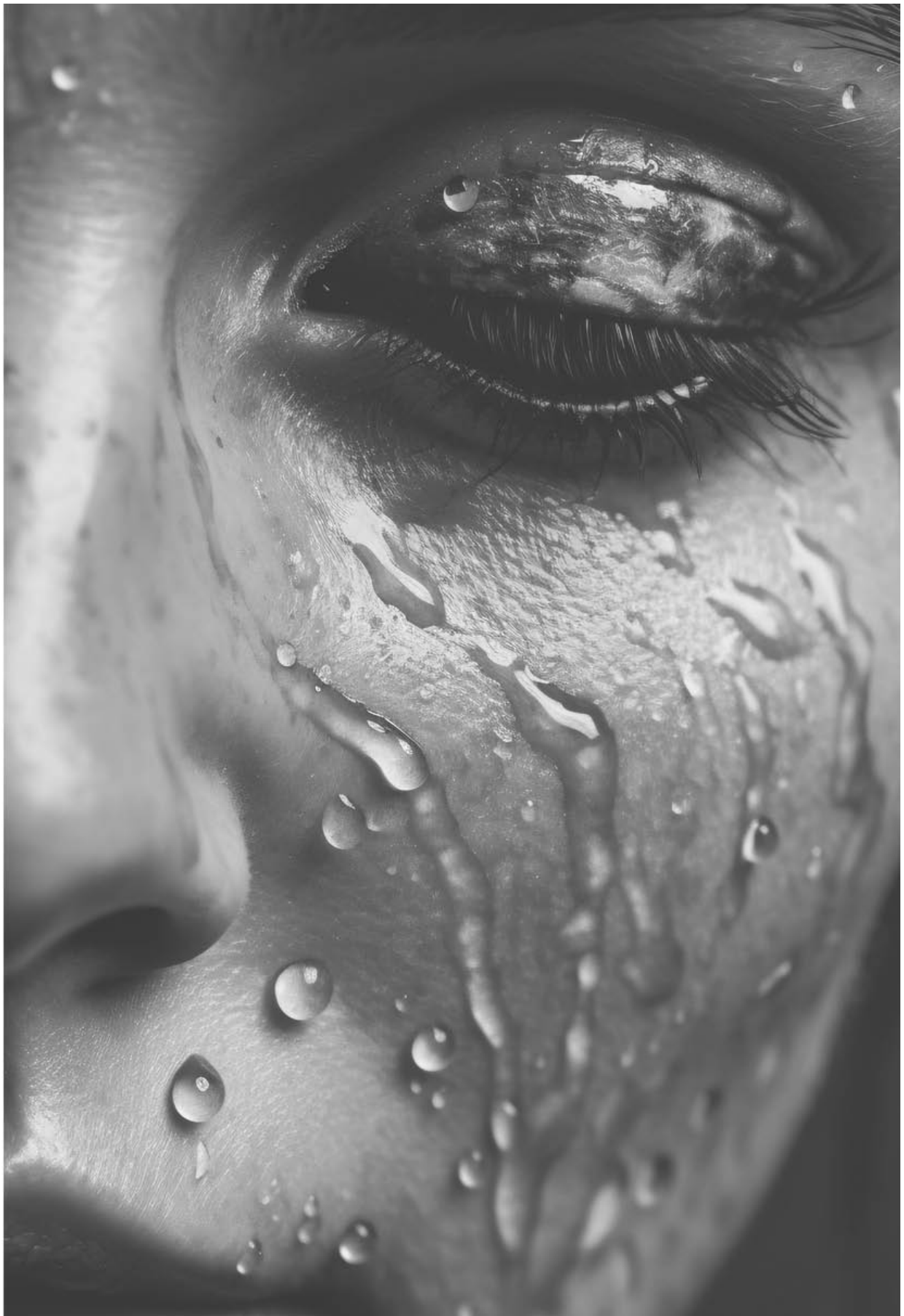
Bezwładność pierwotnie miała być kameralnym thrillerem o toksycznych relacjach między dwojgiem ludzi. Renatę i Marcina planowałem nakreślić o wiele bardziej jednoznacznie, wytyczając wyraźną granicę między dobrymi a złymi intencjami, lecz podczas pracy nad książką wszystko się zmieniło.

Gdy zaczynałem pisać tę powieść, byłem w trakcie zbierania materiałów do reportażu o zbrodniach z okresu okupacji. Rozmawiałem z ostatnimi świadkami, przeszukiwałem archiwa, odwiedzałem zapomniane mogiły, by z tych wszystkich elementów odtwarzać powoli zatrwającą historię ludzi mieszkających obok siebie, znajomych i sąsiadów, których „czas kaleki” sprowadził do roli ofiar i oprawców.

Im bardziej angażowałem się emocjonalnie w pracę nad reportażem, tym mocniej uderzał mnie relatywizm etyczny uwypuklający się w osobistych motywacjach i wyborach, jakich musieli dokonywać poszczególni ludzie. Wszystko, co zawierało się pomiędzy bezwzględnym dobrem i złem.

To był bardzo trudny czas i siłą rzeczy moralne rozważania, jakie mi wtedy towarzyszyły, musiały znaleźć swoje ujście. Musiałem je przepracować, tak jak przepracowuje się traumę.

Dlatego znalazły swoje odbicie w „*Bezwładności*”.



Bezwładność

Copyright © by Jacek Łukawski 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Marta Kładź-Kocot

Korekta – Anna Strożek, Magdalena Świerczek-Gryboś

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Zdjęcie na I stronie okładki – Midjurenny

Zdjęcie na IV stronie okładki – Shutterstock.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788382108514

ISBN epub: 9788382108521



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiak, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

W MADRYCIE POPEŁNIONO MORDERSTWO NIEMOŻLIWE

Zginął syn prezeski jednego z największych banków w Hiszpanii. Zabójca w niewyjaśniony sposób obszedł wszystkie środki bezpieczeństwa w ekskluzywnej willi i nie zostawił przy tym żadnego śladu. Inspektor Jon Gutiérrez nie ma nic do stracenia. Godzi się na propozycję współpracy z enigmatyczną Antonią Scott. Nie jest policjantką. Nie używa broni i nie posługuje się odznaką, ale mimo to rozwiązała już kilka zawiłych spraw kryminalnych. Jest też uważana za najinteligentniejszą osobę na świecie.



**RAZEM NIE SPOCZNĄ, DOPÓKI NIE ZŁAPIĄ SPRAWCY.
SĄ GOTOWI ZROBIĆ WSZYSTKO**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

RAJ PANA BOGA CZEKA BURZLIWY OKRES

W marcu 1923 roku ksiądz Paul Reiser skacze z wieży kościoła Wniebowzięcia NMP w Glatzu. Jego samobójstwo, wydawałoby się, przechodzi bez echa, jednak kilka miesięcy później ujawniane są obrazy przedstawiające wizje, którymi ksiądz dzielił się przed śmiercią z wiernymi. Malowidła stają się zapowiedzią kolejnych morderstw. Czy za drastycznymi wydarzeniami stoją wyznawcy Reisera? A może berlińska organizacja przestępcza, która właśnie pojawiła się w Glatzu?



NADCHODZI OKRES CHAOSU I ROZLICZEŃ Z PRZESZŁOŚCIĄ

Szukaj w dobrych księgarniach

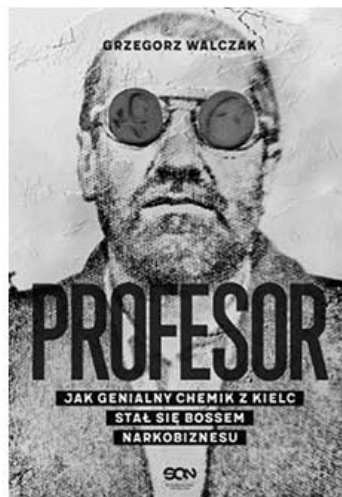


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

GDYBY AKCJĘ KULTOWEGO SERIALU *BREAKING BAD* UMIESZCZONO W POLSCE, WYGLĄDAŁABY WŁAŚNIE TAK

Ryszard J. zwany Profesorem potrafił w ciągu dwóch dni w połowych warunkach wyprodukować amfetaminę o wartości czterech milionów funtów. Brytyjska policja uznała jego narkotyki za najczystsze, jakie kiedykolwiek skonfiskowała. Nad substancjami, nad którymi pracował, pochylali się najlepsi eksperci. Kielecki chemik, elokwentny, a przede wszystkim doskonale wykształcony, przez lata skutecznie wymykał się sprawiedliwości.



**AUTOR SZEROKO I WNIKLIVIE PREZENTUJE SYLWETKĘ
JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ INTELIGENTNYCH POLSKICH
PRZESTĘPCÓW ZWIĄZANYCH Z NARKOBIZNESEM**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

**OPOWIEŚĆ, KTÓRĄ POKOCHAŁY TYSIĄCE CZYTELNIKÓW,
NA SREBRNYM EKRANIE!**

Łucja wierzy, że przed wspomnieniami uratuje ją balet. Nastka obserwuje świat przez okno z taką uwagą, że zdarza jej się przenosić w innych ludzi.

Ich ojciec coraz częściej ucieka do jedyne miejsca, w którym czuje, że żyje naprawdę. Każde z nich po swojemu obłąskawia przeszłość.

Urodzinowe widokówki, które trzeba palić po kryjomu.

Wzrok sięgający tak daleko, że czasem lepiej jest nie patrzeć.

Taniec, który ocala albo niszczy.



**FILM W REŻYSERII KINGI DĘBSKIEJ W KINACH
OD 6 PAŹDZIERNIKA 2023 R. PRODUKCJA – STUDIO
OPUS FILM (IDA, ZIMNA WOJNA)**

Szukaj w dobrych księgarniach

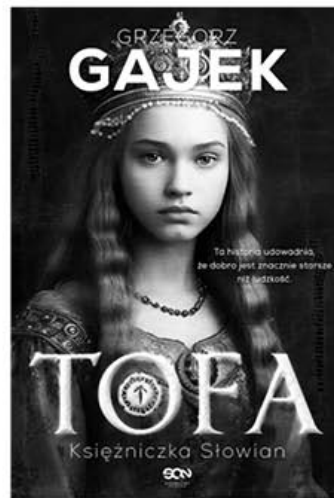


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

**PIERWSZY Z DWÓCH TOMÓW OPowieści
O SŁOWIAŃSKIEJ DZIEWCZYNIE,
KTÓRA STAŁA SIĘ KRÓLOWĄ WIKINGÓW**

Tofa jednak nigdy nie troszczyła się o to, co mówią inni.
A jeśli żyć po swojemu miało znaczyć wystąpić przeciw Doli,
zaklęciom zawistnych i wszystkim czartom, jeśli miało znaczyć, że
mężczyźni poruszą dla niej z dawna uszione moce
i napoją zapomnianych bogów krwią... niech będzie.



**ALE DOLA TO BÓSTWO STARSZE I MĘDRSZE OD INNYCH.
DLATEGO POSTAWIŁA NA DRODZE TOFY... BOCIANA**

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

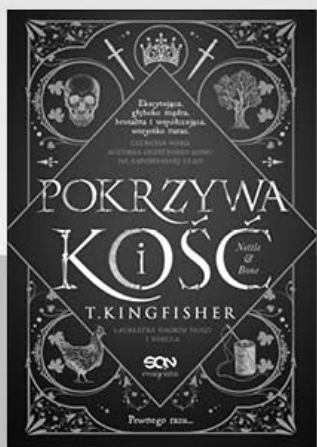
**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.

Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl